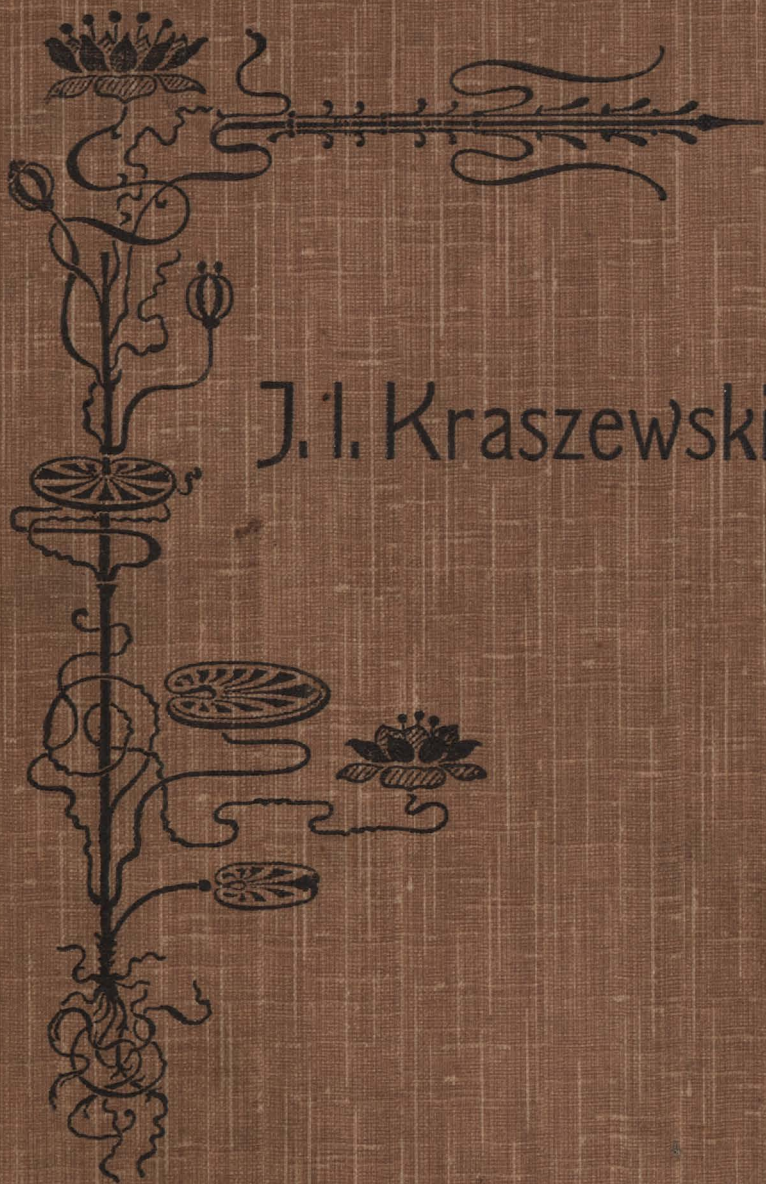


J. I. Kraszewski



M A S L A W.

FORMS & CLIP

Mastaw.

MASŁAW.

POWIEŚĆ Z XI WIEKU

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Ktoś

TOM I.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

Druk Wł. Łazarzkiego i St. Szymanowskiej, Daniłowiczowska 6.

1899.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

В а р ш а в а, 22 ноября 1898 года.



ИМ/М/ 262

Czcigodnemu dziejopisowi naszemu

TEODOROWI MORAWSKIEMU

w dowód najgłębszego szacunku

przesyła

AUTOR.

I.

Smutny był wieczór jesienny; słońce zakryte, którego spłowiałe blaski z za chmur gdzieś przeglądały, już się ku zachodowi skłoniło. Całe niebios sklepienie okrywały szare, podarte, kłębiące się, nad widnokregiem w ciemną, jednostajną zaslonę zbite obłoki.

W powietrzu oczyma było można dojrzeć górą goniący wichur, który kiedy niekiedy tylko z chmur spadał na ziemię, sunął się po niej, uginając drzew wierzchołki, obłamując gałęzie i uciekł znów gdzieś w górne szlaki.

Ziemia obleczona żałobą, szara, z zieloności odarta, wydawała się zmarłą, uspioną, gdy po nad nią pędem leciały z zachodu poszarpane dziwne, postrzępione, rozplywające się i zalewające obłoki, przybierające barwy różne, jakby je to gniew rumienił, to złość sinemi czyniła. Tam gdzie czuć było słońce, gorzały żółtawe łuny, gdzie na chwilę obnażyło się niebo, jaśniało jakąś barwą zielonawą. Szare chmury wszystkie zdawały się spieszyć na wschód, by tam stanąć jak wojsko do boju, jedną groźną czarną lawą.

Dołem, nie wesoły też krajobraz przedstawiał, się oku. Nizka, błotnista dolina leżała wśród lasów,

które ją czarnemi obejmowały ścianami.—Gdzieniedzie na pół zeschłe, czy zgorzałe drzewo prastare, z gałęzmi obnażonemi i jakby w rozpacz podniesionemi do góry.

Resztę liści pożółkłych oberwały z nich wichry jesienne.

Wśród błota wiła się droga, na której świeże ślady wypisały jakieś straszne dzieje wczorajsze, niestarte jeszcze niezem i niesplukane, nieoschłe i niezarosłe.

Czytać było można z tej drogi, jak z księgi, co się tu wczoraj, dziś może dziać musiało. Przeszła po niej burza straszliwa. Wydeptana była, wygnieciona, wybita, jakby nią mnogi lud i stada przeszły koła ją poryły, drągi porozrzynały, tu i owdzie leżały drzewa, wozów połamanych szczęty, podarte, szmaty krwawe, porwane szaty, potargane powrozy. Znać było na niej resztki wielkiego obozowiska, czy olbrzymiej gromad wędrowki.

Na ślizgiej powierzchni, gdzieniedzie bosych nóg ślady się wycisnęły, dziecięce obok starych, zwierzęce obok ludzkich, ówdzie leżącego ciała znamie, które padło i wlokło się pasami porąc ziemię. Wśród kałuż błota były i czarne zastygłej posoki plamy.

Wojny to zdawały się być ślady nietłosne, co po sobie śmierć i spustoszenie zostawiły.

Na stratowanym gościńcu szczątkami życia karmiło się ptactwo, dziobiąc rozsypane ziarna, pijąc może krew rozlaną.

W dali na pagórku widać było mury ogorzałe, niżej sterczące w dolinie belki czarne, powywracane budowy, szczątki jakiejs ludzkiej osady, w której nie było człowieka. Po nad tą pustynią głuche panowało milczenie, z wiatrem tylko kiedy niekiedy jakby żałosliwe dolatywało psów wycie. Stado kruków i kawek zwijało się w powietrzu, to przypadając ku ziemi, to podnosząc się z wrzaskiem i krążąc nad opustoszoną doliną. Ptacy obejmowali tu panowanie,

a zwierz z lasów poglądał, rychło mógł przyjść za niemi, po człowieku zagarnąć dziedzictwo. Nad błotem latały z krzykiem bolesnym strwożone czajki. Jedno życie się tu skończyło, zaczynać miało drugie.

Wpatrzywszy się w miejsce, gdzie osadę zniszczoną znaczyły mury rozbite, jeszcze po nad nią dostrzedz było można nieznaczne prawie pasemka dymu unoszącego się z pogorzeliska. Na próżno usiłując się wzbic do góry, podniósłszy się nieco, opadały ciężko i rozścielały się po ziemi. W powietrzu czuć było zgorzeliznę trupią.

Na ścieżynie wiodącej do najbliższego cypla lasu, ukazał się jeździec na koniu. Wysunął się zwolna z za gałęzi, stał i patrzył długo—rozszluchiwał bacznie, nim się dalej posunąć ośmielił.

Oko jego rozglądało się po okolicy, wśród której żywej nie widać było duszy, głosu ni cienia człowieka. Jeździec ów z ciemną brodą potarganą, lat średnich mężczyzna, był, jakby świeżo wyrwał się z boju i ocalał z walki—potłuczony cały i krwawy. Pancierz miał poszarpany od ciosów co go ugodziły i na kawały na nim porozcinały. Szmaty jego wisiały zeń, obnażając gdzieniedzie pokaleczone ciało krwawe. Reszta pociętego hełmu ledwie się trzymała na głowie bujnym ciemnym włosem okrytej, straskanego miecza głównia mu wisiała u pasa; w rękę miał kawał włóczni złamanej, w kilku miejscach zbroja i z pod niej przezierająca odzież jak rdzą brunatną, zaschlą krwią była zbroczona.

Koń pod nim posieczon i poraniony był także, szedł nakuliwając z głową zwieszoną, a gdy mógł stanąć, wnet łeb spuszczał; szukając pod nogami wyschłej trawy, w kałużach wody. Pomimo tej nędzy dzisiejszej, na wojaku i jego wierzchowcu, znać było dawne lepsze czasy. Twarz biednego wybladłego zbiega, rysy miała szlachetne i dumne, oko zamglone było smutkiem nie niewieściem, lecz mężną rycer-

ską niedolą. Poszarpane suknie i zbroje niegdy były kosztowne i piękne.

Westchnąwszy, gdy z konia obejrzał okolice, zsiadł z niego wędrowiec, poklepał biedne zwierzę po szyi, uźdę wziął w rękę i podpierając się dzidą, powolnym krokiem począł iść ku pogorzelisku. Ranny w nogę, z posieczoną piersią, rozbitą głową, wlec się musiał powoli i często odpoczywać. Zdało się czasami, że zachwiał się padnie, że mu ochota odejść dalej się tak ciągnąć, aby nędzny żywot ocalić, stawał, opierał się na koniu, dyszał i znowu tak włókł ku pogorzelisku. Koń też kulejąc i napałając szedł posłuszny, a raczej dawał mu się ciągnąć, skubiąc z głodu resztki traw, gdy je znajdował po drodze.

Tak ścieżką tą od lasów, znaną mu pewnie, zbliżał się wojak ów ku kopcowi naprzód, grodzisku otoczonemu wałami, na którem spalonego zameczyska widać było zecerniałe ściany.

Spustoszenie straszliwe jakieś, nieludzkie przeszło tędy niedawno jeszcze, niezostawiwszy po sobie nic nad kupę węgla i gruzu. Na okopach poopalane, połamane, sterczały gdzieniegdzie ostrokoły, brama strzaskana, na pół zgorzała leżała w błoto wcisnięta na ziemi.

Krokiem powolnym, przybysz wsunął się w środek okopów. Miejsce to musiało mu być dobrze znane, szukał po nim oczyma w gruzach, przeszłości którą pamiętał.

Żadna budowa nie ostała się całą na grodzisku, gdzieniegdzie kamiennych murów grubych sterczały ściany na pół poobalane, oparłszy się zniszczeniu. Obok ziemia nawet była poryta, jakby w niej czegoś szukano. Rozbitych naczyń skorupy, rozspanych bodni klepki, koły, belki, wyleżana słoma starta i pomięta, poogryzane kości białe, plac prawie cały zalegały. Na boku leżały ścierva koni, których żebra już na pół obnażyły kruki.

Spłoszone podniosły się wrzeszcząc i wnet obiadły znowu swą pastwę.

Wszedłszy do środka wzrokiem ponurym przejrzał do koła wszystko człek nieznan, konia postawił u wnijscia, a sam krokiem powolnym począł przez łomy zalegające grodzisko, wdzierać się w głąb jego. Szukał miejsc jakichś, śladów, jakby z nich odgadnąć chciał dzieje tego zniszczenia... Lecz gruzy je przysypały, zwałiska zatarły. Spodziewał się może znaleźć trupy, a tych tu widać nie było.

Kilka razy rozpatrując się schylił ku ziemi, sięgnął ręką po łachman jakiś, dobył opalony szmat z pod drzewa i rzucił go z odrazą i gniewem. Minąwszy kupę rumowisk, szedł pod mur dalej, ale i tu też samo znalazł bezładne zniszczenie.

U muru tylko, jakby osypana i zapadła ziemia, czarną obnażyła pieczarę, w której głębiach nic widać nie było. Z ciemności gdzieniegdzie sterczały połamanych belek końce. Zajrzał tu przybysz, ręką się osłoniwszy, zginając z trudnością, patrzył długo i wstał namarszczony.

Właśnie miał to cmentarzysko opuścić, gdy podrażniony słuch jego, wśród tej ciszy głuchej, pochwycił jakby szmer jakiś, niby ostrożnego chodu ludzkiego echa.

Strzymał się spoglądając ku wnijsciu.

Tu nie widać nie było, koń tylko pał się chciwie na wałach, znalezioną odrobiną zieleni. Posunął się więc, krocząc znowu przez belki i rumowiska ku miejscu, gdzie były wrota zamkowe, gdy w tejże chwili ukazała się w nich ludzka postać.

Człowiek ten wchodził, usuwał się raczej ostrożnie, wstrzymał na widok konia i stał wylekły, oczyma wodząc na wszystkie strony.

Z daleka spostrzegłszy z ruin wychodzącego zbrojnego mężczyznę naprzeciw sobie, w pierwszej chwili rzucił się był do ucieczki—lecz za drugim ku niemu spojrzeniem w ręce klasnąwszy, zatrzymał

się i, kroków parę podbiegłszy padł przed nim na kolana.

To niespodziane wśród ruin zjawisko było jakby do nich podobne — podstarzały już mężczyzna, z głową odkrytą, włosami rozrzuconemi, nie miał na sobie nic, oprócz na ciało nagie zarzuconej zdar-tej, połataniej siermięgi. Nogi jego okrywały spodnie z płótna grubego, poobwiązywane sznurami u dołu, które skórnie podarte utrzymywały. Twarz wynędzniała, żółta, z oczyma blademi, miejscami włosom porosła, podobniejszym go czyniła do trupa wstającego z grobu, niż do żywego stworzenia. Padłszy na kolana, załamane ręce podniósł do góry.

— Wy żywil! — krzyknął.

Wojak nie odpowiadając nic, ręką wskazał na wiszącą kawałami porozdzieranemi zbroję, na poszarpane i poranione ciało.

— Żywem! — rzekł głosem bez dźwiękul — ży-wem, ale po co żywot, gdy wszyscy moi poginęli, gdy nam tylko grób został...

! powiódł oczyma dokoła.

Kłęczący wstał powoli i mówił ochryply, drżący.

— Ja czwarty dzień tułam się po lesie, trawę gryzłem, liście ssalem, grzyby suche jadłem i korę, ledwie dusza w ciele.

Dziękuj Bogu i za to — zamruczał uzbrojo-ny — ja też niewiem czy żyje — nie wiem jak żyję.. a na co dziś życie się zdało.

W milczeniu ten, który powstał z ziemi, przy-sunął się i w rękę pocałował mówiącego. Stali oba nie mogąc znaleźć słowa.

— Jakżeście ocaleli? — spytał potem cicho.

— Chcieliśmy się tam, za Szrodą opierać garści Czechów. Kupka nas była niewielka ale mężna. Pa-dli wszyscy i mnie za zabitego rzucono na pobojo-wisku, dopiero noc mnie ocuciła. Koń uszedł, a po-tem sam wrócił gdzieś leżał... jego oddech poczu-

łem nad sobą, gdym oczy otworzył. Tułałem się i ja po lasach, oprócz wody nie nie mając, tu zdechnąć przyjdzie! Tu zdychać!

Zamilkł opuściwszy głowę.

— Gdzież ludzie? trupów niema? Gdzie Gdecza-nie wasi? — spytał po chwili.

— Gdy Czechy nadeiwały, jam był w lesie — począł drugi — wróciłem aby patrzeć na pogorzeli-sko, nie było już wracać po co. Wszystką ludność, choć o mir i łaskę prosiła poprowadzili, pognali ze sobą wszystkich, nie został nikt, prócz tych co pa-dli. Miasto złupione, domy złupione.

Popatrzał ku dolinie i jęknął boleśnie.

— A wasi? wasi? miłościwy panie — zapytał cicho.

— Nie mam ja już nikogo, nikogo — odparł pierwszy ponuro.

To mówiąc, wziął konia za uzdę i zwolna z gro-dziska schodzić zaczął. Za nim włókł się człowiek w odartej siermiędze.

U stóp zamku jednym zgłiszczem szerokiem le-żała wielka osada.

Na czarnem pogorzelsku stały gdzieniegdzie żurawie studzien, resztki ścian, których ogień nie dojadł, słupy od bram, koły od płotów, wysokie ko-zły szop zwalonych.

W pośrodku murowanego kościołka, z głązów wzniesione boki sterczały tylko — dach spalony ru-nął. Zbliżył się ku niemu — stanęli.

W głębi ołtarza widać było resztkę ogorzałą i poobalane wielkie świeczniki drewniane. Wnijscie do grobów pod kościołem stało w pośrodku rozdar-te. I tam znać łupów szukano. Nie ocalało nic. Na jednej ścianie wisiał tylko krucyfiks czarny, a na nim wpół spalony Chrystus, jedną ręką trzymał się je-szcze. Ptastwo, które się tu już na sen nocny tuliło, słysząc szelest, zerwało się, pierzchnęło, poczęło ko-łować z wrzaskiem i padać na ścian wierzchy.

Ostatnie promienie słońca przedarłszy się przez chmury, światłem pomarańczowem, jakby luną pożarną nagle oblały ten obraz spustoszenia.

Z trwogą przybyli rozglądali się dokoła. Ślady życia jego gdzieś były widoczne. Pod ścianami chat walał się statek gospodarski, rozbite wiadra, rzucone kądziele, zapomniane dzieci kolebki, kamienie od żarn wywróconych.

Wojak i zbiedzony człek w siermiedze postawszy przed kościołem, wyszli dalej ku spalonej osadzie. Nadchodziła noc, trzeba było szukać schronienia.

— Miłościwy panie, władko Lasoto — jęczącym głosem ozwał się siermieżny idący za nim — gdyby chleba choć okruszyna, możebym sił nabrać i szalas gdzie sklecił.

Na koniu, którego wiódł za sobą Lasota, wisiały próżne sakwy. Zwrócił się ku nim wojak i do był z nich szczątek czegoś spleśniałego, czarnego, rozłamał i dał proszącemu.

Z cheiwością niezmierną oburącz porwał zgłodniały ten pokarm, zaiskrzyły mu się doń oczy, począł gryźć ze zwierzęcem łakomstwem, zapomniawszy o wszystkim.

Lasota szedł dalej, nie patrząc nań, szukając znużonemi oczyną przytułku, ale chaty drewniane, chałupy z płotów i chrustów, klecie, ogień pozjadał do szczytu, nie ocalało z nich nic na węgły grożące upadkiem, ledwie od wiatru mogące osłonić.

Nie rychło dopiero, chleb spożywwszy do przyszyń siermieżny pogonił za błądzącym po pogorzeliśkn Lasotą. Po drodze zaglądał do studzien, chcąc wodą ugasić pragnienie, nie było jej czem zaczerpnąć.

Lasota znalazł wreszcie w głębi gdzieś resztę dachu zwieszoną nad nędznymi ścianami dwoma. Tu, konia w blizki ogród puściwszy, sam zwałił się na ziemię—szedł jakby już tylko miejsca szukał gdzie-

by skołał, w obu dłoniach twarz zanurzył, oczy zasłonił i pozostał nieruchomy.

Tymczasem zeschły chleb, kropla wody, odżywiły nieco wygłodzonego, który resztę sił i przytomności odzyskał.

Był to jeden z osadników, tego zburzonego a niedawno jeszcze znacznego i do głównych dzielnic królewskiego należnego grodu, Gdecza, który najeżdźcy Czechy złupili, ludność z niego całą wprowadzwszy.

Człek ten zwał się Dębiec.

Lasota miał posiadłości rozległe pod Szrodą, często w mieście i na zamku przebywał. Dębiec kołodziej wysługiwał mu się we dworze, znali się zdawna. Moźnego władkę i biednego rzemieślnika, wojna i nędza zrównały teraz. Lasotów grudek był spustoszony, on sam nie miał gdzie przytulić głowy, Dębcowi zostało tylko pogorzeliśko jego chaty.

Ku niej się skierował, przedzierając przez poobalane domostwa, spodziewając się może znaleźć coś ocalonego. Doszedłszy do miejsca, które trudno poznać było, stanął wryty. Nie było nic oprócz wielkiej węgla kupy.

Mrok padał. Przemógłszy się Dębiec otarł oczy i wszedł na swe zgłiszczą, poczynając się w nich rozglądać. Kijem podniesionym z ziemi, zwolna rozgarniał popioły i żuźle—szukał czegoś. Pod chatą był w ziemi wilgotnej wygrzebany loszek, w którym coś czasem składano.

Pomyślał czy w niem co nie ocalono. Co? sam nie wiedział. Garsć maki może, suszonego mięsa resztką, krup trochę, choćby spleśniałego chleba okrawek. Grzebiąc się, natrafił w istocie na niezgorzale drzwiloszku, ukląkł i rękami je oczyściwszy z ziemi, począł z wielkiem wysileniem odwalać. Osłabłemu szło ciężko, dyszał, kładł się na ziemi i wstawał, aż kolkiem podważywszy, podnieść mu

się drzwi udało. Kryjówka zdawała się nietknięta, nikt tam w ubogiej chacie łupu się nie spodziewał.

Głodny Dębiec spuściwszy się, z okrzykiem radości, spostrzegł tu spiżarnię swą ubogą, nienaruszoną.

Z niespokojnym pośpiechem, począł w niej gospodarzyć, wyrzucając coraz coś wynalezionego, co dawniej pogardzone było, a dziś droższe nad złoto. Wkrótce jednak napowrót wydobył się z jamy, zabrawszy żywność lichą, i pośpieszył szukać z nią tego, co go przed chwilą kawałkiem chleba obdarzył. Znalazł go pod ścianą, na pół uspiętego ze zmęczenia, w pół zamarłego z głodu.

Noc coraz ciemniejsza zapadała.

— Panie miłościwy—odezwał się Dębiec przypadając—mam strawę! Znalazłem ją w jamie mojej. Widać ją tam ukryć chcieli! Rozpalę ognia trochę... jeść—jeść będziemy! jeść!

Powtarzał ten wyraz, jakby w nim była wybawienia nadzieja. Lasota z wolna podniósł głowę.

— Ogień rozpalić!—mruknął—ogień! aby ściągnąć nim licha! ani mi się waży.

— Nikogo tu już ogień nie ściągnie — westchnął Dębiec — patrzajże panie miły i tam gdzieś niedaleko węgle się jeszcze zarzą, dym czerwony się kurzy! Zbójce bezbożni, Czechy, odciągnęły, pusto do koła, życie ratować trzeba. Głodem zembrzemy.

Lasota znowu twarz w dłoń zanurzywszy, niby nie odpowiedział. Pragnienie więcej niż głód go paliło, a było zarazem głodem i gorączką.

Nie zważając na zakaz, kołodziej począł ogień przysposabiać. O głównie niedogorzałe na zgłiszczach łatwo było. Z chaty swej wyniósł garnek jakiś, który znalazł w lochu rzucony. Miał już począć gotować, gdy Lasota wody zawołał.

Tym więc czerepem, jedynym jaki mieli i wicią znalezioną na pogorzelsku, pobięł Dębiec zaczerpnąć

u studni. Gdy wodę przyniósł Lasocie, pochwyciwszy garnek w dłoń drżące, stary wypił go do kropki.

Kołodziej poszedł zaczerpnąć znowu i zabierał się do uwarzenia wieczery, gdy wiecher zadał i przyniósł z sobą wyraźny tentent koni.

Porwał się, choć osłabły Lasota, wołając o zgazzenie ogniska, i natychmiast zalano je co prędzej.

Gęsty mrok był, który pochmurne niebo zwiększało. Tylko w miejscu gdzie zaszło słońce jarzyły się jeszcze niebiosy i ku nim patrząc, postrzegli tu skryci zbiegowie, na gościńcu który przez środek osady prowadził — cienie dwu konnych ludzi jadących powoli.

Jak czarne dwa widma malowali się im na zorzy zachodniej, i choć zdala, dobrze ich rozemnać było można.

Lasota i Dębiec z ciekawością i niepokojem im się przypatrywali.

Niepotrzebował długo czasu Lasota, aby w nich poznać, domysleć się raczej, takich jak on sam był, zbiegów, tułających się, uchodzących nocą przed czeskimi mordami i łupieżą.

Ludzie byli orężni, bo nad głowami ich sterczały dzidy, które w rękach trzymali, a konie pod nimi były rosłe. Na głowach wiewały hełmów czuby. Lecz można było zaręczyć, że to nie Czesi jeszcze, wśród tego spustoszenia, krążyli za jakąś zdobyczą?

Stanęli jezdni naprzeciw spalonego kościoła... Wiatr silniejszy ustał był nieco — i słychać było rozmawiających ze sobą. Lasota bacznie ucha nadstawiał, dochodziły go wyrazy urywane.

— Psie syny!

— Zwierzęta dzikie! Szatańskie plemię.

Po tych przekleństwach, swoich było się można domysleć. Lasota złożył dłoń w trąbkę i choć osłabłym głosem huknął ku nim.

Na ten odgłos, konni zrazu rzucili się do ucieczki, potem wnet stanęli, rozglądając się do koła.

Masław T. I.

JK
ROMAN
262

— Swoi zawołał Lasota — bywajcie tu! bywaj! bywaj!

Dębiec, który wprzód jeszcze poznał w nich swoich, wstał z ziemi i pospieszył na spotkanie. W gromadzie zawsze bezpieczniejszym wszystkim było.

Na widok z mroku wychodzącej masy tej, jezdni stanęli w gotowości do obrony lub do ucieczki, ale kołodziej zbliżył się, poznał sąsiadów, i począł wołać po nazwiskach.

Byli to dwaj bracia Doliwowie, ziemianie od Szrody, o miedzę od Lasoty osiedli.

Wszebór i Mszczuj Doliwowie, równie błakaniem się o głodzie znużeni byli od dni kilku, dworce ich z ogniem poszły. Z koni pozsiadawszy zwrócili się ku miejscu przez Dębca im wskazanemu.

Kołodziej szedł uradowany przodem wołając:

— To nasi z Doliwian, miłościwy panie, Wszebór i Mszczój.

Dźwignął się nieco na łokciu spierając Lasota. Znow ogień niecierpiał poczęła kołodziej.

Nie było powitania bo czemuż się pozdrawiać mieli? chyba ocalonym żywotem nędznym, z którym nie wiedzieli co począć. Patrzali na się tylko smutnymi oczyma.

Gdy ogień błysnął żywiej, starszy z Doliwów, widząc zbroje podartą i krwawe znamiona, a twarz Lasoty wynędzniałą, nie mógł się wstrzymać od przekleństwa na wrogów.

— Ot, na co nam zeszło! — krzyknął — ot, co się z naszą ziemią stało!

Przeklęty dzień i godzina, gdy nam Mieszko i Ryksa zapanowali!

Dębiec im konie podbierał, puszczał spętane w bliskie ogrody, gdzie się, choć nędznie, pożywić mogły. Posiadali na ziemi. Z kolei narzekanie ze wszystkich się ust wyrwało.

— Z Poznania — poczęła Mszczuj — jeno gruzi też stoją. Czego Niemka Ryksa niewiozła, to Czesi za-

brali! Poszła ona precz do swoich do Niemców — za nią i syn Kazimierz uchodzić musiał. Pana nie mamy, otworem stoją rubieże, kraj bezpański, łupi kto chce. Złupili też Czesi Gniezno, obdarli kościół, wywieźli skarby drogie, pognali w łykach braci naszych jak bydło. Popalone sioła — gdzie spojrzeć pustyniał

— Zczezło marnie Bolesławowe królestwo — dodał Wszebór — rycerstwo nasze przepadło, wojuje kto chce, bośmy bezpańscy. Głowy niema.

— Tylko umierać nam, aby już oczy nie widziały końca — dołożył Lasota.

— Czechy, czechami, Niemcy niemcami — rzekł Mszczuj — własny lud burzy kościoły, pogaństwo wraca, życie nasze na włosku. Kupy się włóczą i wołają stare — Ładło a którego z władków napadną na krzyż go przybijają z urągowskiem.

— Co poczynąć? umierać? — mruknął Lasota...

W tem Mszczuj głową potrząsł.

— Kto ma siły za Wisłę ciągnie do Masława, tam, mówią pokój jeszcze, on jeden siłę ma. Co czynić do siły się garnąć chyba, a nie, to życie potracim, mówił Wszebór. My też, sami nie wiemy czybaby się do niego przekradać, aby żywot ocalić.

— Do Masława? — przerwał słabym głosem Lasota. — Co ci się śni? Człek ten niepocziwy, przechera, wszystkich naszych nieszczęść przyczyną.

Mszczuj ramionami dźwignął.

— Prawda to! ano dziś będzie dobry kto bądź, byle życie zbawił.

— Lepiej umrzeć! — mruknął stary.

Gwarzyli tak urywanymi wyrazami, gdy Dębiec przerwał rozmowę, pytając czy nie byli głodni.

— A kto dziś nie głodny! — zawołał Mszczuj.

— Co mam tem się podzielić — rzekł kołodziej. Nie wiele tego jest — byle duszę w ciele utrzymać!

Począł tedy mięso wędzone i krupy uwarzone na skorupkach, które w gruzach poznajdował rozkładać przed niemi. Lichy to był posiłek. ale się zdał

głodnym najsmaczniejszą w świecie potrawą. Dziękiowali mu niezmiernemi wdzięczności wyrazili!

— Niech ci Bóg płaci! — wołali.

— Zapłaćcie wy mnie sami — odparł Dębiec — siedzieć tu nie będziecie, powleczenie się gdziekolwiek bądź, pozwólcie mi z sobą, bo tu zginę. Jutro do dnia pewnie ruszycie w lasy, dajcież mi się wlec za wami. Wezmę co mam żywności, podzielimy się.

— Któż z nas wie, co pocnie jutro? — zawołał Lasota.

— W lasy trzeba i za Wisłę — dodał Mszczuj — innej dla nas rady niema. Masław przyjmuje wszystkich.

— Ani mówcie o tem — a sromajcie się myśli przerwał stary Lasota.

Masław? a któż tego chłopskiego syna nie znał na Mieszkowym dworze? Nie wiedzieć skąd i jak od chlewów się dobył ten parszywiec, liżąc nogi, pochlebstwem dobił do podczasowstwa, Mieszkowi potem życie skrócił, królową panię wygnał znowami swemi, Kaźmierza pana swego wypędził. To jego sprawy.

— Pewnie tak — odparł Mszczuj — ja go też nie kocham, ni bronię, psubrat jest, a no kto dziś panem? przy kim siła? albo trzeba gardło dać lub iść mu służyć!

— A! tak — wtrącił się zdala Dębiec — służyć już komu bądź, niech choć rudy pies panuje, byleśmy bezpańskimi nie byli.

Umilkli wszyscy pospuszczawszy głowy, Lasota orzeźwiawszy nieco, podniósł się sycząc, aby ciało pobite, rany i odzież potarganą opatrzyć. — Znać w nim było męża, który nie jedno przeboleawszy w życiu, cierpieć się nauczył, chłodno, śmiało, prawie nie jęknawszy, począł się rozdziewać z przywrzałej do poranionego ciała zbroi i kaftana. Krew, która była przyschła, puściła się z nowu z ran, więc bieliznę drąc, zakładał nią posieczone i pokłute cia-

ło, a drudzy nań z podziwem patrzali. Był to znak przecie, że do życia chciał powrócić i o jakimś myślał ratunku. Czekali wszyscy mileząc, aż stary dokończy, bo się im trzeba było naradzić wspólnie, co dalej czynić mieli, gdzie się schronić, dokąd uchodzić.

Nie było naówczas w kraju kąta prawie, któregoby najazdy czechów, pomorców, prusaków, nie spustoszył, lub sam lud, do pogaństwa wracający nie zakrwawił i nie zniszczył.

Możniejszym szerególnie, którzy byli wszyscy za Mieszka pierwszego i Bolesława chrześcijaństwo przyjęli, duchowieństwu wszelkiemu, rycerstwu, największe groziło niebezpieczeństwo. Nie ostał się jeden kościół, żaden klasztor całym przed napaścią, żaden cmentarz nie splugawionym. Legli od zbójcekich rąk kapłani niemal wszyscy, a wielkie dzieło nawrócenia z pomocą chrześcijańskich narodów dokonane, obalone zostało.

Na rękę było to po części Niemcom, odzyskującym przez to prawo nawracania mieczem, zawojujowania i pochwycenia znowu zwierzechnictwa nad kościołem odbudowanym.

Ruś też i Węgry korzystały z uroszczeń Bezpryma, z pogodnej chwili, aby kraje zawojowane przez Bolesława oderwać od Polski. Czeski Brześciśław myślał już o zagarnięciu całego państwa i połączeniu go z koroną swoją. Począł to wielkie dzieło od złupienia Krakowa, Gniezna, Poznania i uczynienia pustki z ziem, któremi chciał panować.

Gdy rany swe obwiązawszy Lasota, legł znowu na ziemi, a Dębiec siadł na uboczu, oba Doliwowie, spojrzawszy na siebie, pierwszą wznawili rozmowę.

— Cóż myślicie? — ozwał się Mszczuj — co czytać mamy? mówcie! starszego posłuchamy radzi.

Lasota podniósł głowę, jakby się chciał przekonać, że mowa do niego była zwróconą.

— Pytacie mnie. — rzekł. Wiem — że ja sam co czynić? Wiem, jeno czego nie uczynię. Za Wisłę do

Masława nie pójdę, srom to i hańba, parobczakowi się klaniać, gdy się namaszczoneym królom służyło. Myśmy wszyscy stali przy panach naszych, stali przy Mieszkowej wdowie, potem przy Kaźmierzu, mamyż iść do tego co nam ich odebrał? A gdybyśmy i poszli doń, chyba ażeby mu zanieść głowy nasze bo żywić nas nie będzie.

Zamilkli Doliwowie.

— Nie wiem czy znacie Masława, jak ja go znam — dodał Lasota. — Patrzałem ja nań, jak rósł na dworze z pacholęciami przy psiarni, potem rękodzielnicy i dzbanki nosił, sokoły chustał, miód nalewał, a do ucha i łask się wkładał powoli tak i do łańcucha na szyi, do pasa rycerskiego doszedł, na powiernika i doradcę. Dopiero go duma zdęła niepocziwa.

Po śmierci Mieszka, królową chciał zawładnąć, bodaj się z nią żenić i królować, a Kaźmirza się pozbyć. Rozumna pani odepchnęła go, otaczając się swojemi ku obronie. Zaczęli na nią krzyczeć, że kraju i nas znać nie chce, a przesładowali ją tak, że skarby wielkie zabrawszy, uchodzić do swoich nad Ren musiała. Został Kaźmirz, nad którym Masław chciał rozciągnąć opiekę, aby go zgubił, musiał i ten uciekać od niego. Pozbył się go prędko. Myśmy bezpańscy jako stado bez pasterza zostali, a wilk się nam stręczy miasto niego. Kraj obcy ludzie łupią i drą.

Czyjeż to sprawy jeśli nie jego!

Myśmy się precz od zdrajcy ustąpili, uczynił się poganinem aby sobie czerń pozyskał. Pogan też, ile ich jest prusaków i pomorców ma z sobą. Cóż my tam przy nim i z nim, ludzie chrzczeni i Chrystusa wyznający czynić będziemy? Ciała nie ocalemy a dusze potracim!

Mówił tak, a Doliwowie milczeli.

— Alboż to prawda, co głoszą — rzekł powoli Mszczuj — że się poganinem uczynił? Chyba na oko, nie wierzę by nim był.

W tem Dębiec, który zdala siedząc przysłuchiwał się — zawołał.

— O! miłościwy panie! To jawna rzecz, że z pogany trzyma. Stare stаницe pochowane, z ziemi i lasów dobyto, postawiono znów kamienie i słupy jak dawniej bywało. Wszystkie dawne świątki obchodzą o białym dniu. Księżdz żadnego nie żywią, a którego gdzie dopadli stracono. Masław mówi, że z księżmi przyszła niewola.

— Zły Masław — przerwał Wszebór — a gdzież i jak się schronić i ratować! W Czechach też pęta i łyka każdego czekają, na Rusz daleko, a i tam kto wie, jaka byłaby gościna? Błądzić po lasach i z głodu umrzeć, toć lepiej się od razu obwiesić na gałęzi.

Dogaśł ogień, przy którym siedzieli, Dębiec kilka główni zebrawszy, dorzucił i znowu go odżywił.

— Co czynić? co czynić? — powtarzali stroskani.

— Masława ja znam ze dworu dobrze — odezwiał się Mszczuj po przestanku — zrazu my się drużyli. Człek śmiały do wściekłości, zuchwały do szaleństwa, a reł mu się po łbie panowanie; bo mu za młodu wróżka jakaś przepowiadała, że dojdzie wysoko. I to pewna, że żadnego by nas nie oszczędził, byle mu się to na co zdało, a co mu z tego przyjdzie, gdy nas pogubi?

Mówili jeszcze, gdy szelest się słyszeć dał w ciemnościach. Nic nie widać było o trzy kroki, przestraszeni ruszyli się wszyscy, oprócz Lasoty, nasłuchując bacznie czy się konie, puszczone na paszę, nie ruszyły, zwierza uląklszy i trwogi tej nie nabawiły.

W tem płomień, które się podniosło oświecając szerzej pogorzeliśko, ukazało za węglem stojącą postać ludzką.

Człowiek stary, ręką wychudłą opierał się o kawał ściany, a dość nań było wejrzeć, aby się pozbyć obawy i poznać w nim nieszczęśliwą ofiarę, co się gdzieś z gruzów tych, głos ludzki zasłyszawszy, dobyła.

Mężczyzna był w podeszłym wieku, wynędzniały, twarzy bladej, w podartym i powalonym przyodziewku czarnym, z głową nisko postrzyżoną, na długiej, chudej, kościstej szyi sterczącą. Wiek już go był przygarbił, a wycieńczenie ledwie mu się na nogach utrzymać dozwalało. Zeschłe wargi otwarte miał, oczy osłupiałe, reszta życia już w nim tylko tlała.

Spoglądał na siedzących, jakby znajomych między niemi szukając twarzy, a z piersi znać trudno mu było dobyć głosu. W tem porwał się z ziemi Mszczyj i podbiegł ku niemu wołając

— Wyż to jesteście? ojcie Janie? wy?

Starzec głową potrząsnął, spragnionemu, wygłodzonemu mówić było trudno, a zbliżyć się też nie mógł i ściany trzymał, by nie paść drżąc cały.

Doliwa podbiegłszy, rękę mu podał i przywiódł ku ogniw.

Znany to był wszystkim proboszcz miejscowy. Trzy dni już w grobach pod kościołkiem schroniony uszedłszy oka łupieżców, żył okruszynami chleba i kroplami wody co po murach ściekała. Zasłyszawszy ludzkie głosy, poznawszy swoich, wydobył się sił ostatkiem z zakątka, w którym się na śmierć gotował.

Z całego mienia, jeno najdroższe ocalił — książkę, którą w rękach trzymał i do piersi ją przyciskał.

Dębiec pośpieszył też na ratunek staremu. — Posadzono go przy ognisku — kołodziej przyniósł mu wody, Lasota oddał swój chleb zczerstwiający. Ze łzami w oczach ojciec Jan, opatrności i im dziękował, ale długo, prócz urywanych wyrazów, nic z niego dobyć nie było można. Głos stracił z przerażenia i boleści, nie nad sobą płacząc, ale nad losem kościoła i owieczek.

Po długim spoczynku, gdy go woda i strawa do życia powróciła, począł jakby w gorączce mówić coraz silniejszym głosem.

— Patrzałem na upadek nasz—mówił, a gdybym wieki żył, z oczów mi nie zejdzie widok ten straszny.

Spadli jak burza na nas łupieżcy—za grzechy nasze. Miasto się bronić nie mogło, z okolicy tłumy się zbiegły na gród, rąk było nadto, oreża mało, a stracha więcej nad wszystko. Oprócz wojewody naszego i Żupana, przyciągnęli ludzie ze Szrody, zbiegli się z gródków okolicznych... Było więcej niż się pomieścić mogło, dusili się w okopach.

Jam przy kościele został—nie godziło mi się go opuszczać.

Włożyłem komżę, stułę i kapę, wziąłem krzyż w ręce, chrześcijanie byli choć wrogi.

Bronić się nie myślał nikt—opierać się niemożliśmy, wysłano starszyznę Prokopa z różczką złotą przeciw nim, z poddaństwem i pokorą.

Nie pomogło czołem bicie. Lud wszystek popeździli w niewolę, miasto zniszczono i złupiono. Sądny był dzień gniewu pańskiego. Mnie na progu kościoła za włosy porwała dziec, rzuciła na ziemię, tratując nogami. Bóg chciał, by ta kupa, skarbów szukając, padła do zakrystyi i skarbeca, a jam się miał czas schronić do grobów i skryć między płyty kamienne, które tam stoją.

Przyszli i tam zbóje—chodzili koło mnie, ocierali się niemal, czekałem tylko chwili, gdy mnie porwą i na śmierć pociągną—Bóg ich zaślepił. poobalawszy trumny, powywlekawszy trupy, wyszli zostawując mnie. Słyszałem nad głową moją płonący kościół—jak padały belki, jak runął dach, którego krokwie spalone na pół, przez otwarte drzwi grobowe, aż do nog moich się staczały.

Ja ocalałem, na co Bóg chciał mi życie przedłużyć! albo wiem? —dodał starzec.—Rzekł i pomyślawszy chwilę ciągnął dalej.

— Jeśli mi na co życie było dozwolone, chyba abym wysłuchał narzekania wasze i przyniósł pocie-

chę. Z nad mogiły, nad którą stoję, widzą moje oczy jasno. Nie trwóście się, że upadły krzyż i wróciło pogaństwo, ani myślcie Masławowi bić pokłony. Przejdzie dopust Boży jako wichur i burza, połamawszy gałęzie, a pni nie obali... i zazielenią się z wiosną. Ale wam nie płakać i narzekać, ani ręce łamać trzeba i padać na ziemię, ale się gromadzić i stać murem a bronić. Niewiasty płaczą, mężowie walczą, Bóg dzielny pomoże, gdy serca podniosą ku niemu.

Czyż wszystko nasze wyginęło rycerstwo, co z Bolesławem szerokie ziemie podbijało? Czy już tylko czern została, której dawno nie obawiano się tysięcy, gdy jedno serce za tysiąc stało?

Rozbici jesteście, a skoro się zbijecie znowu, krzyż w ręce ujawszy, zwyciężycie. I pójdzie czern po lasach wylękała, a zdrajcy pod miecz i stryczek szyje przyniosą.

Masławowi się klaniać!—zawołał z zapalem starzec toć jedno co Boga zaprzeć i chrztu świętego.

Złym Bóg dopuszcza godziny zwycięstwa, ale im panowania nie daje. Idźcie, zbierajcie się, radźcie, pana szukajcie. Bóg będzie z wami.

Kościół mi żal, lecz oczy moje widzą, jak się podniesie, jak się w nim ozwą hymny i chwała Pana słać będzie! Nie dajcie sercom słabnąć, ufajcie Bogu! Bóg ocali!

To mówiąc, słabnął starzec, głosu mu nie stało, chylił się już, drżącą ręką na cztery strony krzyż zakreślił, błogosławiąc słuchaczom, którzy głowy skłonili, i zamilkł, chyląc się ku ziemi. Nadbiegł Dębiec, niosąc garść słomy, którą był przysposobił dla siebie i na niej układał znużonego, który ręce na piersi złożył powieki jak do snu zamknął. Milezeli wszyscy—ogień przygaskł, i reszta też do spoczynku się brała...

Niebo na noc, zwolna się z chmur oczyszczać zaczęło, gdzieniegdzie na niem przezrozdarte obłoki,

migały gwiazdki blade. Wiatr ustawał, cisza coraz rzadziej przerywana szumem w powietrzu, rozkładała się nad doliną, w ciemnościach stojącą. Pasek tylko jeszcze wązki niebios, ostatkami zachodnich brzasków się świecił.

Słowa natchnionego starca, serca trochę dodały, myśleli wszyscy co jutro poczynać, a choć się nie radzili, zgadzały się ich myśli.

Swoich szukać trzeba było i do kupy zbijać, nadziei nie tracąc. Trzem jeźdźcem przybywał ciężar nowy, osłabły starzec, którego na łup głodnej śmierci lub nieprzyjaciela, porzucić się nie godziło. Lecz młodszy pieszo iść nie mogli, a Dębiec też mający im towarzyszyć, pośpieszać bardzo nie dozwalał i koni siły zmuszały do powolnej jazdy. Rozmýślali o tem, nie śmiejąc się odzywać, siedzieli i drzemali u gasnącego ognia.

Ojciec Jan usnął widząc znękanego, bo oddechu jego nawet słyhać nie było.

Lasota też zdawał się nie wiele dbać o swó. los, i obojętnie patrzeć na to, co go spotkać miało. Tak noc przetrwali całą. Dniało, gdy Doliwowie między sobą radzić zaczęli, w którą się obrócić stronę. Nie mówili już o Masławie, ale ku Wiśle lasami zdążać musieli, aby się, przebywszy ją, na Mazurach gdzie schronić, bo tam czern jeszcze nie powstała.

Dniało, gdy jakby cudem, ocalony gdzieś kogut, sam jeden na pogorzelisku, zaśpiewał na zaranie, oznajmiając pustkowiu początek dnia nowego. Głos ten usłyszawszy, ruszyli się wszyscy. Lepsze on czasy i spokojne dwory przypominał.

Jedyny teraz mieszkanię spustoszałej osady, nie czując co go otaczało, dobył z piersi może ostatni raz głosu, posłuszny nałogowi staremu... Głos ten, nawołujący do życia, śmierci i popioły, zdał się strasznym urągowskim a zarazem upomnieniem. Strwożeni jedni, drudzy odżywieni pod-

nosić się zaczęli, jakby ich ów czujny stróż zawstydził.

— Tak nam też przystało, póki żyjemy się obwoływać!—zawołał Lasota, podnieść się usiłując.

— W drogę!!

II.

Po nocy pogodnej i cichej, rano wstał chmurny znowu i wiatr, jakby przebudzony, obłoki nieś zaczął jak wczora. Gonił z zachodu niby za wieczornymi spóźnione.—Z razu wybiegły zarumienione i drobne, przodowi wysłańcy, tuż za nimi cała czereda szarych zwijających się w grube wały, poszarpanych na skrajach, i wnet całe niebiosy zaciągnęły się jakby smętną płótną oponą, po której kłębiły się, dymiły coraz nowe chmury gromady. Wiatr też ziemią zamiatać poczynął, i na pogorzeliskach obalał gdzieniegdzie chwiejących się dylów szczątki; padały na popielisku, a dym i kurzawa podnosiły się od nich i rozwlekały daleko.

Zimny powiew zachodni zmusił ruszać się z ziemi. Pilno trzeba było myśleć o lepszym schronieniu.

W tej gdeckiej, błotnistej, zewsząd odkrytej nizinie, lada napaść była niebezpieczną, ni się schronić tu, ni bronić nie było można. Blisko stojące lasy pewniejszym były przytułkiem. Pierwsi powstawali Doliwowie, myśląc o napojeniu koni, Dębiec też stał do posługi gotowy, zbierając się ognia rozłożyć trochę, aby ciepłą strawą jaką orzeźwić przynajmniej rannego Lasotę, i skostniałego od zimna staruszka.

Mszczuj chciał odchodząc własną oponczką okryć O. Jana, gdy, schylając się nad nim, spostrzegł, że twarz miał trupio bladą, a zlekka do niej dłoń przy-

łożywszy, uczuł, że kapłan już żyć przestał. Skonać musiał spokojnie w nocy, z modlitwą na ustach, ręce miał jakby do niej złożone i zaciśnięte na książce, którą ocalił z kościoła. Książka ta była jedyną po nim spuścizną.

Mszczuj ani się zdziwił ni użalił tej śmierci. dla O. Jana była ona dobrodziejstwem, dla podróżnych oswobodzeniem od ciężaru, któremu nie wiedzieli jak podolać. Oba z bratem poszeptawszy, gdy się przekonali, że O. Jan nie żył a skostniał był zupełnie—zajęli się najprzód pogrzebem. Dziakiemu zwierzowi a krukowi zwłok na pastwę nie podobna było zostawić, naradziwszy się więc, postanowili złożyć w kościelnym grobie, z którego wyszedł do nich wczora.

Dębiec się ofiarował dopomódz im do tego pobożnego dzieła, ale go odesłali do koni, i sami we dwu, ująwszy zwłoki za głowę i nogi o dnia brzasku, skierowali się mileczący ku zwaliskom nie zbyt odległego kościołka.

Tu jakby na przyjęcie zwłok kapłana, stała właśnie otwarta trumna dębowa, z jednego kłosa wyrobiona, z której trupa rabusie wywlekli... Do niej więc włożyli pobożnie bracia O. Jana, i wiekiem przysłoniли na spoczynek wieczny.

Zasunawszy potem płytę kamienną, która wprzód wnijsie do grobów okrywała otwór podziemią—wrócili do spalonej chaty.

Lasota przebudzony dawno, patrzył na to co się działo, lecz popadł był w rodzaj odrętwienia, który wielka rodzi niodola, — ani się cudzej śmierci mógł użalić, ani by własnej starał uniknąć.

Dębiec klęcząc warzył coś w garnku, konie były napojone, a choć pasza w na wpół wypalonych ogrodach nie wiele je posilił mogła, rzeświejsze były po spoczynku niż wczora.

Rano choć chmurny, coraz się jaśniejszym stawał, gdy Doliwowie do drogi już stali w gotowości. Lasota leżał jeszcze na rękach oparty.

— Ojcie—odezwał się Mszczuj do starego nie zdającego się myśleć o podróży—jechać nam trzeba, a i wy z nami też musicie.

Potrząsnął głową Lasota.

— Dajcie mi tu tak spokojnie zemrzeć — rzekł ledwie dosłyszczanym głosem. — Po co się już męczyć, aby nędzne życie ocalić, gdy się ono na nic nie zdało nikomu. Gdybym ręce miał.

— Serce maciel — zawołał Mszczuj — my was tu nie zostawimy.

— Księdzu Bóg oczy zamknął, da i mnie tu skończyć — rzekł stary.

— Bóg tego nie chce, gdy wam życie ocalił — dodał drugi.

Nie dopuścili Doliwowie, by się starzec dobrowolnie głodem zamorzył, niemal gwałtem nagłąc ujawni go pod ręce z ziemi podnieśli. Dębiec dopomagał, doprowadzono konia, którego rany poprzysychały, wciągnięto go nań, i ruszyli wszyscy z nieśczęśliwego pogorzeliska, które już nigdy się do pierwszej swej możności i dawnego życia podnieść nie miało. Raz jeszcze przeciągając przez zwaliska te, napatrzyć się musieli strasznego obrazu spustoszenia.

Gdziec naówczas był niemal całej Polski wizerunkiem w gruzach leżącej i popiołach, bezpańskiej, zniszczonej i pustej. Krajało się serce tym co ją niedawno jeszcze pamiętali żywą, wesela pełną, z tłumami przebiegającymi ulice, z gradami zasobnymi, z kościoły śpiewy brzmiącymi. Dziś milczała jak wielki cmentarz, a krucy się unosili nad nią, szukając niedognitych trupów i oszalałe tłumy burzyły co jeszcze stało.

W posępnem milczeniu przejechawszy około zburzonego gródka, puścili się drogą ku lasom.

Okolica jak zająrzeć pustą była, bo kto się wyrwał z rąk Czechów, skrywał się po lasach i gęstwinach. Bezpieczniej też uczuli się jadący, gdy się w pośród drzew znaleźli. Tu choć dosyć obezna-

nym z krajem, nie łatwo się teraz pokierować było. Jedyna większa droga, dla uchodzących służyć nie mogła, spotkać się na niej było łatwo z kupami zbrojnymi, albo z oddziałem Czechów, po całym rozsianych kraju. Gromady dziczy rycerstwu nie przepuszczały, a Czesi w niewolę brali. Rzucić się więc musieli w stronę bezdrożami, a Mszczuj, który myśliwym był, zapewniał iż po korze drzew się kierując, manowcami ku Wiśle doprowadzi. Nie było bowiem innego schronienia jak za Wisłą, choć ów pokój co tam miał panować, pogłoską był tylko i słuchem — nie nie ręczyło za bezpieczeństwo, a czterej zbiegowie, z których jeden był bezbronnym, drugi pokaleczonym i wycieńczonym głodem — obronić się nie mogli napaści nawet małej garstki ludzi.

Zapasu żywności też, oprócz tej jaką na plecach w worze niósł Dębiec i Doliwowie w sakwach jeszcze mieli po trosze, nie było żadnego, na długo starczyć nie mogła. Trzeba się było udać na opatrne losy.

W głębi puszczy jesień jeszcze nie była tak widoczną, ocalało tu więcej liścia, trawy i zieleni, wiatr nie dojmował tak ostro. Przebywszy przerzedzony bór od skraju, gdy się w gęszce dostali — jechali ostrożnie, nadsłuchując niemal ubezpieczeni. Przodem postępował Mszczuj prowadząc, za koniem jego szedł Dębiec, dalej włókł się koniowi ugule puściwszy Lasota, istny trup żywy — a pochód zamykał Wszebór.

Dwa czy trzy razy zwierzył im z pod nóg pierzchnął prawie, ale nikt się poń nie pokusił, gonić nie było sposobu, rzucić oszczepem zadaleko. W kilka godzin dopiero młode spłoszone sarniátko, udało się Mszczujowi, w chwili gdy przystanęło niewiedząc jeszcze gdzie pierzchnie — przeszyć dzidą rzuconą. Pobiegł za niem Dębiec i skaleczone pochwytał. Pożądana to była zdobycz. i gdy stanęli na łączce dla koni, mogli upiec kawał mięsa, którego dawno nie kosztowali.

W głębinie lasów, nie się nie zdawało ludzi zwiastować, milczały całe, a choć Mszczuj dla ubezpieczenia się ucho do ziemi przykładał, nie posłyszał nic coby obawę jaką wzniecić mogło.

Gdy konie popasłszy na lepszej trawie, której tu poddostatkiem było — napiły się w strumieniu, orzeźwiały, puścili się zaraz w drogę.

Wiodła ich ona prawie jednostajnie gaszczami, borem, zaroślami, w jednym kierunku, jak ich Mszczuj zapewniał, który już dnie i czas, gdy się nad Wisłę dostać mieli obliczał. Nie przeciwiał mu się nikt, bo lepiej znał kraj, a swego pewnym się zdawał. Lasota milczał obojętny, dawał się prowadzić, nie pytając, bo nie patrząc prawie. Czynił co mu wskazano; sam już jakby woli pozbywszy, nawet karmić się i poić dając — i nie upominając o nic. Pamiętali o nim towarzysze podróży. nie dziwiąc się temu, bo wiedzieli, że rodzinę utracił, a w nim samym życia było niewiele.

Miało się już tego dnia ku wieczorowi, gdy jadąc tak powoli, Mszczuj, który oczyma naprzód sięgał daleko, aby nie wpaść w jakie niebezpieczeństwo ręką dał znać jadącym za sobą, aby przystanęli. Zatrzymano wnet konie, uciszyli się wszyscy. Mszczuj zlązłszy ze swego, począł skulony iść naprzód, aż przypadł i pełznął na brzuchu.

Z za gałęzi drzew, już z liści trochę obnażonych, widać było, na małej łączce u pnia dębu starego, coś czego zaraz dobrze rozeznąć nie mogli. Bielala jakby odzież jakaś, niby ludzi oznajmująca. Mszczuj się tak skradając po cichu, przysunął do pnia starego drzewa, a tu, rozpatrzywszy się — wstał śmiało na nogi.

Jadący za nim domyślili się, iż obawiać się nie było czego. Skinał też na nich aby się zbliżyli.

Widok jaki mieli przed oczyma, zdumiał ich, liłość nie przestraszała obudzając. U pnia dębu siedziało z włosami rozpuszczonymi śliczne dziewczę, zaledwie lat piętnaście mieć mogące. Kwiatek ten świeży zwarzył już jakiś podmuch ostry, na zbłądłej

twarzy okrutną boleść widać było wrytą. Oczy miała zwrócone ku górze i nieruchoma tak siedziała, głyby posąg jaki. Z dwojga oczu niebieskich ciekły dwa łez strumienie, ciekły i zaschły na twarzy, na której dwie tylko krople wezbrane, jak perły się lśniły. Rączyny miała podłożone pod głowę, sparte na drzewie, a na kolanach jej spoczywała druga niewiasta sukniami owinięta, z głową zakrytą, śpiąca, chora czy zmęczona. Twarzy jej widać nie było. Obok dwóch niewiast leżały rozsypane węzélki, suknie zrzucone, kosz z jadem i sprzęt drobny.

Były same, we dwie tylko, nikogo więcej z nimi. Po sukniach znać w nich było niewiasty majątnego rodu, żony żupanów lub władków. Młodsza miała na sobie przyodziewek futerkiem okładany, druga okryta była kosztowną suknią z ciężkiej tkaniny. Na szyi dziewczeczki świeciły łańcuszki złote i wieszadła, kolce miała przy uszach, pierścienie na rękach białych wśród włosów wyglądały.

Mszczuj, który ją pierwszy zobaczył, stanął jak wryty. Piękniejszej niewiasty nie widział w życiu swoim, zdawała mu się królową, albo duchem czarowanym tych borów. Obie niewiasty były jakby skamieniałe, nie słyszały przybywających, nie poruszały się wcale. Domyślał się Mszczuj, że ta, która na kolanach dziewczeczki spoczywała, uspiąca być musiała, a ona nie śmiała ani drgnąć, by jej snu nie przerywać.

Dopiero, gdy konie bliżej podeszły a parsknęły i tentent się dał słyszeć wyraźnie, z krzykiem porwała się dziewczeczka, budząc uspiąną... Przerażona do obłąkania prawie, nie wiedziała co czynić, bo nie mogła rychło do przytomności przywieść obudzonej.

Gdy się tamta podniosła, ujrzeli w niej starszą i poważniejszą niewiastę, twarzy jeszcze świeżej i wdzięcznej, rysów pięknych, z brwiami i oczyma czarnymi, wyrazu dumnego i pańskiego, Ciemnymi

i rozrostłemi łuki brwi w półkola zwieszały się nad powiekami, przysłaniającemi źrenice wielkie i ogniste. Patrzała niemi strwożona, lecz gniewna razem. Dziewczę daleko mocniej przelekle usiłowało chwytając ją i ciągnąc, uprowadzić z sobą; gdy Mszczuj się pokazał i pośpieszył zawołać, by się nie lękały niczego.

Na ten głos, mowę swoją usłyszawszy niewiasty, choć strwożone jeszcze się tuliły do siebie, znać było, że nabrały otuchy. Starsza się podniosła, wyprostowała dumnie, osłoniła się płaszczem, którym była przykryta, i dosyć śmiało poczęła się Doliwowi przyglądać. Młodsza skryła się za nią i instyktem raczej, niż z rozmysłem, chwytając włosy rozsypane, których długie, jasne warkocze, całe jej ramiona okrywały, jakby płaszczem złocistym.

Mszczuj, choć znał dawniej na dworze, potem po grodach bywając, wszystkie niemal znaczniejsze rodziny, nie przypominał sobie tych dwu niewiast, które, gdyby je był raz widział w życiu, z pamięci wyjść nie mogły. Piękność tylko co rozkwitłego dziewczęcia tak była zachwycającą, że dość na nią raz spojrzeć było, aby na wieki o niej pamiętać. Twarz też starszej pani uderzającą była i wdziękami i wyrazem a przybraną powagą. Zdało się, jakby cudzoziemką była, bo i pleć miała śniadszą niż polskie niewiasty i na wierchnej wardze czarny puszek porastał. Silna, wzrostu więcej niż miernego, pulchna i pełna, postawę miała królowej i wejrzenie do rozkazywania nawykłe.

Chociaż to spotkanie ich w głębi lasów i przestrach młodszej dowodziły, że obie były w położeniu rozpaczliwem, same jedne, opuszczone, uciekające zapewne przed tą tłuszcą, która nie szanowała ani kościoła, ani niewiast: twarz przecie starszej nie wydawała zbyt trwogi. Brwi tylko czarne zbiegły się jej nad oczyma i dwie marszczki przecięły czoło. Patrzała długo na

Mszczuja, badając go oczyma i czekając, aż się odezwie.

— Nie lękajcie się miłościwe panie — rzekł przybywający — myśmy nie napastnicy, sami ucho-dzim od napaści. Nas tu dwu braci Doliwów, stary Lasota z pod Szrody, i człek ze służby. Jedziemy ze spustoszonego kraju od Gdecza, gdzie już i żywej nie zostało duszy.

Gdy to mówił Mszczuj, nadciągnęli jego towarzysze, którym też starsza pani przypatrywała się bacznie, a z za niej kiedy niekiedy, trwożliwie wyglądała ciekawa, kryjąca się za płaszczem, biała twarzyczka dziewczęcia.

Zatrzymali się wszyscy na widok tych niewiast samych jednych wśród lasu, bezbronnych, aż litość nad niemi brała. Walczyć z nieszczęściem wszelkiem mężką jest rzeczą i mężowi przystojną, lecz gdy niewieście bezbronnej, bezsilnej przyjdzie tak stanąć nad przepaścią na łasce dziecizy, gdy niewiasta w kwiecie wieku żywota, ginie marnie, najtwardsze serce się ścisza. Patrzali nadciągający zdjęci litością wielką; nawet Lasota, któremu własna przypomniła się rodzina, oczy otworzył zagasłe i poruszył się na swym koniu.

— Bogu najwyższemu niech będą dzięki, co was tu ku nam sprowadził — ozwała się starsza niewiasta — Bogu niech będą dzięki. Oto już trzeci dzień jak tu siedzimy same, drżąc a płacząc. Ostatni sługa, co był z nami, poszedł się rozśledzać po okolicy — i nie wraca. Na Poniec, gród nasz napadły gromady srogie — ludu ćma... Ledwieśmy z córką ujęć pośpiały z jednym starym. I tego niema teraz, nie wraca, a nas tu głodna śmierć lub zwierza pasczczka czekała...

Co z domem, co z mężem się stało! Bóg jeden wie.

Zasłoniła ręką oczy, z których łzy pociekły i zamilkła.

Wszyscy z koni zsiadali, przybliżając się nieco. Młode dziewczę, wciąż strwożone, za matkę się kryło.

Z nazwiska męża znano starszą niewiastę; była ona rodem z Rusi, greckiej matki dziecię, poślubił ją był możny władyka Leliwa. Miała imię Marty.

Za Bolesława wielkiego czasów, gdy z Rusią były ściślejsze stosunki, a chwilami przyjaźniejsze, swatali się książęta i żupany z rusinkami, brali niekiedy rusini żony ze dworu króla i po godach.

Ani Marty Leliwowej, ani córki jej nikt z przybyłych nie znał z twarzy, ni je kiedy widział w życiu. Spicymierza, inaczej zwanego Spytkiem, który nie dawno się był przeniósł na siedzibę do Ponieca, widywali nieraz Doliwowie i Lasota. Mąż to był podeszły już w latach, rycerski, odwagi niezmierniej, czego w wyprawach mnożę dawał dowody. Nie śmiano domyślać się nawet, co się z nim stało, zmiarkowali wnet wszyscy, że gdy podczas napadu czerni był doma, niżeli by miał uchodzić, raczej życie dał. Mógł żonie swej i dziewczę do lasu kazać się schronić ale sam pewnie kroku dostał.

Aby daremną mową nie rozżalać zbolełej niewiasty, nikt się nie odezwał z pytaniem o niego, ona sama, ręce łamiąc, mówić poczęła, bo się pohamować nie mogła, jak zwykle niewiasty w złej doli.

— Bóg jeden wie, co się z panem mym najmilszym stało—wołała. —Z ludźmi swojemi chciał się bronić do upadłego, a czy potrafił z tych gromad, co go osaczyły, choćby przebojem się wyrwać?

I płakać zaczęły obie. W tem Lasota, który przez całą drogę milczał, podstąpił okazując poszarpaną zbroję i ciało pokrwawione, lada jako chustami poobwiązywane, na których też zaschłej krwi plamy widać było.

— Nie narzekać już dziś na nic, a dziękować Bogu, kto choć krwi ocalił—rzekł. —Moi wszyscy zginęli. Ja cudem ocalałem. Kogo Bóg zachowa sirotą, musi się poddać losowi, poległych oplakując.

Dziękujcie Bogu, że was czerni do nogi nie wycięła, co się na rycerstwo, władków i żupanów zawzięli srodze, tak, aby plemię nasze całe po wszech ziemiach wytępilli.

Znałem ja Spytkę — nie ustąpił pewnie sromotnie, więc bodaj z życiem uszedł.

Nam też i mnogim niedobitkom, mało co żywota zostało.

Spytajcie, miłościwa pani, czy z tych naszych, co się w Gdeczu schronili, żywa uszła dusza inaczej jak w pętach.

Placz i narzekania niewiast na nowo się rozpoczęły, pocieszać je było trudno, milczeli wszyscy. Tymczasem, że się na wieczór zbierało, obozować tu postanowiono, nie chcąc i niewiast opuszczać, które na służbę czekały. Któż wiedział, czy go się doczekać mogły?

Choć w tak srogiem utrapieniu, gdy życie na włosku wisi, nie czas myśleć o piękności niewieściej i w niej się rozmiłowywać—oba Doliwowie ujrawszy córkę Spytkową, jako byli młodzi, nie żonaci, a gorącego serca, nie mogli się jej napatrzeć.

Dziewczę się kryło jak mogło za matkę, widząc jak ją oczyma prześladowali, nie pomagało to wiele, bo Doliwowie pod pozorem posług różnych bliżej się cisnęli, aby choć popatrzeć na nią, a krasą się polubować.

Rozdzielone były wprawdzie od siebie obozowiska, niewiasty się trzymały na uboczu trochę, ale młodym łatwo było wymyśleć sposoby, przybliżenia się do nich.

Sługa ów Spytkowej, na którego czekała, aby jej wieści przyniósł o mężu i o grodzie ich—nie powracał; coraz więc prawdopodobniejszem się zdawało, że go gdzieś pochwycono, albo się obłąkał w lesie, lub padł pastwą dzikiego zwierza, choć miał to być człek wielce sprawny i z lasem po bartniczemu oswojony, że w nim był jak w domu.

Jawnem to było dla Doliwów, że opuścić tak niewiast nieszczęśliwych nie godziło się. Koni nie miały, tabor niemi zwiększony, jeszcze się wolniej musiał posuwać ku Wiśle, na większe będąc narażony niebezpieczeństwa. Nikt na to nie sarknął. Doliwom obu podróż ze Spytkową uśmiechała się, bo się w niej na pierwsze wejście rozmiłowali, nie wiedząc wcale o sobie.

Już mrokiem, gdy coraz bardziej o powrocie sługi wątpić poczęto, radzić trzeba było o jutrze, bo stać dłużej, dla szczupłego jadła nie mogli.

Spytkowa zaklinać poczęła ręce łamiąc, aby ją tak samą nie porzucono. Odezwał się tedy stary Lasota, który stał się mówniejszym.

— Któżby o tem myślał. Nie przeto będzie bezpieczniej i lepiej, bo i my nie wiele możemy a przekradać się musimy, bronić nie mogąc.

— Dokądżeście ciągnęli? — spytała Spytkowa.

— My...? ku Wiśle — odparł stary. — A no inna to rzecz była nam uchodzić samym, inna z sobą niewiasty prowadzić. Doliwowie nas ku Wiśle prowadzili, gdzie na Mazurach pokój być ma; bo ten niepoczciwiec Masław żelazną ręką lud trzyma. Ale my go znać nie chcemy, tem ci więcej niewiast mu pokazywać nie można, bo nie też nie szanuje, ni czci ni życia; a siłą się swą upił jako miodem. Więc na Wisłę ciągniemy, dokąd? gdzie? Bóg wiedzieć raczy.

Nikt długo nie odpowiadał.

— E! — odezwał się w końcu Mszczuj — tak jak jest na zawsze zostać nie może. Ład wróci, nasi się skupią, tymczasem, choćby szalasy skleciwszy, przesiedzimy złą godzinę.

— A głód? — mruknął Lasota głowę spuszczać.

— Na to sobie radzić będziemy — odparli uśmiechając się Doliwowie. — Zresztą co nam pozostało? mamy o sobie myśleć i życia bronić!

Stary nie odpowiedział nic, niewiasty szeptały

między sobą i, nie postanowiwszy więcej, zamilkli wszyscy.

Już noc była prawie, gdy wśród tej ciszy leśnej popłoch znowu padł na obozujących, szczególnie niewiasty lekliwe. Szelest się dał słyszeć między gałęzmi. Mszczuj i Wszebór wnet do koni i oszczepów skoczyli. Zbliżał się chód jakiś i po chwili z gąszczy wysunął się, rozglądając ostrożnie, człek o kiju idący, z toporem za pasem i oszczepem. Był to ów wysłaniec Spytkowej, o którego powrocie zwątpiono.

Zobaczywszy go, rzuciły się zrazu niewiasty ku niemu, ale wpatrzywszy weń bacznie, wnet się powstrzymały, nie spiesząc z pytaniami.

Szedł on a raczej włókł się, zataczając ze znużenia, z twarzą zbiedzoną i posępną — łatwo było odgadnąć, że złe przynosił wieści.

Zbliżyły się rozpatrzywszy ku ognisku stanął, popatrzył litościwie na panią swą, oparł się na kosturze i milczał długo, oczyma tylko mówił, że go o co pytać nie było. Spytkowa też badać już nie śmiała, woląc przedłużyć niepewność, niż dostać wiadomość, którą przeczuwała. Stary ów Sobek, choć męskiego serca człek, popatrzywszy na swe panie, płakać zaczął. Milczenie groźne, jak te, co burzę poprzedza, panowało przy ognisku. Lasota się ozwał pierwszy.

— Zginął Spyttek? co z waszym grodem się stało?

Ręką w powietrzu zamachnąwszy, ku ziemi ją spuścił Sobek.

— Zdała tylko patrzałem — rzekł — jak dymiło gniazdo nasze — niema go już, nie został nikt, nie nie zostało.

Ranny Żugwa, co się ze zgłiszcz wywłókł do lasu, gdzie go konającego znalazł, powiedział mi tylko, że pan nasieknął dużą trupów górę, nim go dostali, a legł rycerską śmiercią. W kawały go rozsiekli zbóje.

Zaszły się do nowego płaczu niewiasty; popa-

dawszy na ziemię, ani śmiał kto ich łzy tamować. Przybyły Sobek więcej nie mówiąc, jak stał zwałił się tuż przy ogniu, bo mu znużenie wielkie nogi podcięło. Odstąpili na stronę Doliwowie i Lasota, zostawując płaczące z ich bólem i losem, naradzając się z sobą co dalej poczynać mieli.

Troje pieszych przybywało im do gromady, bo i Sobek do niej przyłączyć się musiał. Oba bracia się na to godzili, że niewiasty na konie posadzą, a sami pieszo pójdą. Lasoty z nędznej, wychudłej szkapę poranionej zsadzić się nie godziło, bo iść by był nie mógł wcale. Pieszko tak idąc, wędrówka przeciagnąć się musiała.

Odeszli z sobą dla narady dwaj bracia, a choć zgodni, jakoś tak na się patrzali, jakby się pokąsać mieli, i nieufnemi ku sobie spoglądali oczyma. Przyczyną tego było owo dziewczę, na które oba łakomie patrzali, i jeden drugiemu oczy szpiegował. Mszczuj posadzał Wszebor, a Wszebor Mszczuja.

— Ja konie moje dam dziewczynie — odezwał się Mszczuj, biorąc w bok — sam pójdę przy niej, aby się gdzie nie spłoszył lub nie padł.

— Dlaczego ty a nie ja? — odezwał się Wszebor szydersko — toć i ja to potrafię.

— A czemuż znowu tobie koniecznie ma przypaść dziewczyna? — ofuknął drugi.

Spojrzeli sobie w oczy ostro.

— Bo mi dziewczyna do smaku! — rozśmiał się Wszebor.

— I mnie toż samo! — odparł Mszczuj.

— No i mnie!

— I mnie!

Poczęli tak rzucać coraz ostrzejszemi słowy, oczyma się mierząc, jakby się wyzywali. Żaden ustąpić nie chciał.

A jak byli oba zawsze gorący i łatwi do zadarcia, już się im na gniew zbierało. Dopiero gdy

wybuch był blizki, wstyd się im zrobiło ludzi i samych sobie.

— Słuchajno — rzekł głos zniżając Wszebor — nie pora nam się o cudzą dziewczkę drzeć — dajmy pokój. Pierw ją i matkę ratować trzeba, potem się rozprawiemy czyją ma być. Spytkowa i córka niech sobie same wybierają konie, podprowadzimy je im oba.

Mszczuj głową skinął.

— Ino nie myśl — dodał — żebym ja ci tak ławtwo ustąpił. Znasz mnie, że ze mną nie łatwo.

— A ze mną też!... Znamy się oba.

— Pewno! Niema się tu o co zajądać. Dziewki żaden nie weźmie siłą.

Wszebor się uśmiechnął pogardliwie.

— Czemu? — zapytał — inaczej jak siłą rzadko się niewiasty biorą!

— A jak siłą, to siłą! — mruknął drugi.

Znowu się omal nie powasnili. Szczęściem, gdy tak na uboczu przyskaki słowy, nikt ich nie podpa-trzył i nie podsłuchał. Zamilkli w czas, rozchodząc się, z krótkiej rozprawy z sobą wynosząc niechęć i gniew wzajemny.

Nocą trzeba było, liche skłeciwszy szalasy, ognie pogasić aby nie zdradziły, a jednemu stać na straży na przemiany... Dobrze, że jesienne chmurne niebo, deszczem się tego dnia nie rozlało.

Jak tylko świt, sposobiono się do drogi. Tu znowu wczorajszy spór się wszczął, ale mileżkiem. Oba Doliwowie z końmi się parli wyprzedzając, aby je poddać niewiastom, komu się dziewczyna dostanie. Więc jeden drugiego popychał, oczyma zao-gnionemi mierząc, a żaden ustąpić nie myślał.

Zawczasu powiązano węzły i sakwy, które Sobek miał dźwigać na sobie, poodziewały się matka i córka, stały gotowe, gdy się przed niemi Doliwowie z końmi znaleźli. Dziękowała Marta Spytkowa, a popatrzawszy na nie, wybrała Wszeborowego konia, który był cięższy i silniejszy, chcąc za sobą

córkę posadzić, aby się od niej nie rozdzielać, wtem Mszczuj się ozwał, że konie ich słabe były, podróż długa, więcej jak po jednym sadzić na nie trudno.

Dziewczę się zawahało, samo od matki nie chcąc zostać, matka też porzucić ją nie rada. Goto-we były iść pieszko. Doliwowie stali a tu czas nagił.

— Miłościwa pani—rzekł Mszczuj—czasu nie-ma co tracić na rozmysły. Siadajcie wy na jedną szkapę, dziewczeczka na drugą, my przy was pójdzie-my, a na oczach ją przecie mieć będziecie.

Dziewczę się do matki tuliło, Spytkowa wahała. Lasota, którego już wsadzono na konia, nawoływał.

— Niema się tu co drożyć, gdy o życie idzie! Uściskawszy dziecko i poszeptawszy jej na ucho, choć od niej oderwać się było trudno, zasiadła starsza pani na Wszebrowego konia, Kasię dając Mszczujowi, który zwycięzko a szydersko na brata się oglądał.

Dziewczę imię miało Katarzynę, jednej z naj-powszechniej czczonych naówczas patronek.

Ruszyli więc w imię Boże, manowcami znowu i koń przed koń, tak, że dziewczę za matką zostać z Mszczujem musiało, ale się zaraz otuliło i osłoniło tak, że ani oczu nawet jej widzieć nie mógł.

Mijając ze starszą brata Wszebór, schylił mu się do ucha.

— Nie doczekanie twe, abys ty się nią długo cieszył, wezmę ją ją z kolei.

— Zobaczemy — rzekł Mszczuj.

— A no...

— Zobaczemy.

I tak się gniewni bracia rozstali. — Umyslnie wiadziono najdzikszy puszczy ostępami, w których śladów nie było ludzkiej stopy. Lasy się w tę stronę nieprzerwanie ciągnęły, a jak sobie Doliwa po-chlebiał, miały ich aż do Wisły doprowadzić, boć cały kraj naówczas nie czem innem był, tylko był ogromnym lasem, tu i ówdzie poprzerąbywanym, wykarczowanym kawałami.

Gdzie się kolwiek człek obrócił, bliżej lub dalej las widział przed sobą, i choć się trafiła polana albo łąka, tuż za nią bór się znowu zaczynał. Jechali tak długo, gdy z południa już rzadnąć począł bór i ze strachem niemalym wybiegłszy naprzód Mszczuj, postrzegł, że stali nad rozległą, płaską, odkrytą równiną.

Wprawdzie na drugim jej krańcu bory znowu widać było gęste, lecz tak daleko, iż powoli jadąc, niemal dnia potrzebowali, nimby się tam dostali. Właśnie w tej stronie kędyś i ta Wisła, za którą się schronić mieli, znajdować się była powinna. Należało więc coś obmyśleć, aby długo na widoku nie stać w przerzedzonym lesie.

Sobek się ofiarował, sakwy zrzuciwszy, wypeł-znąć ostrożnie dla rozpoznania okolicy.

Zdała już gdzieś nad ziemię podnoszące się dymy, oznajmywały, że dolina całkiem opusto-szała nie była.

Sobek, który bartnikiem niegdyś bywał, wdra-pawszy się na drzewo, dojrzał wdali spalony gró-dek, mury kościółka na pół obalone, a co gorsza — zdało mu się dojrzeć też ogromne obozowisko ludzi pieszych i konnych, z szeroko porozkładanymi ognia-mi, około których stada się pasły, bydło i konie le-żały, kupy jakieś nagromadzone sterczały.

Domyslał się, iż trafili nieszczęściem na jedną z tych gromad, które ciągnąc z osady do osady, dwory, grody, klasztory i kościoły pustoszyły, równa-jąc z ziemią. Był-li to lud z okolicy, Prusacy czy Masławowe wojsko — trudno się kto mógł domysleć, a dla zbiegów równem to było.

Potrwożyły się, chcąc nazad w puszcę niewia-sty, choć obóz leżał w bardzo wielkiem oddaleniu, godzili się wszyscy dalej w lewo brnąć, w stronę, w którą się lasy zataczały i niemi okrażyć dolinę.

Śmielszy od innych Sobek radził w gąszczy przystanąć i czekać, sam się ofiarując iść na zwiady.

Choć Lasota mu się to starał odradzić, a niewiasty stracić się sługi lękały, nie było dla podróżnych obojętnem dowiedzieć się, co się w tej stronie działo, ku której dążyli.

Nie długo się spierano, bartnik tak siebie pewnym był, a ochoczo się brał do tego, iż mu się wybrać dozwolono. Doświadczony bywalec umiał się wygadać jak było potrzeba, przybrać postać różną, udawać kogo chciał, a spodziewał się że w mnogim tłumie czerni nikt go przecie poznać nie może. Im większe były gromady, tem mu się zdało bezpiecznie, bo wszyscy się tam znać nie mogli. Mowa i odzież prosta, łatwo mu się przekraść dozwalała.

Od kraju lasu do obozowiska przestrzeń była znaczna, musiał Sobek tak się przekradać, aby nie widziano, że z puszczy wychodził.

Doliną nieco dalej przepływał strumień, którego brzegi gęste wierzby i łązy zarastały. Aż do brzegu jego Sobek położywszy się na ziemi, ostrożnie pełznąć musiał po łące i roli.

Dostawszy się do zarośli, zwolna się niemi przekradając, mógł się przesunąć do obozu i znaleźć w nim niepostrzeżony, jakby od stad paszących się nad wodą przechodził.

Ze zręcznością dzikiego człowieka, którego instynkt i wprawa wiedzie jak zwierzę, wszął się w łązy Sobek. Zdawałoby się myśliwca oko mogło dostrzedz z lekka drgające gałęzie, tam gdzie się on przedzierając ostrożnie, poruszał niemi. Baczyl i na to, trzymając się wody, gdy było można.

Dosyć mu też czasu zabrało to przekradanie się nad rzeczulką, gdy usłyszał wreszcie rżenie koni, ryk bydła i szmer a gwar ogromnej ludzi kupy. Był już około pastwiska.

Śmiały równie jak zręczny, Sobek topór zostawiwszy w łożach, sam się z nich dobył, niosąc pęk nalamanych dopiero wici, które idąc po drodze plótl a kręcił na pęta.

Nikt też na niego oczów nie zwrócił i z łożami pod pachą wsunął się w stado pasących się koni rozpierzchłych szeroko.

Ztąd już widzieć mógł, iż nie na wojsko żadne trafił, ani na Czechów lub Prusaków, ale na tę zbójcką czern, która z żagwiami i kołami od dworu do dworu ciągnęła.

Biesiadowano około pobranych łupów ze śmiechem i krzykami. Dalej do środka obozu powiązane w łyka, leżały pokotem pobrane niewiasty i wyrostki.

Za obóz wyrzuconych kilka się trupów walało, około których psy warcząc chodziły. Namiotów ani szałasów nie klecili najeźdźcy, leżąc pod gołem niebem. Palily się ogromne ognie, a przy nich piekły barany i porzniete bydło. Stały heczki poodbijane z których kto chciał czerpał. Na ziemi dostrzegł Sobek kupy owe wszelkiego bogactwa sprzętu dworskiego i kościelnego. Ponad gromadami sterczały starym obyczajem Stanice z bożyszczami różnemi. A że dawnych poniszczonych nie stawało, w większej części rzezane były ladajako, nieforemnie z drzewa.

Pieśni pogańskie i swawolne rozlegały się dokoła, bo gromady były podpiłe, a ochota wielka.

Sobek stał tak patrząc pośród koni, nie wiedząc czy iść ma dalej, gdy opily parobczak, który z biczyskiem stada pilnował, przystąpił doń i począł mu się przypatrywać. Nie uległy stary plótl dalej więc, wzajem mu też w oczy zaglądając.

— Pasza zła! — zamruczał, poczynając rozmowę chłopak.

— Ta! dla koni — rzekł Sobek — a dla nas jest jej podostatkiem. Cóżes to ty głodny? — zaśmiał się.

— Ja nie! ano mi march szkoda.

— Licho ich nie pobierze. Darmo one przyszyły, bośmy je po dworach zganiiali, choćby który i zdechł! Przecie i krukom się coś należy — mówił Sobek spokojnie.

— Na! na! — mruknął parobczak—jużby dosyć tej włóczęgi... Dwór się na okolicę pono i jeden nie ostał ani klasztor, ani kościelisko, a za chatą tęskno.

— He? cóżes to w niej zostawił? — pytał Sobek — dziewczynę?

— A pewnie, jak nie dwie! — odparł parobczak — gołowąs nie jestem, toć mi się należy.

Obrócił się głową ku obozowisku.

— E! tam ich jest kilka, tam! a no sobie starszyzna pobierze, nam ino chyba baby zostaną!

— Wróćcie do swojej, to i lepiej. Niema tam komu bałamucić, kiedy wszyscy wyszli — mówił Sobek.

— E! e! — mruknął pastuch. — Wszyscy, albo i nie.

Ziewnął i westchnął razem, a nabrawszy fantazyi z bicia trzask, że aż konie się spłoszyły, czem sobie śmiechu narobiło pacholę.

— Toć już pewno wrócimy teraz, kiedy niema co dalej robić, bo nic nie zostało! — odezwał się Sobek — a i mnie do chałupy markotno.

— Zjesz licha! rzekł pastuch. — Zostałoć horodyszcze Olszowe. Władyki się na nim zamknęły, z którymi skarby są wielkie i dziewczuch siła, a tych ani dostać. Toć musimy borsuki z jamy wykurzyć!

— Gdzie? jakie Olszowe horodyszcze? — wtrącił stary — jam nie słyszał.

— Boś stary i głuchy! — śmiał się parobczak — a gdzieżes był, gdy my tam chodzili?

— Ja? — odparł Sobek — jam trzodę pasł. Nie wiem nic.

— Toć tam ludzi nam nabito i musieli precz odejść — ale ich głodem weźmiemy!

To mówiąc pastuch świstać postął i do rozmowy nie miał ochoty.

Sobkowi też wic się rwała, kłął wołając, że po lepszą łożę musi iść. Nikt nań nie zważał. Powłókł się znowu w gąszcze nad rzeczkę. Zaszył się w nie,

postał, popatrzał, przyczaił, dopadł zostawionego topora, wetknął go za pas i zobaczywszy, że pastuch znowu na ziemi legł, weale za nim nie patrząc, napowrót począł z tą samą ostrożnością przedzierać się zaroślami ku lasowi.

Śmiała ta wycieczka szczęśliwie mu się powiodła, nikt ani nań spojrział nawet.

Szybszym krokiem, trzymając się brzegu, doszedł do cypla lasu, wypełził z zarośli i dobiegł do puszczy niepostrzeżony. Tu, na wilgotnej ziemi, dobrze dla jego oczów znaczne ślady koni poprowadziły. go do miejsca, gdzie nań niecierpliwie oczekiwano.

Nie bez obawy myśłano tam, czy mu się uda dostać języka, choć Spytkowa ręczyła za niego, iż człek był przebiegły i zręczny, jakiego drugiego nie znano, dla czego i nieboszczyk mąż, jej go i córce dał w usługi. Wrócił bartnik wcześniej niżeli się go spodziewano. Postrzegłszy idącego zdala wszyscy się doń cisnąć zaczęli.

— Cóżes widział? co za ludzie są? — pytała Spytkowa.

— Czerń taż sama pewnie, która i u nas była w Poniecu — rzekł Sobek. — Nietylkom ją na oczy oglądał, ale między nich prawie wszedłem i z pastuchem gadałem.

Niedługo pono pójdą po chatach odpoczywać, łup podzieliwszy, bo się już przed niemi nic nie zostało, krom jednego Olszowego Horodyszcza. — Tam się władyki bronią, ludzi im nabili i chyba ich głodem będą brać, bo inaczej nie mogą.

— Ho! ho! przerwał Lasota — niedoczekanie. Na Horodyszczu siedzi stary Belina ze swojemi, ten się zawczasu zasposobił, nie da się, choćby mu się i rok bronić przyszło. Belinę znam. Śmieli się z niego ongi ludzie, że w bezpiecznem miejscu siedząc, zawsze się tak zbroił, opasywał, zboże zasypywał, jakby się obłączenia spodziewał. Przed się on jeden rozum miał.

Za Bolesława myśleli wszyscy, że się już

wszystko skończyło, tylko on w nawrócenie nie wierzył, a wróżył wciąż, że poganie kiedyś kościoły wywróca, a nas chrześcijan wymordują. On ci jeden widział i wiedział co się stać miało! — dodał wzdychając Lasota.

— A czemużby my, miłośniwy panie—odezwał się do nóg mu kłaniając się Sobek — zamiast za tę Wisłę, do której się dostać trudno, nie pociągnęli na Olszowe Horodyszcze! Jabym poprowadził!

Zamilkli wszyscy.

— Wieszże ty drogę! — spytał Lasota.

— Znajdę ją — głaskając się po głowie i potrząsając nią odezwał się stary.

— A przyjmaj nas tam? — dodał starszy Doliwa.

— Jak odepchnąć mogą — zawołał Lasota — oni mi plemiennicy, ona mi krewna. Belina nigdy chrześcijanina a rycerskiego człowieka nie odepchnął od proga.

— Nie objemy go bardzo! — dodała Spytkowa, której ta myśl się wydała ratunkiem jedynym.

Doliwowie się nie sprzeciwiali, nie opierał się nikt tak szczęśliwej myśli — szło tylko o to, jak i którejdy dostać się do Belinów. Wedle powieści Sobka, półtora albo dwa dni było drogi, a do gródka docierać musiano ostrożnie, bo choć czerń od niego odstąpiła, czaty i straże dokoła zostawić musiała, na które wpaść było łatwo.

Mszczuj to przypomniat, a Lasota pochwalił. Czerń się pewnie zdobyczy nie wyrzekła i Horodyszczu zupełnie opuścić nie mogła.

Na przednie zwiady znowu się Sobek ofiarował ochoczo. Jedyne był człek, że go wszyscy pokochać musieli, bo znużonym nigdy nie był, gotów do posługi zawsze, jadła potrzebował mało, snu niewiele, do rady chętny, gdy o nim zapomniano, pół dnia milczał nie zaczepiając nikogo. Przed wieczorem jeszcze pociągnięto głębiej w puszcę dla bezpieczeństwa i żeby czasu nie tracić, Doliwowie zdali na bartnika prowa-

dzenie. Następny dzień zostawał cały jeszcze na dowolny pochód ku Horodyszczu. W niewiasty trochę ducha wstąpiło z nadzieją, że między swych miały się dostać, a nie gdzieś w ostepie obozować, Masława się ciągle obawiając, napadu i niewoli.

III.

Do dnia o słońcu wyruszono z noclegu. Nocą jeszcze wzięło się na deszcz jesienny, spokojny, powolny, do gęstej mgły podobny, który się, jak Sobek mówił kręcąc głową, na długo obiecywał. Oślizły wnet drogi leśne, obmokli wkrótce podróżni, a niewiasty, choć się od zimna poosłaniały i wilgoci, przemarzłe jechały i zmoczone. Spytkowej, gdy tylko mówić z przewodnikiem przestała, a mówiła rada, na płacz się zbierało.

Mszczuj ani wczora, ani dnia tego wiele nie zyskał na dziewczęciu, przy którym ciągle się być starał, konia wiodąc i gałęzie łamiąc, aby nie traciła o nie. Kasia wciąż unikała spojrzenia na niego, a deszcz dozwalał się jej tak osłaniać, że wcale nie mógł dojrzeć ani oczu dziewczęcia.

Starsza pani, Wszebora trzymała przy sobie rada, z żalami się przed nimi rozwodząc nieskończonemi.

A że macierzy się zalecać musi, kto chce córki dostać, Wszebór, się rachował, że co straci nie będąc przy Kasi, to odzyska przy pani matce. I śmiał się z Mszczuja w duchu. Mszczuj i tak był markotny, bo mu Spytkówna często, gdy ją zagadnął, nie odpowiadała.

Dziewczę było płochliwe, skromne, milczące na podziw, jakby w sobie młodości nie czuło. Żal i boleść może je takim czyniły. Słowa się nie mógł dopytać Doliwa; a jeśli co szepnęła, to tak prędko i cicho, że pochwycić było trudno.

Za to pani matka mówiła za dwoje. Od tej czego chciał i nie chciał, mógł się Wszebór dowiedzieć. Młodość swoją spędzoną na Rusi, pierwsze swaty, wesele, przybycie do polan, pożycie z małżonkiem, przygody swe i jego, aż do ostatnich wypadków, pokilkakroć mu, coraz co nowego wtrącając, opowiadała Marta Spytkowa. Mówiąc płakała i śmiała się czasami, gdy zapomniała o smutku, śmiech się łzami przeplatał, płacz uśmiechem, niekiedy i czarnemi oczyma zagrała, jakby jeszcze młodą była.

Mówiła o sobie, o mężu, o córce, o wielu, co się gotowi byli rozmiłować w niej, gdyby tylko dozwoliła, o wszystkim co na pamięć przyszło. Rozpowiadanie to widać dla niej było potrzebą, bo gdy Doliwy nie stało, wołała Sobka, obracała się do córki, a rzadko się jej usta zamykały.

Smutku się znać w ten sposób pozbywała, bo ledwie zamilkła, łzy się jej puszczały z oczów. Wszebór mało jej przerywał, dość było jednego słowa, by dalej popędzić nieustającą powieść.

W przeciagu jednego dnia on z panią matką tak już był poufale a dobrze, jakby się znali oddawna.

A że w owych czasach w ogóle ludzie szczerzy byli, mógł naprowadzić wprędce rozmowę na córkę i chwalić ją poczawszy, dał do zrozumienia że mu do serca przylgnęła.

— Al! toć to jeszcze dziecina! niedojrzała a słaba — odparła chmurno Spytkowa — daleko to temu, aby ją mężczyźnie dać. Gołębiami się jej zabawiać i piosenki śpiewać, pociechy by z niej nie miał gospodarz, bo rączyny ma słabe. Gdzie! gdzie! daleko do tego!

I głowę potrzasała. Nie nalegał Wszebór, rad

może będąc, że Spytkowa dziewczęciami łatwo się pozbyć nie ma ochoty.

Mszczujowi szło gorzej, a no cierpiał.

Nie odpowiadała mu Kasia, dla tego jej, idąc, swoje prawil i różnemi baśniami zabawiał ją jak mógł.

Kiedy niekiedy trochę odsłoniła twarzy, matkę chcąc zobaczyć, chusty poprawić, błyskało wówczas oczko niebieskie, szyjka biała, rumianego lica trochę, złotych włosów pierścione i wnet się otuliła znowu, a Mszczuj nic nie widział, tylko oponeę pofałdowaną, po której deszcz spływał.

Mimo młodości tak jej smutnie z oczów patrzało pieszczoszcze, taka była jeszcze przestraszona i zbolala.

Stary Lasota znów teraz milezał drogę całą, Dębiec z Sobkiem, dobrze się dobrawszy do pary, przodowali gwarząc pociechu z sobą. Tym, choć niedawno się poznali, w ciągu jednego dnia udało się zupełnie pobratać i podrużyć. Kołodziej z bartnikiem rozumieli się dobrze, jakby z jednej dieży chleb jedli. Po wycieczce śmiałej do obozu, Dębiec dla towarzysza powziął takie poszanowanie, iż mu się jak starszemu i ojcu pod rozkazy poddawał.

Sobek pilnował aby nie wpadli na ludzi, nie spotkali się z włóczęgami a wymijali drogi leśne.

Dziwili mu się wszyscy, jak miał oko i ucho i nos wprawny do pochwycenia najmniejszego głosu, światełka, woni. Zaleciała spalenizna, wiedział pewnie co się i gdzie jak daleko paliło, czy drzewo, czy mokre liście, czy dziupla przegniła. Powietrze też ciągnąc wodę w bliskości poczuł, pole rozpoznał, las od boru zdala rozróżnił. On pierwszy ostrzegł gdzie co mignęło w gąszezcy i nie omylił się ani na zwierzęciu, ni na ptaku, a najmniejszy szmer, którego drudzy się nie domyślali, chwycił i rozumiał. Nieraz zachrząszczało w zaroślach, załopotwały skrzydła ptasze, nie potrzebował głowy podnosić by powiedzieć, co

przebiegło drogę i co poleciało górą... Ślady też na ziemi czytał jakby książkę dla siebie pisaną, a nie uszła jego oka złamana gałąź, wyleżały barłóg, spasiona łąka, zmaczona woda.

Z jego łaski też na żywności nie zbywało, bo Doliwom pokazywał na pewno, gdzie zwierza szukać mieli i jakiego; a gdy na rzeczkę trafili, rękami bez saka ryby łowił. I był człęk, choć niby spokojny, nieustannie czynny, po drodze to grzyby, to jagody zbierając, to nasłuchując, to przyglądając się, a wszystko to nie go nie zdawało się kosztować.

Doliwowie też zdawszy się na niego, już się nie mieszcali do drogi, słuchali co im powiedział, bo się nie mylił nigdy.

Tak się coraz w głąb puszczy dalej dostawali, a dzień ten mimo wszelkich ostrożności nie obył się bez strachu.

Wśród lasu Sobek naprzód poczuł zgorzeliznę, ale zaręczał, że ognisko wygasłe być musiało dawno i dym tylko tak przywrzał do wilgoci. Rozpatrując się baczniej, postrzegł w gąszczu z gałęzi narzuconą kupę, która widocznie ręką ludzką była sklecona i za szalas służyć musiała. Zbliżywszy się ostrożnie, znaleźli tu śpiącego człowieka, który zbudzony nagle, postrzeższy ich, wyrwał się, chcąc uciec. Bliżej stojący Sobek z Dębem rzucił się nań i obalili na ziemię lekając się, aby o nich nie oznajmił, bo nie wiedzieli kto był.

Sobek broniącemu się byłby na razie głowę rozbijał toporem, gdyby się wczas nie obaczył, że to zbieg był, chowający się w lesie, a nie żaden z czerni włóczęga. Straszno było wejrzeć na niego, bo choć młody i silny, od dni wielu kryjąc się bez żywności, utrzymując życie wodą, liśćmi, korzonkami, wychudł był i wysechł straszliwie, a głodowa gorączka i obłąkanie go opanowało. Sił miał mało, wejście straszne, jakby mu się wewnątrz paliło, a płomień lał oczyma.

Gdy ze strachu ochłonawszy ludzie poznali kto był, litość ich wzięła nad nieszczęśliwym. Podniesiono go z ziemi, a gdy inni nadjechali, dała mu Spytkowa chleba suchego, który on chwyciwszy zapamiętale, nie patrząc, nie słysząc nic, jeść począł. W tej pierwszej chwili nie się też od niego dopytać, nie dowiedzieć nie było można. Zaspakajał głód, pozbywał się trwogi, której doznał nagle ze snu gorączkowego będąc zbudzony.

Lasota litując się chętnie tym, co jak on nieszczęśliwi byli, pilno się w zmienione lice począł wpatrywać. Mimo strasznie wychudłej i poczerniałej twarzy zdało mu się jakoby go gdzieś kędyś widywał.

Zbieg też popatrzywszy nań, zamruczał pierwsze słowo, co mu się z ust wyrwało: Lasota!

— Boże miłosierny! Toś ty nie kto inny tylko Bohdaś Toporezyk! — krzyknął stary ręce łamiąc. — Ale cóż to w lesie robisz? sam? Przecieżeś przy Kaźmirzu był i myśleliśmy, żeś z nim za granicę do Niemców uszedł, takeście się z nim trzymali. Królewicz cię lubił, nie powinien był opuścić.

Dopiero się usta Toporezykowi otwarły.

— On też mnie nie opuścił — rzekł — nadto to dobry i bogobojny pan, choć z nim ludzie sobie nie-dobrze, niepoczeiwie poczęli! Odbiłem się ja przypadkiem od dworu jego, nim ujechał do matki. Potem już wracać nie było do kogo i gonić nie miałem sposobu. Chwyliła burza i ot co się stało ze mną.

Mówiąc, jęczał Bohdaś. Stali nad nim wszysej z miłosierdziem wielkiem mu się przypatrując. Znowu tedy jednym biednym człowiekiem pomnażała się owa gromadka, a nim go odżywno i naradzono się co poczynąć dalej, wieczór się zbliżył.

Obradować musiano już nieopodal będąc od Horodyszcza, jak się dostać do niego, czy nocą odbijać, czy nazajutrz stać i spoczywać do wieczora, by potem, dnia unikając, przybyć o mroku.

Starsza pani o pośpiech nalegała mocno, trwożną będąc i zmęczoną, drudzy się wahali. Bohdasia Toporeczyka ni myśleć było porzucić, a wszystkim po głowie chodziło, im więcej ich przytułku miało szukać na grodzisku, tem trudniej z tylu gębami znaleźć mogli przyjęcie. Już się ich teraz ośmioro zebrało, a żywić w głodny czas ludzi tylu nie było łatwo obłożonym. Choć Belinowie znani byli jako ludzie chrześcijańscy i miłośni, przecie naprzód o los i przeżywanie rodziny własnej dbać musieli.

Nikt nie mówił nie, frasowali się wszyscy. Sobek spytany radził tegoż wieczora, korzystając z mroku, jechać dalej. Nieco pożywiony i napojony Bohdaś ofiarował się wlec dopóki sił stanie. Spytkowa, w której koszu była jeszcze odrobina jakiegoś napoju, dać go kazała osłabłemu, co go nieco orzeźwiło.

Więc choć ciemność nadchodziła, że słota trochę nad zachodem ustała, wszyscy się do dalszego uszykowali pochodu. Wedle rachunku Sobkowego, który nie mylił się nigdy, przed pierwszemi kury dostać się mieli do tej doliny, w środku której nad rzeczką stało Belinów, Olszowe Horodyszcze. Sobek z Dębem szli przodem, za niemi jechał Lasota, dwie niewiasty, przy których szli Doliwowie i przybysz ostatni. Tego Mszczuj pod rękę wiódł, bo niewiele jeszcze siły miał do chodu.

Spytany Lasota przez jejmość starszą, mógł poświadczyć o Toporeczyku, iż był na dworze królowej Ryksy, przy królewiczu Kaźmirzu wychowany, któremu go do zabaw dawano, starego rodu i możnego dziecięciem. Spodziewano się po nim wiele, bo i księża go uczyli Benedyktyni i sam dwór głowę otwierał, a pojęty był we wszystkim, i choć nauki miał więcej niż inni, rycerskiego ducha w sobie zachował.

Gdy tak szli, zagadł go wkrótce Lasota, pozywając ku sobie, aby się już więcej dowiedzieć, jak po-

padł w to nieszczęście, z którego cudem ocalał. Lecz o tem niechętnie mówił Toporeczyk, winę zwalając na nieostrożność własną, a domysleć się tylko było można, że wyprawiony został, aby królewiczowi, już zagrożonemu wygnaniem z kraju za matką, posiłki przywołać.

Dla niego się poświęciwszy, ścigany, odcięty od Kaźmirza, zmuszony błakać się, gdy kraj cały wojna i pożoga objęła, tułał się już, byle życie ocalić.

Na wspomnienie o Masławie cały się Bohdaś wstrząsł, zawrzał, pięści mu się same ścisnęły jak do bójki, i w gniewie okrutnie zawołał, że wołałby z głodu umrzeć lub od czerni ginąć, niż łaską jego żyć...

— Psiego syna tego imienia wymówić nie mogę, bo mnie dławił! — mówił. — On spawcał on winowajca, on zdrajca! Wszystka krew nasza na jego głowę! Nie może to być, aby go Bóg nie ukarał. Królowę naprzód, która nim pogardzała jak zasłużył, przesładował i wygonił, królewicza zamordować chciał, gdyby mu nie uszedł, sam panowania zapragnął! Wiedział przechera, że gdy się krew poleje i pustynią kraj stanie, ludzie zawołają na ratunek choćby zbója! Aleć lepiej ginąć, niż u niego łaski żądać!

I wedle obyczaju wieku Toporeczyk kląć i bezcześcić począł Masława, za którym też nikt się nie ujmował.

— Psa nie wart — przerwał Lasota — toć pewna, a skoro siłę będzie miał, poklonią mu się ludzie komu życie miłe!

— Nie doczeka zbój tego! nie doczeka, póki nas choć garść została — począł Bohdaś. — Albo nazad nie możemy powołać do nas wnuka Bolesławowego? Uszedł od nas, ale gdy doń ręce wyciągniemy, przyjdzie i panować nam będzie nie jako ojciec, ale jako dziad, bo mąż rycerski jest, rozumny, bogobojny, do boju i do rady. Czyż nas już do szczytu jak pszczoły wybito?

Choćby garść została, cesarz mu pomoc da, by Czechy zawojowaniem naszej ziemi nie urosły do zbytku. Iść trzeba, prosić, wołać!

— Toć to syn Ryksy! — szepnął cicho jeden z Doliwów.

— Wiem ci ja — gorąco począł Toporeczyk — że królowej matki nikt u nas nie lubił, że jej wszystkie złe przypisywano.

Jam patrzył tam, jam żył. Nie tak było, nie tak! Królowa pani pobożna i rozumna, surowa była dla ludzi, przeto jej nie lubili, ale sprawiedliwa i miłosierna. Prawili na nią, że naszych nie cierpiała, a Niemcy się otaczała, prawda i to, bo nikt się też do niej nie garnął, obyczaj nasz stary pogański zrażał ją i zniechęcał. Bała się ludzi naszych, wołała z pobożnemi i mądrymi obcować, o świętych sprawach słuchać. Rady ich zasięgała, bo jej z kądzindziej wziąć nie mogła. Nasi na nią koso patrzali.

Al! al! — mówił spoczawszy nieco Toporeczyk — nie łatwo to zrozumieć jak i co się stało z nami. Czujemy tylko, że nas ręka Boża dotknęła, za to żeśmy własnych panów szanować nie umieli. Za to dziś czerń nam karki gniece!

Gdy tak rozповідаł, a wszyscy go słuchali ciekawie, po długim i nużącym pochodzie, już w głęboką noc, kazał się naprzód jadącym uciszyć, potem stanąć Sobek, bo się już las przerzedzać zaczynał i zdało się, jakby się już zbliżali ku dolinie, wśród której stało Olszowe Horodyszcze.

Trochę też jaśniej się na niebie zrobiło, bo resztką księżycy weszła była i choć z za obłoków przyswiecała.

Sobek poszedł znowu przodem skradając się by wypatrzeć, czy dokoła gródka kupy jakie, oblegające go lub strzegące nie stały. Wszyscy więc nieruchomie w gąszczach się zatrzymali; a bartnik przygarbiwszy się po pod krzaki wsunął i puścił na zwiady.

W istocie dolina, którą mieli przed sobą, była ową Olszową, a w pośród niej nad rzeczką Olszańką zwaną i moczarami ją otaczającą, wznosiło się horodyszcze, na kopcu dość wysokim i mocno obwarowanym. Wały i ostrokoły wysokie, całe je niemal osłaniały tak, że ledwo gdzieś z za nich dachy wyglądały.

W dolinie Sobek nie dojrzał nigdzie żywej duszy, nad rzeczką tylko ślady były świeże jeszcze ogromnego zbiegowiska wydeptane, wyleżane, wypalone miejscami. Głównie zgase, koły, przy których konie stawiono, jamy na ogniska pokopane w ziemi, reszty poobalanych szałasów, kupy kości białych zalegały dokoła.

Na gródku też, do którego Sobek zbliżyć się usiłował, cisza była jakby wszyscy wymarli, ani świata, ani głosu. Dobrze się dopiero wsłuchawszy, po szmerze i chodzie rozpoznał, iż na wałach stróżę czuwali i chodzili.

Opatrzywszy jeszcze z której strony wrót do wniścia szukać było potrzeba, powrócił nazad śpiesznie posłany, aby natychmiast gromadkę swą prowadzić, póki do koła cicho i bezpiecznie było.

Zaledwie z lasu się wysunęli w dolinę, gdy na gródku posłyszeli nawoływanie, znać ludzie czujni postrzegłszy ich, zaraz się ruszyć musieli. Sobek, który po nocy jak kot dobrze widział, dostrzegł, iż po nad ostrokołami ludzie wyglądali tu i owdzie. Im się ku gródkowi bardziej zbliżali, tem ruch silniejszy się stawał. Do wrót wiodła droga stroma, pozawalana umyślnie kamieniami i belkami, w kilku miejscach poprzekopywana; po nocy z wielkim trudem i niebezpieczeństwem przyszło ją przebywać.

Zostawując za sobą towarzyszków, jakby rozbudzony, ruszył przodem pierwszy stary Lasota. Czatowno już nań u wrót, bo gdy huknął i nawoływać zaczął: Belina! wnet mu się odezwano.

— Kto i z kądz?

— Ranni, nieszczęśliwi, sieroty, dwie niewiasty i kilku niedobitków—zawołał stary—miłosierdzia waszego prosimy. Ratujcie, kto w Boga wierzy, przytułek dajcie!

Na to pierwsze wołanie czy się naradzano, czy wahano, długo nie było żadnej odpowiedzi. Lasota zniecierpliwiony, do samego Beliny odzywać się począł, aby ku niemu wyszedł.

— Belina! stary! bywaj do mnie! na miłosierdzie Boże.

Znów tedy czekano długo, a za ostrokołami szmer tylko i tupanie słychać było. Aż w górze na pomoście pokazała się postać jakaś ciemna, męczyzna w wysokiej czapce na głowie, z kijem białym w ręku.

— Podwórca i gród nasz jak nabił pełne, chleba omal mamy. Choćby dusza rada, jak przyjmować! My się tu sami ledwie przekarmić możemy...

— Dajcież nam choć, bez chleba, w spokoju u was głodem pomrzeć raczej, niżbyśmy w ręce zbójów i niewolę haniebną wpadli — krzyknął Mszczuj.

Milczano długo. Spytał głos z góry.

— Kto wy?

Lasota się pierwszy wymienił, bo był im znany i pokrewny, powiedziano potem o Spytkowej z córką, dalej o dwu Doliwach, wreszcie Toporeczyka wymieniono i sług dwu.

— Osiem dusz! osiem gąb!—z góry wołać zaczęto.—Nie może być, tu na trzech miejsca niema.

— Niewiasty weźmiemy!—zakrzyczał głos drugi.

— Belino stary—przerwał Lasota, na głos doniosły się siląc, w którym gniew czuć było.—Chcesz, byśmy tu ci legli pod wrotami srom czyniąc, żeś chrześcijańskiego serca nie miał. Dobrze... Legniem, niech nas tu wilcy jedzą pod oczyma waszemi!

Na pomoście wszczął się gwar i swary, słychać było żwawą sprzeczkę. Jedni chcieli uczynić miłosierdzie, drudzy się wzbranieli. Lasota i Doliwowie nie mówili nic. Toporeczyk milczał, siadłszy na ziemi,

Spytkowa ręce łamiąc lamentowała głośno, dziewczę płakało po cichu.

— Gdyby już nas choć puscili—wołała Spytkowa—rzucę się im do nóg, nie może być, żebym nie wyprosiła dla was schronienia.

Po przestanku, ktoś się z za ostrokołu pochylił ku dołowi.

— Bohdaś Toporeczyk? Toś ty?—zapytał.

— Jam ci albo cień mój bom ledwie żyw—rzekł głowę podnosząc Bohdaś.—Byłbym już umarłym gdyby nie miłosierdzie tych ludzi.

— Niewiast dwie, Lasota i Toporeczyk! — zawołano z góry — więcej nikogo. Dziej się wola Boża!...

Stało się milczenie, Spytkowa poczęła się przebijac ku wrotom, aż Bohdaś wstał i podstąpił.

— Niewiasty puszczajcie—rzekł—ja nie pójdę bez drugich, zostanę z niemi. Gdyby najmniejszy ze sług za wrotami miał zostać, ja także. Albo wszyscy, albo nikt. Pójdziemy dać gardło Masławowi.

Oslabły Bohdaś tak głos podniósł nagle, że się drudzy postraszyli, życie mu wracało z całym ogniem młodości.

Znów tedy na górze się swarzone i rozprawiano, a wrota stały zaparte. Bohdaś wpadł w gorączkę.

— Puszczajcie niewiasty!—wołał — choć to się należy, aby dzieć ich nie zbezczeszcila i nie znęcała się nad niemi. A nie chcecie ocalić braci, chrześcijan ubogich, żeby z niemi kawałka chleba nie dzielić, kat was porwij! Godniście, aby was dobyto i wyrzezano lub popędzono w niewolę.

Śmiałe te wyrazy nie wywołały odpowiedzi, wszystko zamilkło. Potem jeden się strofujący głos podniósł, a inne zamilewały. Wśród tej ciszy słychać było szlochanie Spytkowej i gniewne przekleństwa Mszczuja.

Zmęczeni podróżą posiadali u wrót na kłodach

i kamieniach. Miłosierdzia prosić już nikt nie chciał, wszystkich gniew okrutny burzył.

Czas jakiś tak upłynął, a nie można było wiedzieć co się stanie, gdy za wrotami światło się ukazało, stąpanie zbliżyło, drągi i zapory, któremi była zawalona furta, zaczęto hałasując odrzucać.

Nikt się już nie odzywał, ani prosił. Po długiej i mozolnej robocie około wrót z ciężkością się one roztwarły i sam stary Belina, poważny, otyły, silny, wzrostu wielkiego z długą bladą twarzą męż, lat średnich, ukazał się w nich na mieczu oparty.

— Chodźcie wszyscy—rzekł chmurno—chodźcie, a nie mówcie nic, aż oczyma własnymi ujrzycie, co się tu u nas dzieje.

Wstąpiła tedy pierwsza śpiesznie Spytkowa, córkę za sobą wiodąc, i ledwie próg przeszedłszy padła na kolana, Bogu i gospodarzowi dziękując, który stał nie ruszywszy głową w myślach pogrążony.

Wszedł potem Lasota, Toporezyk, Doliwowie i słudzy, którzy konie za sobą wiedli. Dwóch pacholców u wrót trzymało smolne pochodnie, gdy w pierwsze podwórce wchodzili, a tuż za nimi znowu furte poczęto zabijać i umacniać jak była...

Belina milezący przodem idąc prowadził, na witanie czasu nie było.

Podwórza w grodzisku w istocie widok przedstawiały dziwny i straszny, litość mogący obudzić. Jak okiem zajrzeć, jednym pomostem, na gołej ziemi, na słomie, w błocie leżeli ludzie tak ściśnięci, iż ścieżki pomiędzy nimi do dojścia nie było...

Naród to był wszelkiego stanu i wieku, matki z dziećmi na rękach, wyrostki tulące się przy kolanach starców, wojacy w poszarpanych pancierzach skórzanych, z których żelazne łuski się sypały, zgrzybiali mężowie bez okrycia głowy, z obnażonymi pierściami, napół nadzy.

Kto ledz nie mógł, siedział sparty o częstokół, o ścianę, o plecy sąsiada, o nogi jego. Niektórzy ze

znużenia, może z głodu, spali tak głęboko, że ich ani światło, ani głosy, ani potrącenie nogami przechodzących obudzić nie mogło. Drudzy, których sen nie brał, siedzieli popodpierani na rękach, z włosy rozpuszczonemi w nieładzie. Inni jeszcze zrywali się przestraszeni, nie wiedząc co się stało, myśląc, że nieprzyjaciół nadchodził, oszczepów szukając i krzycząc...

U szop, pod budynkami, w sieniach, wszędzie tę nawałę ludu nieszczęśliwego widać było. Twarze zbladłe, żółte, wynędzniałe dowodziły, że i tu ledwie czem było życie utrzymać. Nowi przybysze wpuszczeni w ten tłok, musieli sobie za Beliną drogę torować, wśród tych pokotów nieraz następując leżącym na ręce i nogi. Belina więc naprawdę mógł tylko ukazać, co się u niego działo, aby się uniewinnić, że przybyłych zrazu wpuszczać nie chciał.

Przez szopę i drugie wrota weszli w wewnętrzne podwórce gdzie stał dworzec. Znaleźli w nim kilka rozbitych namiotów i poklecone z chrustu i chizyny, ale i tu tłok był też niezmierny, wszystkie kąty zapełnione ludźmi, końmi, bydłem i owcami. Trzody musiano schronić pod szopy a dozorować, aby zgłodniał ludźmi, jak to się już trafiało, nocami, nie zabijali potajemnie dla odżywienia się.

Tu pod namiotami chroniło się co było przedniejszego z rycerstwa i ziemian. Niewiasty ich z żoną Beliny, dzieci i co słabsze pod dachami mieszkało.

Stary gospodarz z posępną twarzą wwiódł ich naprzód na dół do wielkiej świetlicy, gdzie za lepszych czasów izba była gościnną i stołowa. Gmach to był długi, na słupach dębowych oparty, w którym oprócz stołów, ław i ogniska ogromnego kamieniem obłożonego, nic więcej nie było. Ściany okrywały od góry do dołu porozwieszane odzienie i zbroje tak, że ich nawet widać nie było. Tu też mostem ludzie leżeli na ziemi, na ławach, na stołach, pootulani w płaszcze i oponcze, niektórzy ledwie nie w komi-

nie samym, na którego skraju kilku spało razem ściśniętych.

— Patrzajcież—rzekł odwracając się gospodarz—patrzajcie a nie winujecie mnie. Zdawna już nie mamy nic oprócz trochy solonego mięsiwa, kaszy i maki. Warzymy w niej polewę aby życie utrzymać.

Ręką na podłogę wskazał.

Potem, że już słowa zbyt wiele były, mruknął tylko.

— Mieście się sobie gdzie i jak możecie. Niewiasty do moich zawiodę. Co Bóg da to da!

Leżący na podłodze, stołach i ławach, przebudzeni światłem i głosem tu i owdzie, przecierając oczy podnieśli głowy, przypatrywali się stojącym jeszcze przybyszom. Z kilku kątów odzywały się wołania.

— Lasota! Mszczuj! Wszebór!

Bohdasia Toporeczyka chwycił już był syn gospodarza, młody Belina, z którym na dworze królowej i królewicza byli w drużbie serdecznej, chwycił go i ścisnął wołając:

— Nie win nas bracie, nie win, a patrz.

Stary Lasota, któremu sił nie starczyło, nie pytając i nie czekając, jak stał, miejsca trochę opatrzywszy, padł między leżących, głową komuś na nogi. Ten się nawet nie ruszył, ległszy starzec dyszeć począł a jęczeć.

Ci co się przebudzali, radzi byli miejsce zrobić przybyszom, zsunęli się jako mogli. Więc choć w ciemności i zadusze, na pierwszą noc przypadł kto gdzie mógł, a młody Tomko Belina umieściwszy Bohdasia w kącie, aby mu tam było wygodniej, sam poszedł na straż.

Zaledwie światło zagasło, pospali się znowu wszyscy, a kto nie usnął, dyszał cicho, aby drugich nie budzić.

Sobek i Dębiec w pierwszym podwórzu razem z końmi zostać musieli. Tak się skończyła owa wędrówka niebezpieczeństw pełna, szczęśliwiej niż by się kto mógł spodziewać.

Nazajutrz rano, ledwie świt ruszać się poczęli niektórzy i wychodzić z zaduchu, na wały gdzie już i lud wszystek rozbudzony słychać było gwarzący, płaczące dzieci, nucące niewiasty, spierających się ludzi, wrzawę niemalą dokoła.

Obraz ten po dniu, prawie straszniejszym był niż nocą, która nie dawała lica ludzkiego dopatrzyć, a snem ból skrępowwała. Teraz się to wszystko rozbudzone poruszało i w słowach a jękach skarżyło na niedolę swoją. Matkom, co dzieci przy piersiach miały, pokarmu brakło, kikoro niemowląt poumieralo nocą z chłodu i głodu. Zawodziły z płaczem wielkim niewiasty, obstępując żółtkę i zinniale zwłoki. Jęczeli chorzy, wołali o pokarm głodni, a co żwawszego było wodę nosiło, niemocnym służyło.

Starszyzna powyznaczana przez Belinę, z kijami chodziła czyniąc porządek i nakazując milczenie. Żadna noc tu nie przeszła, żeby kilku ofiar nie wzięła. I tej też ludzi starszych, co chorzy byli, dzieci kilkoro umarło.

Krzątano się około pogrzebów, których na gródku nie było gdzie sprawić. Musiano furtę odmykać i ludzie z łopatami szli, niosąc zwłoki do blizkiego lasu, aby je tam pogrzebać. A śpieszyć było trzeba i oglądać się, żeby czatująca czerń nie napadła.

To był pierwszy widok, który oczy przybyłych uderzył, gdy zrana wyszli, aby się z wałów rozpatrzeć, do koła. Nim z nim zeszli, wołano na mszę świętą w drugie podwórze, gdzie na górnym ganku, codzień rano o. Benedyktyn Gedeon, człowiek wielce świątobliwy, ocalony z Trzemeszeńskiego klasztoru, odprawiał ją, aby ducha i męstwa nieszczęśliwym dodawał.

On tu jeden, wśród tej strasznej powodzi i zniszczenia, gdy wszyscy o miłosierdziu Bożem zwątpili, rozpaczy się poddając, spokojnym umysłem swym odwagę umiał natchnąć i nadzieję. Ażeby ów mnogi

lud mógł się modlić w czasie świętej ofiary, na górnym pomoście ustawiono ołtarz, który zdawa widać było. Kto chciał, ten i z drugiego podwórca przez wrota szerokie kapłana mógł widzieć i modlić się z nim razem.

Widok był piękny choć smutny, gdy co żyło cisnąć się poczęło, mężczyźni i niewiasty, aby się modlić do tego Boga, w którym jednym ratunku nadzieję pokładano.

Cicho się stało w podwórcach, tylko płacz niewiast i westchnienia przerywały milczenie. Było ich tu wiele osieroconych jak Spytkowa i jej córka, których mężowie, ojcowie i bracia poginęli w walkach, zabłąkali się bez wieści. Większa ich część w białych zasłonach, czepeach i namitkach siedziała, stała, klęczała na uboczu, tak, że twarzy ich dojrzeć nie było można. A że ścisk ludu był wielki, z rozkazu o. Gedeona osobno była ustawiona pleć biała, oddzielnie mężczyźni.

Wszyscy prawie ci zbiegowie, choć jak Lasota, niegdy się do najmajętniejszych liczyli, teraz odzieży całej nie mieli, stali w porwanych opończach, w siermięgach pożyczanych, w kaftanach zabłoconych, jak kto przyszedł, w łachmanach prawie.

Nad starym Lasotą, który pokaleczony był, a nie prócz porąbanego kaftana i poprutego pancerza nie miał, ulitowawszy się Belina, nazajutrz zrana przyniósł mu szmaty do poobwiązywania ran i opończę dostatnią. Pancerz rzucić musiano w kącie a kaftan też krwią pobroczony na nie się nie zdał. Sobek, który i do tego sprawny był, poobmywał mu i opatrzył rany. Tak samo Tomko Belina przyodziął Toporeczyka, którego dawna odzież od wilgoci się popadała i niemal na nim pogniła. Ale Bohdaś tego dnia wstać o swej sile nie mógł, i gdy przyszła godzina roznoszenia strawy, musiano mu ją przynieść do tego kąta, w którym leżał.

Strawa to była licha. Chleba już oddawna piec

nie mogli, wszyscy więc zarówno, mężowie i niewiasty i dzieci obchodzili się polewką z mąki, rzadko mięsa kawałkiem, lub trochę tłustości okraszoną.

Nikt się na głód uskarżać nie śmiał, troszczono się tylko, czy na tyle głów stanie długo strawy, nim się rzeczy na lepsze obróć. Stary Belina sam w zasieki i bodnie codziennie zaglądał, oczyma je mierząc, na jak długo w nich życia było.

Chociaż czerń, która oblegała gródek, ustąpiła od niego, widziano, że to pokój był nie trwały, że na głód rachowano co poddać się przymusi.

Nieraz też już tu mowa była, czy nie iśćby przebojem na Wisłę. Lecz tam trzeba się było albo poddać Masławowi, albo z nim do walki wystąpić. Znaczniejsza część, albo raczej wszystkie rycerstwo zamknięte na Olszowem Horodyszczu, brzydziło się Masławem i pogaństwem, nawet ocalenia nie chcąc szukać u niego.

Radzono codziennie i nie uradzić nie umiano, a gdy spory i rozprawy kończyły się, o. Gedeon zamykał je jednemi zawsze słowy:

— Módlmy się, w Bogu ufność miejmy, Bóg pomoże!

Tylko młodość w takim ucisku szczęśliwą jest, że na chwilę o niem zapomnieć może. Któżby się domyślił, że nazajutrz rano pierwszą troską obu Doliwów było dosledzić, gdzie się niebieskie oczy Kasi podziały. Wstali natychmiast zabiegając i kręcąc się a dowiadując, gdzie córka lub matka być mogła.

Już w drodze z powodu dziewczęcia tak się z sobą jakoś nie mówiąc o co poważnili, iż unikali nawet rozmowy, i jeden od drugiego głowę odwracał. Obu piękne dziewczę z myśli wyjść nie mogło. Wsebor sobie panią matkę tak pozyskał w ciągu drogi, że już jej dla siebie pewnym był, ale nie obrachował tego, że żwawa i raźna jeszcze niewiasta, nie dla córki, a dla siebie samej na niego okiem rzuciła. We wdowieńskim stanie, bez opieki, mówiła sobie, trudno

pozostać było... Chciała niby nie sobie męża, a dziewczynie dać ojca i dla niej się poświęcić.

Wszeborowi co innego się śniło.

Mszczuj, który czasu podróży nie mógł się zbliżyć do trwożliwej Kasi, dlatego może goręcej się jeszcze w niej rozmiłował. Myśleli teraz oba ino o tem, jakby dalej serdeczne zamysły prowadzić.

W obu ich jedna krew była gorąca, lecz jak się to w rodzinach zdarza, inaczej ona u Wszebora, inaczej w Mszczuju grała. Zapaleczywi oba, każdy po swojemu do celu zmierzali. Na łowach Wszebór się rad zasadzał na zwierza, a Mszczuj gonił i ubijał, pierwszy dzień cały gotów był strawić w szalasie na przesmyku, byle się zwierza doczekał, drugi wołał ścigać i walczyć. Tak samo i we wszystkim czynili. Wszebór mileżkiem a zrzecznością, Mszczuj, gorącym sercem i gotową zawsze dłonią.

Na Olszowie Horodyszczu, w pośród tego natłoku, gdzie mężczyźni musieli być oddzieleni osobno, trudno było kogo zobaczyć i dostąpić do niewiast. Trzymały się one osobno w kilku izbach, pod opieką Belinowej, mało która i wyjrzeć śmiała dla samego sromu, bo niebyło kątka, zkadby oczów bez miary nie patrzyło i uszu nie podsłuchiwało.

Więc choć oba rozmiłowani bładzili po podwórzach głowy zadzierając, jakby wróblów pod strzechą upatrywali, nie postrzegali nigdzie tych, za któremi gonili. A tu im i trzeci przybył, młody Belina, który zrana do leżącego Toporeczyka przyszedłszy, gorąco się go jął rozpytywać o Kasię Spytkównę, bo mu się srodze najrzane liczeko podobało. Widział je i Toporeczyk zdala, ale ten zbolały był tak i strapiiony, że go nawet krasa niewieścia nie mogła rozbudzić.

— Daj ty mi spokój z dziewczyną!—odparł spytany—ani znam, ani wiem co są za niewiasty. Spotkałem na drodze, gdym ledwo żyw był, starsza mi pić dała, za co niech jej Bóg stokrotnie płaci. Pytała o Doliwów, jeżeli co powiedzieć zechcą, bo mi się

widzi, że oni oba zęby ostrzą na owego wyrostka. Mnie to nie w głowie.

— Dzieweczka jak malina!—rzekł Belina.

— Choćby była jak anioł, co ich w kościołach stawia, nie pora o dziewczętach myśleć, gdy na gardło nieprzyjaciół następuje—rzekł Toporeczyk.

Rozśmiał się Belina i zamilkł, ale znać mu grzeszna myśl z głowy nie wyleciała, bo gdy Doliwowie napróżno się nablądziwszy po dziedzińcach, jeden za drugim powrócili do izby, do nich przystał pytając, co były za niewiasty. Ci też w słowach skąpi, nie wiele mu powiedzieć chcieli. Kolnęło ich to, że już i więcej ktoś począł myśleć o dziewczęcin.

Tak wśród tych chmur, jak słoneczko jasne, krasna twarzyczka młodym oczom na pociechę i utrapienie zaświeciła. Młodość taka jest, że i w największym ucisku serce jej bije, głowa marzy. Starzy rozprawiali o obronie, o chlebie, tamtym niebieskie oczy o niczem myśleć nie dawały.

Gospodarskiemu synowi Tomkowi Belinie, który do matki i niewiast przy niej będących, przystęp miał łatwiejszy, prędzej się trafić mogło najrzeć choć zdala piękne dziewczę. Doliwowie o zbliżeniu się do niej i myśleć nie mogli.

Z południa jakoś starsza pani Spytkowa sama wyszła się dowiedzieć o tego, co jej w podróży tak dobrze posługiwał, a tak pilno słuchał. Zobaczywszy ją zdala, oba się wnet ku niej rzucili. Pamiętna przyjaźni Wszebora wdowa, pod chustą mu wyniosła coś ze swojego zapasu podróżnego, aby podkarmić opiekuna, a zobaczywszy brata z nim, datek swój na dwu rozdzieliła.

Poczęli się oba pytać o nią i o córkę.

— Bogu dziękować—wzdychając odparła pani Marta—żeśmy się tu dostali. Przynajmniej między ludźmi jesteśmy, a co drugim to i nam! Tu ginąć byłoby rażniej. Obieśmy zdrowe, choć długo tę drogę i nasze nieszczęście czuć będziemy.

Tak rozpoczynawszy Spytkowa, choć na niedolę się skarżyła, twarzą wesołą zwróciła się do Wszeborę, białe ząbki wyszczerzywszy.

I już się jej usta nie zamknęły, tyle znów do opowiadania miała, czego Mszczuj jeszcze nie słyszał, o dostatkach swych dawnych, o mieniu i wielmożności, o miłości nieboszczyka dla siebie, o wszystkim co przeżyła. Frasowała się już teraz tylko, jakby się na Ruś do swoich dostać mogła, gdzie była pewną opieki, pomocy i rychłego nawet zamążpójścia, bo tam za nią niejednego wzdychała.

Trzymała ich tak obu długo stojących przed sobą w milczeniu, to ku jednemu, to ku drugiemu czarnemi oczyma poglądając, to śmiejąc się, to łzy ocierając, to ręce łamiąc, to niemi rzucając i wywijając, bo była niewiasta żywa i mówna, a wiedziała pewnie, że się mężczyznom podobać może. Drudzy też, obcy, schodzili się słuchać i patrzeć, a im więcej ich było, tem się weselszą zdawała, tak, że gdy żegnać się przyszło i do córki wracać, łzy jej zupełnie posychały.

IV.

Jesiennego poranku dwóch ludzi w proste siermięgi przyodzianych, na lichych szkapach, których siedzenie z podesłanego grubego sukna się składało, podjeżdżali zwolna ku dosyć szeroko rozlanej Wiśle, która od jesiennych ślot wezbrała.

Zdała już na wysoko podniesionym brzegu jej widać było zameczysko i stare miasto u stóp jego rozłożone.

W mieście i okolicy ludu i ruchu dosyć było. Około zameczyska, opasanego wałami, z po za których malutki kościółek bez krzyża, niegdyś Benedyktynski, wyglądał (bo ich tu Bolesław w roku 1015 osadził), roilo się jakby wojsko jakie, kupami poustawiane. Gdzieniegdzie po nad niemi dostrzedz było można Stanię na wysokich żerdziach powbijane w ziemię i chorągwie czerwone.

Dwaj jadący spojrzeli na siebie. Jeden z nich opalony, pomarszczony, zestarzały, choć jeszcze żywy, z oczyma bystro patrzącemi, był to bartnik Sobek, wierny Spytkowej sługa, drugi pokaźniejszy, młodszy, mimo prostej siermięgi do wojaka podobniejszy niż do kmiecia lub prostego osadnika, był Wszebór Doliwa. Wysłano ich obu na zwiady z Olszowego Horodyszcza, choćby do Masława dotrzeć przyszło, aby wiedzieć co tuszyc i jak sobie radzić.

Choć nie bardzo chętnie ważył się na to Doliwa, bo nie chciało mu się od Spytkowej i jej córki, ale nastali nań wszyscy, gdyż się sam chlubił z tego, iż na dworze Mieszka komornikiem był razem z Masławem i najlepszym jego powiernikiem. Dziś ten Masław niepocziwie urosły, z lichego pacholika, knieziem się płockim nazywać kazał i o zawojowaniu całego spustoszonego kraju zamyslał.

Trzeba było wiedzieć zamkniętym na gródku jak rzeczy stoją i czy się godzi od czerni życie ratując, na Masława rachować, Wszebórowi nie się stać nie mogło, a na przebiegłość swą wiele liczył.

Sobek, jako prosty człek, niczego się tu nie lękał. Wolalby był Doliwa nie stykać się z Masławem, ale mus był wielki. Na horodyszczu prędko żywności zabraknąć mogło, dostać się w ręce czerni, jedno znaczyło co głowę na pień położyć, musiano więc próbować, ażali się ocalić lub okupić nie da.

Dodano za przewodnika Doliwie starego bartnika, który sobie wszędzie radę dać umiał, nie zawiódł się na nim i w tej drodze, gdy ciągle wymijać przy-

szło gromady zbrojne, osad unikać, nocami więcej niż dniami się przekradać. Sobek tak go umiał prowadzić, iż z nikim się nie spotkawszy, nad ów brzeg Wisły przybyli cało i bezpiecznie.

Wszebór, który zrazu bardzo zuchwale prawił o spotkaniu się z Masławem, a w przyjaźni jego wielce był ufny, teraz dopiero, gdy ujrzał przed sobą miasto i chwila przyszła stanąć przed nim, zadumał się mocno.

Wątpliwość się w nim zrodziła jak go przyjmie i czy na dawną dróżkę zechce pamiętać? Od czasu, gdy się na dworze widzieli, dużo się rzeczy zmieniło, a z tego co o Masławie prawiono, trudno było dobrze wróżyć. Ale i wracać nie była pora.

Sobek mu w oczy patrzył milczący, i ku rzece wskazywał.

Wszebór rozmyślał teraz, czyby nie lepiej już było, poznać się nie dając, zdala wszystko podpatrzeć a Masława uniknąć. Ludu było dosyć, w który się wmieścić mogli niepostrzeżeni. Co miał uczynić, sam nie wiedział. Jechali nie spiesząc wcale, a Doliwa trochę konia powstrzymał. Mówili wprzód z Sobkiem, któremu się oświadczył, że wprost do Masława się uda, teraz mu się to niebezpiecznem i niełacnem zdawało.

— Ej! słuchajcie!—rzekł z cicha do towarzysza Wszebór—czyby nie lepiej było, lichu nie leżę w oczy a zdala mu się przypatrzeć! kto tu nas pozna?

— Jak postanowicie, tak będzie — odparł Sobek.—Cóż ja wiem?

— Jak się wam zda?—spytał Doliwa.

Zamiast odpowiedzi, Sobek ręką ku Wiśle ukazał. Stali w miejscu odkrytem, na łące.

Ztąd jak na dłoni widać było niedaleko na rzece związane dwie wielkie łodzie, wiosłami ku brzegowi na którym stali pędzone.

W łodziach pełno było koni i ludzi.

Zdala poznał Wszebór, iż zbrojni byli i rycersey.

A niepośledni być musieli, bo na nich zbroje jakieś błyszczały, a na głowie jeden z nich miał czub krasny, na ramionach płaszcz bramowany i oręża dużo lśniącego przy sobie. Za nim stojący chłopak trzymał ptaka na ręku, drugi też krogulca podlatującego ścigał ku sobie, inny na sznurku psy wiodł.

Twarzy jeszcze rozeznac było trudno.

Mężczyzna z czubem na czapce przodem stał, za nim poniżej kilku, jakby dwór i służba. Jechali widać nad brzeg Wiślany na łowy z ptaki.

Ktoby to mógł być tam, gdzie swobodnie myśliwstwem się zabawiać jeden tylko człowiek miał wolność?

Odgadnąć nie było trudno.

Traf więc szczęśliwy czy zły, właśnie w chwili gdy ważył i rozmyślał, niósł Wszebórowi gotowe rozwiązanie.

Uniknąć spotkania było niepodobna, uciekać niebezpiecznie, musiał czoło stawić odważnie.

Tak sobie w duchu rzekł Doliwa.

Konia nie wstrzymując podjeżdżał spokojnie, a tymczasem i czołna spokojnie do brzegu już dobiegały i coraz wyraźniej widać było tych, co się na nich przeprawiali.

Poznał Wszebór Masława, choć im się teraz z owego dworaka, z chłopięcia swawolnego a zuchwałego wielce odmienił. Wyglądał, albo raczej chciał mieć pańską postać, patrzył, tak jak mu po książęcemu trzeba było. Wszebór i towarzysz jego, nędznie poodziewani, ledwie na siebie oczy zwracali—rozglądał się Masław po okolicy, wzrok wodząc dumny. Obie ręce miał w boki wcisnięte, głowę do góry i nogę jedną na kraju czołna, jakby mu wyskoczyć pilno było.

Mężczyzna był dorodny bardzo i zręczny, choć jak od siekiery wyciosany. Kmiecia w nim krew przez powłokę pańską przeglądała. Twarz rumiana, pospolita, zaogniona, oczy małe, bystre, usta czerwone

i wydęte, mała bródka ruda nie w sobie kniaziowskiemu nie miały; ale parobek był tęgi, butny, a że mu się szczęściło, zuchwały znać i noszący się wysoko. Z góry patrzył na ludzi, brwi ruchawe ciągle mu się marszczyły, milcząc nawet żuć się zdawał rozkazy, aby na chwilę nie zniść z tego stopnia, na który mu się wdrzeć udało. Można i przebiegłą zarazem znać w nim było naturę, co się na wszystko ważyła.

Gdy się czółno do brzegu, a jeźdźcy ku niemu też zbliżyli, zrazu na siermięgi popatrzywszy, chciał Masław pogardliwie oczy odwrócić, ale go coś w twarzy Wszebora uderzyło. Nie poznał go zrazu, brwi nachmurzywszy, srogo się począł wpatrywać. W tem Wszebor zwolna szłyka uchylił.

Było to w chwili, gdy Masław odziany nie jak na łowy, ale jakby miał posłów na dworze przyjmować, w pasie rycerskim, którego teraz nigdy nie zrzucał, miał już na ląd wysiadać.

Za nim kilku jego przybocznych cisnęło się, również niedorzecznie jak on postrojonych w czuby, pasy i płaszcze krasne. Wszeborowi by się było na śmiech zebrało, na widok tej okazałości w polu straconej, gdyby nie musiał myśleć co z sobą pocznie.

W tem drgnął Masław i zdawało się, jakby chciał do ludzi się zwracając, dać rozkaz pochwyceńia Wszebora, gdy ten pozdrawiając go, półgłosem się odezwał.

— Do waszej miłości jadę właśnie, więc pozwolicie pozdrowić!

Nie wątpił już Masław, że dawnego znajomego miał przed sobą. Zawahał się nowo stworzony przez się kneź, jak go ma przyjąć. Widać to było z twarzy. Myślał chwilę, zaciął usta, postąpił kroków parę, przypatrując się Wszeborowi. Niepewien był w jakiej myśli przybywa, czego chce.

Mierzył go tak niedowierzająco oczyma, gdy

Doliwa, dorozumiewając się obawy, siermięgę rozpiął i pokazał, że krom małego mieczyka, nie nie miał. Toporek został był przy koniu, z którego zsiadłszy, oddał go do trzymania Sobkowi.

— Cóż was tu prowadzi? zkąd? czego chcecie? — przemówił wreszcie Masław głosem, któremu starał się nadać wyraz groźny i srogi. — Mów, a rażno, u mnie czasu niema!

Mówiąc, nastąpił blisko na Wszebora, niby mu okazując, że się go nie lęka, a gdy ten nie zaraz się odezwał, począł iść od swych ludzi, ciągnąc go za sobą.

— Miłościwy panie—począł Wszebor—nie tak to łatwo w dwóch słowach powiedzieć z czem człowiek jedzie. Wy wiecie co się dzieje dziś, wy tylko możecie powiedzieć, co z nami będzie jutro. Do was trzeba iść pytać co robić!

Masławowi pochwlebiło widocznie, że mu przyznano panowanie nad przeszłością. Twarzy męskiej i energicznej, samej przez się, wyrażającej siłę zwyciężącą — nadał wnet większy jeszcze wyraz potęgi i dumy i rzekł bez gniewu.

— Co robić? kto chce głowę ocalić, służyć mi musi! Siły tu niema nikt i nie będzie mieć tylko ja. Jutro wszystko się z niemieckiego, z czeskiego jarzma wykuję—a ja będę panować!

To mówiąc odwrócił się przypatrzeć, jakie wyrazy czyniły wrażenie, twarz jego wykrzywiła się śmiechem dzikim, wymuszonym, fałszywym.

Wszebor miledzał spuściwszy głowę, Masław uderzył ręką po mieczu, który wisiał u pasa.

— Pytaj się jakim ja prawem będę panować!—dodał. — Ot prawo moje! Kto ma siłę ten ma panowanie, a kto ma rozum, ten ma siłę—a kto rozumu niema, ten choćby mu siłę dano, to ją straci, tak jak oni! (Wskazywał ręką ku zachodowi). Niedołężne plemię, zniemczałe, trzeba było precz za drzwi wyrzucić, starą swobodę powrócić kmieciom i wiarę

dawną. Nam swoim życiem żyć, nie cudzem. Niepotrzebujemy cudzych bogów ani cudzych panów. Piasty nas sprzedawały cesarzom i Papieżom. Z niemieckich matek, poniemczałe rodziły się dzieci—pokureze.

Kaźmirz, którego matka na mniszkę się zdała, niech u wója w Kolnie śpiewa w chórze — to jego miejsce, a nie tu nam panować. My nie mnichy.

Mówiąc tak szedł, a coraz na Doliwę spoglądał i rozgrzewał się własnymi wyrazami.

— Ja mam w ręku Mazury moje, ze mną pójdą Prusaki i Lietuwiszki, wszyscy co do swojej starej wiary są przywiązani. Nas ćma, a was garść, wkrótce i nic nie zostanie. Ziemie bezpańskie weźmie kto ma siłę—ja siłę mam! mam!

Z coraz większą gorączką kończył, spoglądając wciąż na Wszebora. Nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi, stanął i natarczywie zapytał.

— Gadaj ty mi zaraz! kto cię wysłał?

Doliwa miał czas wobec niebezpieczeństwa mężstwo i zimną krew odzyskać. Ruszył ramionami obojętnie.

— Jestże u nas komu wysyłać! — rzekł powoli. — Ze starego rycerstwa, ziemian i władków ledwie gdzie który ocalał, wilkom na paszę. Nas dwóch braci uratowaliśmy żywot od czechów i czerni.

Znajdzie się może kilku tułających się po lasach. Któż mnie miał posłać? Przecież dawniej byliście dla mnie druhami, dziś możecie przyjąć choć za sługę! Moim żywotem nie wiele się pożywiecie, a zdałbym się może.

Masław się zadumał patrząc. Przemowa była zręczna, pochlebiała mu.

— O! ja was znam—rzekł szydersko.—Byleście mnie mogli osaczyć, oddalibyście w ręce Kaźmirzowi, albo nowemu jakiemu Bezprymowi. Jeszcze się tam takich kilku po Niemczech włóczy. Z was coście się

pochrzcili, co inne czasy pamiętacie, pociechy nie będzie.

— A wyż to chrzczeni nie byliście? — zapytał śmiało Wszebór.

Zarumienił się chwilowym gniewem Masław, spojrzął w tył na swoich, czy niesłyszeli co Doliwa powiedział. Ci stali zdala, dojść ich to nie mogło. Zmlewał namyślając się.

— Słuchaj Doliwo — przerywając milczenie i biorąc się w boki odezwał kilka kroków uszedłszy. — Prawda, byłem z tobą na tym psim dworze druham — chcę ci być dobrym panem, ale głowy pilnuj na karku, bo ona tobie potrzebniejsza niż mnie. Ciebie jednego wezmę, brata nie chcę, nikogo innego — niech ich czerń wytłucze do nogi. Ja sobie władków moich z kmieci porobię, co mi wdzięczni będą, a obawiać się ich nie potrzebuję. Chcesz mi służyć? wezmę cię.

Wszebór skłonił się, podniósł głowę i w oczy mu spojrzął śmiało.

— Dlaczegożbym ci służyć nie miał, z głodu mrąć i przytułku nie mając? Cóż będzie z bratem?

— Gdzieżes ty go zostawił—spytał Masław.

— W lesie, na polanie, dwa dni drogi ztąd, zachorzał.

— Niech go tam wilcy zjedzą! — śmiejąc się i klepiąc po ramieniu Wszebora — odparł nowy kneź — ty u mnie zostaniesz, więcej ja nikogo znać nie chcę.

Wszebór zmlewał, nie nalegając. Mówiąc o bracie, chciał sobie do ujęcia zostawić pozór, boby po niego niby mógł od Masława się wyprawić. Spodziewał się w inny sposób z pomocą Sobka się wymknąć.

Masław, jakby mu niedowierzał, ciągle niespokojnymi oczyma go badał, ale twarz mu się rozjaśniała.

— Nieźle się to nadaje—odezwał się—bo mnie trzeba dwór sobie urządzić. Ochmistrem cię zrobię.

Te moje chłopiska, do wszystkiego dobre, ale obyczaju pańskiego i królewskiego nie znają nic. Ja dwór muszę mieć, jak wszyscy na świecie króle i kneziowie. Ty mi ludzi dobierzesz i nauczysz. Chcę by u mnie było tak jak bywało za starego Mieszka i Bolka.

Wszebór godząc się pozornie z tą myślą, nie okazując wstępu podchwycił poufnie.

— Pewnie! pewnie! ano niełatwo to przyjdzie, póki się ludzi nie nauczy.

— Łatwo! — zaprzeczył Masław, brwi marszcząc — ja prędko uczyć umiem. Grozy trzeba, wszystko będzie.

I poklepał go znów po ramieniu.

— Biorę cię — powtórzył — pamiętaj, ze mnie dobry pan, szczerobliwy ale groźny.

Na tem się skończyła rozmowa, zwrócił się ku swojemu orszakowi opodal stojącemu i krzyknął:

— Puścić psy sokolnicze! Trafi się co — rozkapturzyć sokoły.

Dał znak, sam zwolna postępując za ludźmi z Wszeborem, który się za nim trzymał. Posłyszawszy kroki jego za sobą, kneź niby się namyślił.

— Zaczekajcie przy łodziach, wróćcie razem ze mną!

Posłuszny zatrzymał się Doliwa, a psy, sokoły, pacholeta i Masław z dworem, pociągnęli brzegiem rzeki.

Doliwa wrócił do Sobka, który z końmi stał na uboczu. Ocalić głowy i zbliżyć się przypatrzeć Masławowi inaczej nie mógł, tylko przyjmując co mu nowy kneź tak łaskawie ofiarować raczył.

Myśliwi odciągali, a Wszebór się do starego bartnika zbliżył, który rad był mu z oczów wyczytać, co przynosił z sobą.

— Jedziemy na dwór — rzekł cicho Doliwa. — W dobrą jeszcze chwilę przyszedł, że głowę mam całą. Zostaniemy tu do czasu, ano i wy i konie do-

brze by zawsze były pogotowiu, aby się ztąd wyrwać, gdy przyjdzie pora.

Sobek głową kręcił.

— Wyrwać się ztąd niebędzie trudno — odpowiedział. — Nie pilnują się oni tak bardzo, są bezpieczni. Butny pan! butny! — dodał cicho bartnik.

Siedli tedy spoczywać, a konie paść się poczęły. Niedługo jednak Masław łowami się zabawił — ludziom kazawszy z sokołami się przejść, sam powrócił, oczyma Wszebora szukając.

Wstał on, podchodząc ku niemu.

Zdało się, że nowy panek potrzebował mówić o sobie z kim innym, jak ta poprzebierana czern, co go otaczała, Wszebór go ciągnął ku sobie.

Zbliżył się do niego, już zdala poczynając. Wskazywał na miasto, które ztąd na wzgórzu widać było.

— To będzie mój Poznań! — rzekł z uśmiechem. — Rozumiesz! Ztąd ja nad obiema brzegami Wisły panować będę.

I rękę wyciągnawszy, zatoczył nią dokoła.

— Prusaków i Letuwisków przyłączę. Czechów won przegnamy i pobijemy, Niemców i nogi nie puścim za Łabę. Dalej ich Wyżeniem! Wszystko co chrześcijan nienawidzi pójdzie ze mną.

Oglądał się wciąż na Wszebora, jakby pochwały i potwierdzenia pożądał.

— Co ty na to?

— Ha! no! byleście wojsko mieli!

— Mam i mieć będę i wyćwiczyć potrafię — gwałtownie dodał Masław. — Ja sam choć dworakiem byłem, ale wojakiem razem byłem i jestem. Prusaki naród dzielny. Ci to sami co Wojtaszka zabili, co go Bolko wykupił i w Gnieźnie położył, a teraz go sobie Czechy wyniosły! Ci sami co się staremu Bolkowi niedali. No — a ja z niemi, brat, swat!

Począł się śmiać, zacierając ręce.

— Co ty na to? he? Masław też nie głupił Zobaczysz sam, dziś tu od nich przyjdą posłowie. A wiesz czemu ja to winien? oto temu, że poganinem jestem i żem powywracał krzyże. Wszystek lud ze mną.

Milczenie Wszebora naprzykrzyło mu się znać, bo kilka razy zapytał go. Cóż ty na to!

— A! szczęścia macie wiele! to cały świat wiel—przebąknął Doliwa.

— Na zamku w Płocku — ciągnął dalej Masław ręką wskazując — siedzieli Benedyktyny, nie ma ich i nogi. Z kościoła zrobiłem chram, tak jak oni z chramów robili kościoły. Guślarze w ręce płaskają, do nóg mi padają: stare stanice popodnosili ludzie, wołają: Łado! Ot siła moja!

— No — co wy na to? co? — powtórzył śmiejąc się.

— Dziwię się tylko — odparł Doliwa powoli — a powiem wam, ażebyście dobrze obliczyli siły przeciwi chrześcianom. Dużo was, tamtych też sporo. Pochlebiać wam nie będę. Na Rusi krzyże stoją, Czechy ochrzczone, Uhry też, Niemcy wszystkie. Jest tego siła.

Masław głową dał znak potakujący, stanął, obejrzał się dokoła, i przystąpiwszy do Wszebora, oczy w niego wlepił, szepcząc cicho.

— Nie rozumiesz ty nie! Który Bóg mocniejszy będzie, temu się i ja pokłonię. A mnie co? Teraz stara wiara górą, jak jutro wypadnie, czy ja wiem? Kneziowie i królowie wszak ci się chrzczą kiedy przyjdzie na nich godzina. Będę i ja takim, jakim zechcę, aby panować; a teraz — teraz, tak musi być jak jest. Z krzyżem precz i z niemcem precz co go przyniósł. Rozumiesz?

Zaśmiał się ściskając usta Masław, oczy mu się zaiskrzyły. Niepodobало mu się to w nowym słudze, że się mu ani dziwił ani pochlebiał, ni potakiwał nawet.

— Ty człecz jakis — zawołał, głos podniósłszy — ty może myślisz, że mi się śni moja siła? No to ja ci w żywe oczy pokażę. Zobaczysz i uwierzysz. Popatrzał wdał na psy i sokoły. Dwa psy puszczone wietrzyły, chodząc po mocarze, ale czas jesienny nie był dobry do łowów, ani czapli, ani żadnego ptaka nie spotkały dotąd. — Masław na bliższego sługę skinął.

— Hej, Didko! przewietrzcie mi sokoły i powracajcie sami z niemi. Huba ze mną pojedzie, nie ma tu stać czego.

Ręką wskazał na czółna, ku którym iść począł żywo.

Sobek oczyma Wszeborowi dał znać, aby się o niego wcale nie troszczył, szedł więc Doliwa za kneziem — Masławowi jakby teraz pilno było powracać, szybkim krokiem ku przewozowi dążył, wskoczył do łodzi, konia dla siebie i Huby zabrać kawszyszy.

W tem popatrzał na Wszebora nędznie odzianego, który stał przed nim, rozkazów oczekując.

— Ty tak w tej siermiedze ze mną iść nie możesz — zawołał — zostaniesz w czółnie. Pójdiesz osobno na zamek piechotą. Huba gdy powrócim, ze skarbeca ci wydać każe odzież, jaka mojemu ochmistrowi przystała.

Nie bój się — dodał z uśmiechem — i łańcuch będzie i wszystko! Mam ja tego poddostatkiem. Chcę by ludzie na mój dwór patrząc, dziwili się, nie naśmiewali.

Skinął na Hubę i szepnął mu coś do ucha wskazując Wszebora. Łodzie tymczasem, do których pędzenia było kilku Mazurów z wiosłami i drągami, szybko poczęły rzekę przerywać. Na głębinach wszyscy się do wiosła brali, na mieliznach odpierano drągami. Ludzie pracowali żywo, nawzajem się napędzając, jakby czuli, że pan ich czekać nie lubi.

Masław stojąc w łodzi, na zamek spoglądał dumnie, nie mówiąc już nic, nadto mając słuchaczów, kilka razy tylko Wszeborowi ręką wskazał na gród, którego posiadaniem pysznił się i radował.

W istocie poważnie rozsiadało się zameczysko na wyniosłości brzegu, a na okopach mnogi lud widać było, który ku przybywającemu spoglądał. Gdy łódź do lądu przybyła i konie z niej wyprowadzono, Masław skinieniem Doliwę pożegnawszy, konia swojego, wspaniale przystrojonego dosiadł i z Hubą ku zamkowi pojechał, zgłową podniesioną, ze spojrzeniem ostrem, z grozą na czole... Widać było z dołu, jak lud, zobaczywszy go się poruszał, a w chwilę potem na okopach głos się dał słyszeć ogromny — huczały okrzyki na powitanie.

Zadumany, posępny, poweli powlókł się za nim Wszebór. Przypomniawszy sobie może, jak Masław tego, który teraz do takiej doszedł siły, widział małym i pokornym, w obec królowej, która mu wzgardę okazywała.

Dalej idąc było też na co patrzeć, i Doliwa pilnie zwrócił oko na to, co Masława otaczało... Ludu było wszędzie mnogo, a choć już się sprzął w pułki i sotnie, otargany był nieco, strojem i twarzą jeszcze na pół dziki się wydawał. Ubrojenie też jego różne było i nie u wszystkich równe. Starszyzny od pospolitego człeka trudno było rozeznać. Samopas to wszystko stało, chodziło, krzyczało i ujadło się z sobą.

W podwórcach zamkowych stały beczki i kadzie z piwem, część na ziemi siedząc, jadła i biesiadowała, inni leżeli i odpoczywali.

Około dawnego kościoła benedyktynów stał tłum gęślarzy, wróżbitów, starych bab, czerni z lasów wybierających.

We wnętrzu otwartej świątyni, gorzał już rozpalony ogień, zwijały się około niego białe poosłaniane niewiasty. Przed wywalonemi drzwiami, na

dragach stały powbijane w ziemię stanice, po większej części na prędcie ociosane i nieforemne, wyobrażające potwory różne i niezgrabne o kilku głowach postacie.

Pomiędzy niemi, odkopany gdzieś z ziemi, wbity był słup kamienny z gruba ociosany, w którego kształtach domysleć się raczej, niż poznać było można, bałwana o trzech czapkach, z rękami na piersiach, które miecze i korowaj trzymały.

Gęślarze posiadawszy na ziemi pod nim, nucili, pobrzękując, a lud okalający przysłuchiwał się pieśni.

Przy dworcu pańskim drewnianym tłum stał u drzwi, kręciła się służba mnoga nowego księcia cudacko, pstro poodziewana.

Cheiano ich postroić wspaniale, a nie umiano, więc nawieszał każdy na siebie, co pochwycił, byle świeciło. Dziko to wyglądało. Na niewielu tylko znać było odzież połowiczną niemiecką, gdzieś na dworcu królewskim złupioną.

Kilku poważniejszych urzędników dworu, choć w sukniach i kozuchach drogich, choć w łańcuchach i przy pasach złocistych, poczesani i umyjni, na prostych pastuchów wyglądali. Ładu, tam na tym dworze wprzódce zebrany z lada czego, nie było. Swary tu i owdzie powstawały nagle, wybuchała wrzawa, słyszeć było uderzania kijów i szamotania się.

Popychali się jedni w tę, drudzy w przeciwną stronę klóćąc, aż pałka im nakazała milczenie. Skomlenie i wycie psów, rżenie koni, oddalony gwar wojskowego tłumu, łączyły się z tem razem, tak, że stojącym u wrót rozmówić się po cichu było trudno, krzyczeli więc, a głosy ich wzmagaly wrzawę.

Wszeborowi nie łatwo się było przecisnąć, nikt też nań ani spojrział, popychano go tylko, i niewiedział gdzie się obrócić, gdy wychodzący ze dworca Huba, postrzegł go, rozepechnął tłum i wniósł za sobą kazał.

Wnet zawołano starego człeka i Doliwa w ręce jego się dostał. Wskazał mu Huba, by szedł za nim. W sieniach dworca także pełno było, choć się tu ciżej sprawowano. Przebywszy ciemne zakamarki i szyje, podwórko jedno, gdzie się czeladź krzątała, dostali się z przewodnikiem do na pół ciemnej izby. Małeńkie jej okienka, pozasuwane od wnętrza, ledwie cokolwiek światła wpuszczały przez szczeliny. Skład to był jakiś, czy skarbiec pański, od stropu do podłogi, po ścianach na ziemi, na drągach od wyżek, wszędzie leżało, wisiało odzieży, zbroi, wszelkiego zapasu i łupu poddostatkiem. Tu, co wojna dała i grabieże, składał Masław, a na zbiorowisku tem znać było świeże ślady pochodzenia.

Kupami leżała zdobycz wszelaka, każda z innego dworu, od innego pana, z wszelakiego świata, wartości nierównej, jedna do drugiej niepodobna. Ręce co ją zrzuciły, nieumiały rozróżnić nawet, co więcej, a co mniej było warte. Najdroższe rzeczy obok lichych leżały, jedno z drugimi i na drugich, jak w szopie nawiezione zboże i siano.

— Hej! — zawołał stary, drzwi otwierając — zabierajcie co chcecie! Takie rozkazanie pańskie! Nie żalujecie! Rękami na kupy i pułki wskazywał.

— Hej! co dusza zapagnie! Widzicie, jest u nas w czym wybierać! I uśmiechnął się stary, gładząc głowę.

Na policy osobno, leżały pozłociste i złote łańcuchy na kupie. Ku tym podszedł stary, jeden i drugi na rękę zważył, popatrzał i ciężki jeden łańcuch wybrawszy, chciał go już podać Wszeborowi, gdy na nim przyschleję krwi dostrzegł ślady, zaburczał coś pod nosem, ku drzwiom poszedł, gdzie stał kubek z wodą, zanurzył w nim i połą wycierać zaczął.

Ze wstrętem wziął się do odziewania Doliwa, ale mus był. Pomagał mu do tego ochoczo stary, ciągle powtarzając, aby sobie co najlepsze wybierał, a nie tracił czasu.

Szło mu o to, by rozkaz pański spełnił jak najlepiej.

— Ino spiescie — mówił — jego miłość czekać nie lubi, a chce was mieć przy stole. Wielki czas...

Z różnych kątów powywlekano, pas z mieczem, czapkę futrzaną, zwierzchnią suknię bramowaną, słowem co było potrzeba, by Wszebor nowemu panu nie uczynił wstydu. Na statku przygotowany łańcuch, stary mu na szyję zarzucił i uśmiechnął się popatrzywszy, ku drzwiom go poprzędzając.

Ze skarbcza do izby stołowej znowu iść było potrzeba, ciemnymi kątami. Wniście do niej zdala gwarem się zwiastowało. Nie był wielce wspaniałym stary dworzec płocki, okopcony wewnątrz od dymu, sprzęt miał prosty od siekiery wyciosany. Jak niegdyś od wieków był, tak i teraz pozostał ze stoły z grubych desek, z ławami ogromnymi, a mało co go przybrać umiano, skórą i suknem powyscieławszy. W dalszych izbach podłóg nie było, tylko ubite toki, które liśmi posypywano, zimą słomą i jedliną.

W stołowej komorze, dosyć obszernej, ludu poodziewanego jak na święto dosyć było. Dla knezia siedzenie zgotowano na podwyższeniu, obwieszono sukniem czerwonym. Około niego, łącni do poznania, cisnęli się dziko wyglądający, zbrojni w topory, oszczepy, nabijane krzemieniem kostury, łuki i proce, w szłykach futrzanych — prusacy.

Jeden Kunigas im przodował, poufale obchodzący się z Masławem, który miłości jego okazy, rad nie rad znosić musiał.

Mąż był nie rosły, barczysty, gruby, z oczyma, które z pod brwi ledwie widać było, śmiały, a nie baczący wcale na dostojność, w jaką się Masław przybierał. Na równi z nim chciał stać i z pychą też a dumnie mu odpowiedział. Nowy kneź potrzebować go musiał, bo choć mu się czasem twarz krzywiła i drgała, znosił to obejście się z nim cierpliwie.

Niekiedy oczyma rozglądał się po swym dworze. Szło mu o to, ażeby się on w oczach prusaków pańskim wydawał, wszyscy też jak na uroczystość strojni byli i zbrojni.

Niewiast starym obyczajem w izbie nie było.

W końcu stoła usadowiwszy się Masław, Kunigasa posadził przy sobie, czerwone mu też sukno poddaławszy. Przed niemi dwoma misy postawiono srebrne, a że ich na inne stoły nie starczyło, glinianemi się i drewnianemi przy nich posługiwano.

Wszeborowi Masław u drugiego stołu miejsce naznaczył, aby tam gospodarzył.

Krom prusaków, którzy głos podnosząc, jeść i pić poczęli swobodnie, reszta dworu Masławowskiego, wedle przykazania pańskiego pewnie, zachowywała trwożliwe milczenie. A że do tego nie byli przyzwyczajeni, tu i owdzie wyrwał się okrzyk, to śmiech dziki, groźnem wejściem zahamowany. Nie szła rażno posługa, płatali się ludzie i popychali, za drzwiami wybuchały groźby, hałasy i jęki; lecz byłaby uczta przystojnie się skończyła, gdyby się nie przeciągnęła przy kubkach. Miód porozwiał języki ludziom do wstrzymania się z wybuchami gniewu i wesela, niezwykłym.

Ku końcowi, już wrzawy nie powstrzymać nie mogło, i nie myślał nikt o tem, choć się kneziowskie zasępiło oblicze. Psów też moc dworskich i obcych zebrala się pod stołami, gdzie kości rzucono, i coraz warczeniem i zajądaniem się powiększały wrzawę.

Przyczyniało się do niej i to, że starym obyczajem pod koniec, wszyscy gęślarze i śpiewacy z pod chramu się przywlekli do izby biesiadnej. Wpadli kupą i prawie przebojem, rozsiedli się wnet na ławach pod ścianami, a kto miejsca nie znalazł, na ziemi, w gęśle zaczęli brząkać, wreszcie i śpiewy krzykliwie zawodzić.

Tych też szanować musiał Masław, bo oni lud wiedli za sobą; stawiano im piwo i miód, dawano

ucha, niektórzy też ze współbiesiadników, już podochoceni, od stołów im wtórować poczęli w ręce poklaskiwać.

Nie na książęcą wyglądało to gospodę—ano inaczej już pono być nie mogło. Wszystko to prusakom uczy nie psuło. Zapijali miód chwając i rogi, które u pasów nosili, podstawiali do niego.

Już się uczta, dosyć długo przeciągnięta, ku końcowi miała, bo ze stołów jadło poznikało i tylko dzbany stały, gdy nagle, drzwiami od wnętrza dworca prowadzącemi, które się z trzaskiem otworzyły, wpadła nieproszona, dziwna jakaś postać. Prusacy na widok jej przerażeni się z ław pozrywali. Masław jak trup pobladł.

Było się czego przestraszyć zaprawdę.

Niewiasta to była stara, wychudła, wysokiego wzrostu, z siwemi włosami rozplecionemi, które jej na ramiona spadały, w grubej bieliznie, zaledwie zeschle jej okrywającej ciało, bosa, bez pasa, i jakby z więzienia, czy z rąk oprawców wyrwana. Błada twarz jej pomarszczona, oczy siwe zaognione, gniewne, których białka krwią zaszły i powieki nabrzękły od płaczu, usta śliną okryte—rozpacz jakąś i niemal obłąkanie wyrażały. Biegła, wołając głosem, którego zrozumieć nie było można, strwożona, gniewna, szalona, oglądając się jakby ją goniono.

Wpadła tak, rękami odpychając tych, co stali na drodze, przed sam stół i stanęła wryta, naprzeciw Masława mierząc go oczyma.

Kneź zerwał się z siedzenia blady, niemogąc słowa rzec, rękami tylko wskazując dworskim, na to widmo, które do izby wpuszczono. Prusacy z przestrachu jakiegoś do nożów się brali, inni z miejsc powstawali, popłoch i zamieszanie ogromne w izbie się wszczęło. Ruszył się i Wszebor od stołu. W tem ludzie co za babą tą wbiegli, chwycili ją za ręce, ta wyrывая się im, padła na ziemię, prawie u stóp kneziowskiego siedzenia. Masław cofnął się wylekły.

Przerażający krzyk słyhać było i szamotanie się przez chwilę, potem na ręce wzięwszy obłąkaną ludzie dworsey, spiesźnie za drzwi ją wynieśli.

Słyhać tylko jeszcze było krzyk jej bolesny, wybuchający gwałtownie, tłumiony i coraz ciszej, jak jęk daleki, ginący gdzieś w głębiach dworu.

Masław z oczyma dzikimi, starając się uśmiechać padł na siedzenie swoje. Kunigasowi, który go pytał, odpowiedział zimno, iż to była biedna obłąkana stara, kubek podniósł do ust, wypił go duszkiem, lecz choć obojętnego udawał, drżał cały. Gęślarzy część wyniosła się mrucząc, za drzwi, cisza dziwna po tym gwarze zapanaowała w stołowej izbie, kneź skinął aby miód podawano, lecz i ten nie pomógł do wesela, tak wszyscy widokiem nieszczęśliwej niewiasty strwożeni byli i pomieszani. Umilkło wszystko, a z tych co więcej pili, kilku na stołach głowy pokładzszy chrapać zaczęło. Wreszcie i Masław, gości swych rozkazawszy prowadzić do izb dla nich przeznaczonych do spoczynku, sam ruszył się krokiem chwiejnym z siedzenia, otoczony komornikami, miecz przed sobą nieść rozkazując—powoli z komory się wysunął.

Inni, oprócz uspionych, których nikt budzić nie myślał, rozechodzić się zaczęli. Wszebór, który niewiedział dalej jakie miał pełnić obowiązki, sam prawie tu pozostał. Widok straszliwej baby tej, która uczte ukazaniem się swym popsuka, nie mógł mu wyjść z pamięci. Zkąd się ona na dworze tym wziąć mogła? kto była? czego chciała? domysleć się było trudno, choć z ruchów, krzyku i wyrazów kilku można się było dorozumieć, iż prośbę jakąś do Masława miała.

Kneź też raczej widokiem zdawał się przerażony niż gniewny, żadne przekleństwo z ust mu się nie wyrwało, słowa nawet przemówić nie miał siły, on co tyle miał odwagi i surowym był do okrucieństwa?

Myślał nad tem Wszebór, przechadzając się po izbie, gdy do niej wszedł Huba.

Na twarzach dworaków ten sam niemal wyraz srogi zostawiło to zjawisko co na Masławie. Huba był chmurny i zafrasowany.

— Co to była za niewiasta?—zapytał go Wszebor.

Huba zmierzył go oczyma, ramionami ruszając.

— Stara baba, niewiem — rzekł — choć widać było że wiedział więcej niż chciał powiedzieć. Unikając dalszych pytań, oddalił się natychmiast. W tem wyrostek wpadł, szukając Wszebora ażeby do pana spieszył.

Komnata książęca, do której mu wskazano drogę, była wzorem dworu Mieszkowego przyozdobiona tak, aby na ludziach do niej wpuszczonych, pańskiego dostatku czyniła wrażenie. Nagromadził w niej Masław do zbytku naczyń i opon, umyślnie je na okaz wystawując. Wszebór wchodząc, zastał go na pół leżącym na pościeli, ujrawszy go, zerwał się kneź.

Twarz miał zmienioną i straszną. Zszedł z niej rumieniec, usta były sine, oczy dzikie, policzki i czoło marszczyły się wyrazem tłumionego gniewu. Wpatrzył się we Wszebora, jakby chciał poznać po nim, z czem on przychodził.

— Widzieliście — zawołał — uczte mi popsuto. Czeladź niesforna, u drzwi nie było straży.

Wszebor milczał.

— Szalona wiedźma stara!—mówił Masław dalej.—Przez litość jej dano przytułek. Napadają na nią takie chwile, męczą ją duchy, sama nie wie wówczas co robić i plecie.

I chodził z głową spuszczoną po izbie.

— Zamknąć ją kazałem dawno!

Burzył się i walczył z sobą widocznie, potem jakby się chciał przemódz, z twarzą na pozór rozpodgoną, z pod której jeszcze widać było wewnętrzne wzruszenie, począł do Wszebora.

— Widzisz! posły do mnie ślą, o przymierze mnie proszą ci, którym Bolko nie dał rady! Na ich

zawołanie, ruszą mi się w pomoc tysiące, wygnam precz Niemców.

Głos mu się urwał nagle, co innego do myśli nabiegło i wtracił.

— Gdy zechcę łeb komu kazać uciąć, albo powiesić, od stołu go weźmie oprawca—mogę winnych ukarać srodze. Co chcę to mogę.

Wszebór słuchając mileżał, a on przystąpił do niego.

— Co ty na to? co?

— Przypatruję się i dziwię sile waszej — odezwał się Doliwa—dostatek też widać wszędzie. Winszuję wam.

— Myślisz może—dodał prędko Masław—że ja do tego nie miałem prawa? Słyszałeś te baśnie, o których pletli na dworze? Kłamstwo wszystko, ja mam starych mazurskich kneziów krew w sobie. Jak Leszkom tak i nam Piastowie dziedzictwo wydarli, wracamy do niego. Krew moja warta Piastowskiej.

To mówiąc, padł przed ogniem na posłanie okryte skórą i podparł się na rękę zamysłony.

— Piasty nie powrócą nigdy—począł jakby sam do siebie.—Kaźmierzowi się nie zechce łba nastawić. Nikt się nie ujmie za jego sprawą. Z Czechami...

— Cóż z Czechami poczynać myślicie?—odezwał się wreszcie zmuszony coś powiedzieć Wszebór.

— Na Czechów mam Prusaków i Mazurów, w końcu podzielię się z nimi.

— Brzetysław dzielić się nie zechce.

— Zechce! — sprzeciwił się Masław — dam mu Szlązko, niech bierze Kraków i razem z nim pójdę na cesarza.

Wszystko, to co mówił przerywanemi wyrazami, podobniejszem było do gorączkowego marzenia, niż odpowiedzi na pytanie, zdawał się na własne wątpliwości, rodzące się w nim samym, rzucać te myśli, które je odegnać miały.

— Ogłoszę się królem — mówił dalej — korony

Ryksa powywoziła, ja tych nie potrzebuję, niech cesarz je trzyma, ukują mi nową, droższą i piękniejszą, a nie ksiądz mi ją na głowę włoży, ale ja sam! ja sam!

Rozśmiał się błyskając oczyma i wnet zasępił, oglądając trwożliwie. Zdaleka jakby jakiś krzyk doszedł do komnaty. Masław drgnął, począł się przysłuchiwać, panowała cisza znowu, odetchnął swobodniej. Myśl dalej snuła się po głowie.

— Choćby mi nawet Czesi i Niemcy wydarli kraj za Wisłą, tu u siebie zostanę panem. Ztąd mnie nikt nie wyżenie, jam tu w domu. Prusaków obok mam, co ze mną pójdą krok w krok. Na własnych śmieciach silni jesteście.

Czemubym pruskiego Kunigasa dziewczki nie wziął za żonę? Alboż by mi jej odmówił? Da i kawał ziemi za nią jak należy. Starą wiarę wszędzie trzymać będziemy. Ochrzczona Ruś! ochrzczone Polany! ochrzczone Czechy! mówią. Kłamstwo! ochrzczone ich strachem i grozą. Lud z nami trzymać będzie, bo mu stare Bogi oddamy. Kościoły poobalamy, czarnych wypędzimy precz.

Znowu ten sam krzyk dał się słyszeć zdala i ucichło. Masław zbladł, obejrzał się osowiałem oczyma i zamilkł. Wszebór się też nie śmiał odezwać ani zapytać.

Nagle odwrócił się doń kneź.

— Tyś chrześcijanin? — odezwał się głosem drżącym.

— Jestem nim — rzekł Doliwa — wiecie o tem najlepiej, boście razem ze mną do kościoła i spowiedzi chadzali. Prawda to — dodał — niechrzczonych ludzi dużo jeszcze po świecie, i takich co pochrzczyszy się starą wiarę trzymają tajemnie, musi być nie mało, lecz i chrześcijan moc ogromna, a gdy idzie o wiarę, o krzyż wszyscy idą razem.

— I żelaza dobrego mają dużo! — wyrwało się za-

myślönemu Masławowi. -- U nas rąk nie zabraknie, ino mieczów.

Potał czoło, jakby myśli spędzał z niego, zbliżył się do Doliwy i pocichu poufnie szepnął.

— Oni umieją robić cuda!

— Chrzestowanie! — spytał Wszebór.

— Ci czarni księża ich — mówił Masław tajemniczo. — Niewiem, czasem moc jakąś mają.

— Mają! — potwierdził krótko Doliwa.

— A tych księży ocalało dużo — rzekł Masław — jak? niewiadomo. Nie przebaczone żadnemu, kazano wszystkich mordować, mało który nie ocalał? Jak? czary!

Jakby trwogą wewnętrzną zdjęty wstrząsł się Masław.

— To baśnie głupich ludzi — szepnął sam się poprawując.

Baśnie, trwogi, kłamstwa!

Spojrzał na Wszebora i przystąpił do niego, biorąc koniec łańcucha, który miał na szyi zawieszony.

— Ty sobie trzymaj jako chcesz, byleś mnie wierny był — rzekł — ale się ze swoim chrześcijaństwem nie chwal. My tu tej wiary znać nie chcemy!

A jutro — dodał — wybierz mi ludzi, chłop w chłop, odziać ich każ jednako, żebym przecie kneziowską drużynę miał jak mi należy. Starszym nad nią będziesz i ochmistrem w moim dworze. Rozumiesz!

Wszebór się milcząc skłonił i wyszedł.

V.

Znalazłszy się sam jeden w sieni, Doliwa gorzko się uśmiechnął sam do siebie, na co mu przyszło! Sługą być i ochmistrem u chłopskiego syna, którego widział pacholikiem pokornym. To co tu widział zdumiewało go i oburzało, pozostać nie myślał długo, ale się przypatrzeć było trzeba, aby wiedzieć jak stały Masławowe sprawy.

Kosztowało go to, kłamać musiał, ale wpadłszy zaś w to osie gniazdo, trzeba się było zachować cicho. Nie wiedział jeszcze gdzie się obrócić i co z sobą począć, gdy go Sobek, stojący na czatach, pozdrowił milcząco. Dwór już był napół uspiiony, ludzi niewielu snuło się jeszcze po zakamarkach ciemnych, którymi przeciskać się musieli. Tak wyszli na drugie podwórze, a tu Sobek, jakby się od podsłuchania bezpieczniejszym czuł, zwróciwszy się ku Doliwie, rzekł mu:

— Izbę wam dali lichą, a co robić? dwór dziś pełny prusaków i pomorców... Chciałem dla was osobnej, abyście spocząć mogli, ledwie się komórka znalazła. Kleć mi cheieli dać, gdzie ognia nie możnaby zapalić.

To mówiąc, wprowadził Wszebora do budynku, w którym gwar jeszcze niewieści słychać było z jednej strony, z drugiej prusaków czereda pilnowała progu swych panów. Z wąskiego wniścia weszli do małej komory, w której Sobek już był ognia rozpalil. Wązka, osmolona, brudna, widać że była tylko co opróżnioną dla pańskiego ochmistra. Ławę miała jedną, w kącie trochę siana pokrytego skórą, a na ścianach mnóstwo powbijanych kołków, pozostało od dawnych mieszkańców, którzy na nich odzież wieszali.

Sobek wwiódłszy go tu, choć miał ochotę o coś spytać, coś może powiedzieć, wstrzymał się palce sobie położywszy na ustach. Budynek był zamieszka-ny i swobodnie się rozmówić niebezpiecznie było. Z twarzy tylko starego bartnika poznać mógł Doliwa, że mu ten dwór nie był do smaku. Sobek oznajmił, że do koni odchodzi, a Wszebór się drewnianą zasuwą na noc zawarowawszy, przed ogniem siadł zamysłony!

Miał się o czem zadumać!

Wszystko co tu widział, dziką ale wielką jakąś siłę wyrażało, z którą rozbite rycerstwo piastowskie mierzyć się nie mogło liczbą, choćby jej męztwem sprostało.

Jeszcze miał w uszach wrzawę biesiadną, wykrzyki, śpiewy i ów jęk starej obłąkanej niewiasty, która ucztę popsuła, przypomniawszy sobie co słyszał od Masława i trwoga a smutek serce mu ścisnęły. Mieliz się poddać tej sile zwierzęcej człowieka, co się wiary wypierał i do dawnej dzikości naród chciał prowadzić?

Przyszło mu na myśl i Olszowe Horodyszcze, a garstka w niem schroniona, którą zguba czekała, bo nie było środka jej ratować.

Myślał tak, gdy jęklive jakieś głosy obok, niedaleko słyszeć się dały. Uciszył się Wszebór nie śmiejąc poruszyć, aby podsłuchać. Ściany izby drewnianej cienkie były i z sąsiedniej dochodziła go jakby przerywana rozmowa. Poznał w niej głos niewieści. Zbliżył się więc pocichu ku przegrodzie, która go oddzielała od komor pobliskich, i ucha nadstawił... Wyrażniej teraz mógł pochwycić, jęklivy głos niewiasty i drugi, który ją zagłuszał, ciągle przerywając.

Przysunawszy się do ściany postrzegł dopiero Wszebór, iż w niej otwór był naksztalt okna dawniej wyciosany, który z sobą łączył dwie izby. Drewniana okienica zasuwana zasłaniała go tylko. Z ostrożnością Doliwa spróbował nieco odsłonić tę zaporę, która łatwo się dała popchnąć, bo była wyschła i ledwie

się trzymała. Tyle tylko odsunął jej, aby oko mogło do komory sięgnąć i obaczyć, co się tam działo. Z początku nie widział nic w pomroce, która panowała w szerokiej izbie, małym ogniem dogorywającym słabo oświeconej. Wpatrzywszy się nieco, rozeznąć mógł dwie postacie w bieli, z których jedna na ziemi siedziała, druga stała nad nią. W pierwszej z nich poznał Wszebór ową starą obłąkaną, która wpadła czasu uczty, lecz zmienioną teraz, uspokojoną, z załamaniem na kolanach rękami siedzącą na słomie. Na twarz jej zeschlą, pomarszczoną, padało drgające światło z ogniska. Wszeborowi zdało się, że widział w oczach jej płynące łzy. W grubej koszuli, z bosiemi nogami, na pół prawie obnażona siedziała, wzrok wlepiwszy w ogień i głową poruszała ciągle, jak płaczki, gdy nad umarłym zawodzą.

Stojąca nad nią druga, młoda i strojna niewiasta, hoża, smukła, twarz miała jakąś znudzoną i obojętną. Nie było na niej boleści, ani współczucia, raczej zniecierpliwienie i dąsy.

— Słuchaj ty, stara Wygoniowa—mówiła pochylając się do niej—tak ty się swoim szaleństwem dorobisz i doigrasz, że cię do jamy rzucą i głodem zamorzą. Co tobie się śnił co tobie chodzi po głowie?

Stara ani się obróciła ku mówiącej, potrząsała ciągle siwą głową, na ogień patrzyła, a słyszeć się nie zdawała.

— Że dziś ci sto łóz nie dali, powinnaś mnie do nóg padłszy, dziękować! Kneź był wściekły!

Dopiero na wspomnienie Knezia, głowę zwróciła nieco stara.

— Co mówił? — spytała.

— Sto łóz starej wiedźmiel! — zawołała młoda, poprawiając włosy na główce... — Sto łóz szalonej babiel!

— On tak mówił? on? — powoli odparła stara Wygoniowa. — A sprawiedliwie! sprawiedliwie... czemu rozumu nie ma? — szydersko to mruknęła.

— Widzicie! sami mówicie!—podchwyciła młoda.

— I nie będzie miała rozumu — mówiła stara — choćby jej i sto i dwieście łóz dali.

— Co się wam śni — poczęła druga. — Kneziowi włazicie w drogę, gdyby jak drudzy, zły był, co myślicie? powiesićby kazał.

— A no! — rzekła stara — niech on każe i niechaj wieszają.

Spuściła głowę, a po małym przestanku poczęła nucić głosem ochryłym:

Luli mały, luli
Na rękę matuli,
Śpij, mi złotko moje,
Mlekiem ja cię poję,
Krwia cię moją żywję,
Żyj ty mi szczęśliwie,
Luli mały, luli!

— Tak to ja jemu śpiewała, gdym go karmiła, ot temi, temi piersiami zeschłemi — dodała koszulę rozdzierając gwałtownie — a teraz! na gałęź starą suk! sto łóz wiedzmiel! hej! hej! Jakże urósł szczęśliwie!...

Podparła się na rękę.

— To co żeście go karmili? choćby tak i było — poczęła młoda, nogą bijąc o ziemię. — Czy to jedna mamka cudze dziecko do piersi bierze, gdy matki nie stanie.

— Mamka!!! — krzyknęła stara podnosząc oczy groźne... — ty, ty jakas, jak ty mnie śmiesz mamką nazywać? Mamką ja nie byłam! Ty choć żonę nie jesteś, możesz się dać całować... na to ty się urodziła, a do mojej piersi tylko własne dziecko usta mogło przycisnąć... Ty! latawico jakas!

Młoda kobieta gniewnie odskoczyła.

— Wiedzmo ty stara! jędzio przekłeta! a tobie co do mnie? Widziałas jak mnie całował?

— Kto nie chce to zobaczy, bo ty masz napisane na lezku — zawołała stara rozgarniając włosy

siwe — patrzże na moją twarz, czy tam stoi, żebym ja cudzym dzieciom mamką była?

— Tam stoi — rozśmiała się młoda — że didko ci rozum wziął i do sakwy schował. Ot co! ale ty się doigrasz stara, że cię powieszają...

— A no! wiatr mi tedy łzy osuszy! — zamruczała Wygoniowa.

Zamilkła i głowa jej znowu z ramienia na ramię smutnym jakimś rytmem przechylać się zaczęła... Młoda stała nad nią nadąsana, zła, z brwią zmarszczoną.

— Mnie tu do was przysłali — odezwiała się — ostatni raz, będziecie mieć rozum czy nie? Siedźcie spokojnie, dożyjecie tak wieku, a nie wam braknąć nie będzie... Chodzić i tak siły nie macie. Co wam, źle w izbie? Jeść, pić, czego dusza zapagnie? Macie len do kądzieli, ile prząść zdążacie. Nie zimno, nie głodno... jeszcze wam czego potrzeba! Siedzielibyscie cicho.

— Jak by tak wam Zynio, to by i dosyć było, byle jeszcze chłopak przychodził! — zawołała stara — ja zamknięta, bez słonka i powietrza nie wyżyję... Niel...

— Pewnie — przerwała Zynia — jakby wam drzwi otwarto, tak jak dziś, co przypadkiem chłopak zapomniiał zasunąć, poszlibyscie ludzi straszyć i Kneziowi w oczy leźć.

— Bo ja mam prawo, słyszysz ty latawico bezczesna! — krzyknęła stara — mam prawo tam być gdzie i on, siedzieć gdzie on siedzi, chodzić gdzie pójdzie... Rozumiesz!

Szyderskim śmiechem odpowiedziała Zynia.

— Starej życie nie miłe!

— Oj, nie miłe, nie miłe! — powtórzyła jakby do siebie i do ognia mówiąc stara. — Żyłam ja nadto, oczym wypłakała, ręce łamiąc połamała, piersi stęskając rozbiła. Oj, życie mi nie miłe! nie miłe! Życzę

tobie, latawico, więcej nie, więcej nie, tylko mego losu i starości mojej.

Zynia mimowolnie krzyknęła... Wyrazy te wymówione jak przekleństwo, przeraziły ją.

— Za co mnie tak życzyście, za co przeklinacie odrzekła — czy to ja swoją wolę mówię... Niosę co mi kazano.

— Milczałabyś lepiej, milczała...—odparła stara.

Zynia odstąpiła kroków kilka i zaczęła się po izbie przechadzać. Wygoniowa ani spojrzała na nią. Kilka razy młoda wzrokiem ją wyzywała bojaźliwym i nie wymogła ani rzutu oka ani wyrazu. Staruszka w swem bólu pogrążona, karmić się nim zdawała. Łzy, które przestały cieć, puściły się znowu.

Obawiano się wówczas wiedźm starych i ich czarów, tem się tłómaczyć chyba mogła, że Zynia przekleństwo usłyszawszy, chciała się teraz wkręcić w łaski Wygoniowej, aby na nią jakiego nie rzuciła uroku...

Pokrażywszy po izbie, Zynia przysiadła obok starej na ziemi, zmienionym głosem poczynając.

— No, nie gniewajcie bo się na mnie. Co ja wam winna! mnie posyłają, ja iść muszę. Żle wam nie życzę, a co mówię, dla dobra waszego. Wy sobie sami życie trujecie. Siedźcie bo spokojnie, będziecie szczęśliwą.

Odwróciła głowę Wygoniowa.

— Szczęśliwą!—powtórzyła—ja? szczęśliwą? koło mnie szczęście drogi zapomniało! Nie pleć pleciuchu, milczałabyś lepiej.

Ręką ku niej machnęła, aż Zynia, uląkwszy się odsunęła.

Ogień przygasał na kamieniach, młoda rada była, że do niego mogła wstać i parę szczypek przyłożyć, nie mówiła już nie, chodziła oczyma za starą spoglądając z obawą.

— Wody wam dać? — spytała.

Wygoniowa głową potrząsała...

— Miodu?

— Daj ty mi trucizny! — szepnęła stara — a takiej, coby prędko ubiła, nie męczyła długo; duru mi przynieś, blekotu zgotuj... Za to ci podziękuję.

— Skręciła się stara — mruknęła cicho Zynia.

Jakiś czas cicho było, a że w podwórcach też wszystko się pospało i we dworze, najmniejszy szelest chwycić łatwo mogło ucho. Wszebór, który ciekawie wpatrywał się i nasłuchiwał, około budynku chód szybki i niecierpliwy poczuwszy, stwożył się nieco, czy nie ku jego drzwiom kto się zbliżał... W tej samej chwili szeroko się otwarły te, które prowadziły do izby kobiet, — wszedł ktoś i prędko za sobą zasuwał zaparł. Stara Wygoniowa wlepiła oczy, młoda jak przestraszona w kąt uciekła; rumieniec jej na lice wystąpił.

Przybyłego nie widać jeszcze było, stał w mroku. Nagle wysunął się na światło i stanął przed starą, która ręce podniósłszy, krzyknęła, padając twarzą na ziemię. Był to Masław, prostą opończą okryty, z twarzą od gniewu zapaloną i niespokojną.

Stał, z początku nie mogąc przemówić słowa; oczyma powiódł po kątach, dał znak Zyni, aby precz szła, i dziewczę pod ścianami się sunąc, cicho dobiegło wyjścia, wymknęło się niem i znikło.

Stara patrzyła płaczącymi oczyma na Masława. W twarzy jej mieszały się uczucia dziwne: radość, gniew, rozpacz i szczęście. Masław stał groźny, lecz strwożony razem...

— Słuchaj ty, stara! — począł głosem jakby ochrypłym — ja ci sam, raz jeszcze przyszedłem powiedzieć, życia swojego strzeż. Masław cierpliwy do czasu, a w gniewie od wilka wściekłego sroższy... Zasieć każę, zabić każę!

— Gadał! — szepnęła stara — niechaj choć głos słyszysz... gadał! Ja tobie życie dałam, ty mnie za to śmierć!

— Oszalała baba! — krzyknął Masław — jak ty
Masław T. I.

śmiesz, stara szalenico, nazywać mnie kneziowskie dziecko, synem swoim! ty!

— Gadał synku, gadał — rzekła Wygoniowa — mnie głosu twego słuchać miło... Ja zawsze, zawsze mówiłam nad kolebką twoją, że ty godny kneziem być, królować!

Wyciągnęła ręce.

— Królem ja cię nazywała, ja, ja stara wiedźma szalona! Pamiętasz! — mówiła cicho — pamiętasz... Pomacaj się na czole, z prawej strony masz bliznę... Byłeś mały, padłeś na kamień i rozbiłeś głowę, jam ci ranę jak pies lizała... ugryzłeś! a to była przepowiedź tego co się ze mną i z tobą miało stać... Ja nogi ci liżę, ty mnie depczesz nogami!!

Zakryła rękami oczy i zaszła się od płaczu. Masław stał. Widział Wszebór, jak bladł, jak mu się twarz mieniła, jak naprzemiennie słabł i męźniał.

— Pleciesz duby smalone, stara! — zawołał — na czole żadnej nie mam blizny, nie znam ciebie! Mam tylko litość nad tobą... Siedź cicho, chcesz li być całą, a milcz! Stul głowę i nie śmiej mówić, żebyś ty mi matką być miała.

A pomilczawszy, dodał cicho:

— Gdybyś ty matką była, nie psułaśbyś mnie u ludzi, nie robiłaśbyś wstydu przed światem. Ja kneziem jestem i będę... tyś pastusza wdowa...

— A ty, kneziu miły, pastuszy syn! — smutnie rzekła stara. — O! bodaj ci było z biczem chodzić za trzodą, nie z mieczem na gardła cudze nastawiać, aby potem swoje dać! Co tobie z tego kneziostwa? co?

Masław mruczał coś niewyraźnie.

— Będziesz milczała? — spytał.

Wygoniowa zadumała się.

— Puśćcie mnie ztąd — odpowiedziała smutnie — pójde i będę milczeć. Nie powiem nikomu, żeś synem moim, króluj sobie! ale puśćcie mnie z tej niewoli... hen! do starej chaty! puśćcie! puśćcie! Niechaj oczy

się nie patrzą, serce się nie krwawi... Nie powiem nikomu, puśćcie mnie tylko.

Uklękła, składając ręce. Masław brwi ściągał i rudawą brodę szarpał.

— Co ci tu, źle! ptasiego mleka chyba brak? Pójdiesz na czarny chleb i nędzę czarną, a usta nie strzymają, będziesz pleść duby swoje... Nie... nie!!

— To mnie zabić każ! — mówiła stara — tak, prędko jak twoi ludzie umieją... Głowa się ledwie trzyma. Ja w niewoli oszaleję, ja do niej nie przywykłam... Ja ci życie dałam, ty moje weź.

Upadła płacząc na ziemię, ale prędko podniosła oczy i poczęła cheiwie wpatrywać się w Masława, jak myśl jej przyszła nagle, usiłowała powstać. Kneź się cofnął nieco, stara podniosła się z trudnością i oczy wlepiła w niego: jakby o sobie zapomniiała. Karmiła się widokiem tym, nie mogąc nasycić. Wzrok jej piekło widać knezia, bo się poczał cofać niespokojny.

— Stój — odezwała się — już ja ciebie o nie nie proszę, niech popatrzę tylko! Tak dawnom ciebie nie widziałam! Al! al! co się to z niego zrobiło! Jak to ciało wybielało... jak dziecina urosła, jaki pan z mego syna... Myślałamże ja, piastując cię na rękach, że bohatera wykołysam!

Powoli zbliżała się ku niemu, twarz jej z gniewnej przechodziła w rozrzuwnioną, klękła i pochwyciła go za nogi, całując je... Masław drżał cały...

— Kneziu mój! gołąbku mój! czy ci sępy serce wyjadły, czy ci krucy oczy wydlubały... nie znasz że ty matki swojej! O! złoty mój! nie chcę nic od ciebie, puść starą na swobodę; mnie tu duszą te ściany, mnie wyjść kroku nie dają, głosu podnieść nie wolno... nie! Zlituj się ty nademną!

Kończyła te słowa, gdy kneź szybko się cofnął aż do drzwi. W progu już stojąc, odwrócił się ku niej:

— Mieście rozum, kiedy całą chcecie być! to ja

wam mówię! ostatni raz. Siedźcie gdzie przykazano! słyszyciel!

Odryglowano drzwi i Masław wyszedł, stara jak leżała u nóg jego na ziemi, została w miejscu, twarz ukrywszy w dłonie, rozciągnięta na toku.

Leżała tak płacząc, gdy znowu weszła, ale już nie Zynia. stara, w ubogiej zgrzebnej bieliźnie, baba silna, z rękami obnażonemi, z włosami rozrzuconemi, które chusta brudna zaledwie na pół osłaniała. Patrzała na leżącą namarszczywszy się.

— Hej! słyszysz! — zawołała głośno — a na barłóg więdźmo stara! dosyć tego.

To mówiąc, pochwyciła ją w pół rękami silnemi, i niebroniącą się nawet na posłanie w kącie zaniosłszy, rzuciła. Z kółka zdjęła siermięgę, nakryła ją, popatrzała i poszła ogień przygasić. Wkrótce Wszebór nie już dojrzeć nie mogąc, i nie słysząc nic, oprócz głuchego jęku i chrapania, zasnął okienniczkę. Uląkł się, aby nazajutrz nie domysłano się, że był na podsłuchach i suknię na niej zawiesiwszy, sam też legł na posłanie.

Nazajutrz jak świt zaskrobano do drzwi, poszedł je otworzyć; był to Sobek, który chciał ogień rozniecić. We dworcu się już ruszać poczęto. Dzień naówczas wszędzie po chatach i grodach zaczynał się ze światłem i z niem kończył. Gdy Wszebór wstawszy okienniczkę od podwórza odsunął, zobaczył już Masława na koniu pod oknami, który ludzi swych ustawiał, dobierał, broń opatrywał, tarcze przerzucał, jeźdźnym konie próbować kazał.

Wojsko to, zbierana drużyna, niesforna i dzika, zdawała się mężną i dzielną. Na teraz nie miało ono jeszcze z kim walczyć w kraju, bo rycerstwo królewskie rozproszone było, a z Czechami, którzy je orężem i liczbą przewyższali, mierzyć się nie śmiało. Masław do jakiejś przyszłej walki, którą przeczuwał, gotować się zdawał. Z okna widać było, jak pułki nowe objeżdżając, kneź to się z ludźmi po książęcemu

obehodził, to, zapomniawszy się kim był, stawał się w gniewie prostym człowiekiem, sam własnymi rękami rwąc się do niesfornych.

Wszebór, a za nim stojący Sobek zdala patrząc głowami potrząsali; staremu bartnikowi to uśmiech się kręcił po ustach, to brwi się marszczyły. Głos niekiedy aż tu dolatywał groźny i krzykliwy.

Mileżąc tak stali chwilę, aż bartnik odwiódł na stronę Doliwę.

— Nie mamy tu czego długo przesiadywać — rzekł cicho — obejrzyjcie się... uchodźmy... Widzieliście co ma... więcej nam nie trzeba.

— Siłę ma, wielką siłę, a my żadnej — odparł Wszebór wzdychając.

— Jużci nie przystaniemy na niego — szepnął bartnik. — Na oczysmy widzieli to, o czym słuchy tylko dochodziły... nie popasajmy tu długo.

Wszebór głową tylko kiwnął...

Zaskrobano do drzwi i z pokłonem wszedł Huba.

— Ludzie stoją w podwórzu, których do drużyny pańskiej wybierać macie — odezwał się. — Skarbiec też otworem. Kneź przykazał posłuszeństwo. Czekają na was.

Ruszył się rad nie rad Doliwa za wiodącym go Hubą. W podwórzu stała pokażnej młodzieży spora gromada, chłop w chłop z wesołemi twarzami, butni i raźni. Wszystko to było od pługa i siekiery spędzone, nie otargane jak dzikie konie ze stada wzięte... Doliwa obchodzić ich naprzód począł, potem wybierać. Cisnęli mu się jedni, uciekali dzudzy, ale Huba stał tuż z kijem w ręku i sprzeciwiać się nikt nie śmiał. Wprędce złożyła się przyszła drużyna pańska i z nią szli do wieczorajszego skarbcza, gdzie na nich czekał stary dozorca... Nie zbywało na odzieży i na orężu, tylko obojga dobrać jednostajnych nie było podobieństwa. Łupy na kupę pozrucane, z różnych pochodzące dworów, nie łącno się dały pościagać tak, by jednostajnie przybrać było można

drużynę. Mozolili się nad tem jeszcze, gdy już ochmistrza nowego do pańskiego stołu powołano. Tu znów zasiadali Prusacy, których hałasliwiej jeszcze niż wczora żegnano, bijąc w dłonie na wiekuiste przymierze.

Zdala świadkiem był Wszebór, jak je zapijano i głośno się zmaiwano, ile Kunigas ludzi miał postawić i gdzie z niemi pójść mieli. Masław tajemniczy nie czynił z tego, do czego się przysposobił.

— Z piastami nie koniec mnie jeszcze—mówił, pijąc do Kunigasa. — Nie ma już ich w kraju, wygnaliśmy precz, ale z Niemcami trzymają, z Niemcami oni wrócić mogą. Czerń rycerstwo wytłukła, dwory popaliła, ano się to plugastwo rozbiegło tylko, a jak do przytomności przyjdzie, skupi się znowu... Nie koniec to jeszcze, nie koniec! stoją jeszcze gródki całe, i nie wszystkie głowy z karków pospadały...

Zbladł Wszebór słuchając, bo też Masław mówiąc to, okiem nań rzucił. Więc bratano się z Prusaki i starym bogom a pogaństwu poprzysięgano wiarę. Miód szumiał i wrzawa się powiększała, a trwało tak aż do odjazdu Kunigasa, którego na podwórzec Masław i dwór odprowadzili do koni... Tu jeszcze napełniono sogi, pijając na zagładę chrześcijaństwa, a gdy Prusacy na konie siadłszy wyjeżdżali z zamku, mnogi lud i gęślarze prowadzili ich z okrzykami za okopy.

Wszebór stał wpatrując się w to i przysłuchując, gdy Masław nań skinął, aby mu do izby ową wybraną drużynę na okaz przyprowadził. Ruszył się więc spełnić rozkaz, ale w tej chwili drzwiami, któremi miał wychodzić, weszło poselstwo nowe i kneź oczyma go zatrzymał.

Jeszcze to dziwniej wyglądało, niż dzikiej, ale wojennej postaci posłowie prusey. Kupa była ludzi z za Wisły przybyłych, od owej czerni, która tam kraj pustoszyła... W kożuchach pokrwawionych i siermięgach pobroczonych odziani, z twarzami miodem i piwem już zagrzanemi, z hałasem i śmiechem wtłoczyli

się, niewiele okazując poszanowania zbóje. Starszy z nich, drab przechodzący innych głową, z ogromnemi włosami, długo mu na ramiona spadającemi, zdjął czapkę baranią, przystąpiwszy dopiero ku Masławowi i nieco mu się ręką do kolan uniżył. I on i ci, co mu towarzyszyli, wesołe mieli oblicza, najmniejszego strachu, patrząc na kneziowski majestat... Plądrowanie po kraju nauczyło ich nie nie szanować, silni się czuli...

— No, my do was przyszli, kneziu nasz — zawołał starszy — poradzić się i pocieszyć. — Ty nasz! ty nasz! — gromada cała podniosła czapki wesoło, wtórując okrzykiem.

Masław marszczył się milczący.

— Tam, za Wisłą, my już tak dobrze jak skończyli, kraj tobie oczyścili. Idź i pilnuj... Stare chramy staw, stare bogi wróć! Niemcom i ich bogom na zgubę!

Znów się wzniósł okrzyk i czapki podniosły do góry. Mówca brodę pogładził, rozglądnał się wkoło.

— Rycerstwa i niemieckich księdzów nie ma już, gródków mało co stoi, te głodem weźmiemy, albo i na oszczepach roznieziemy... ale Czechom my rady nie damy. To twoja sprawa, miłościwy. Chcesz panować, trzeba ich się pozbyć...

Wszyscy, otaczający posła, głową i rękami mówiącemu potakiwali, słuchał Masław.

— Rycerstwa niema nic? — zapytał.

— Tak jak nie ma — rzekł śmiejąc się poseł — choć się tam który po lasach tłucze, przyjdzie zimno, mróz i wilcy reszty dojedzą.

— A gródki popalone?

— Gdzie który się jeszcze ostał, na niedługo — odparł poseł. — Tu, w pobliżu, tylko na jeden sami może rady nie damy. Gdybyś nam ludzi wojennych i pomoc dał, łatwiejby przyszło.

— Któryż to? — odezwał się Masław.

Gromada cała, głuszac się, poczęła wołać:

— Olszowe Horodyszcze!

Wszeborowi krew wystąpiła na twarz.

— Okopali się tam, psie syny — ciągnął dalej mówca — ostrokołami otkali i pilnują a bronią tak, że ich trudno wziąć. Głód ich zmorzy, to prawda, a co potem, niewiast tam dosyć jest, coby się przydały nam, pochudną; co jest zapasu wyjedzą, a nuż Czechy przyjdą i złupią? Bogactwa tam wielkie, szkoda stracić.

— Olszowe Horodyszcze! — mruknął Masław, pytając.

Posł ręką wskazał stronę, w której leżało.

— Dajcie nam ludzi — rzekł — jak się rzucimy na wały razem ze wszystkich stron, nie obronią się... Skarbami choćbyśmy po połowie się podzielili, dosyć ich dla wszystkich będzie. Pozwozili ich tam moc zewsząd wielką, a i stary Belina sam zasobny był... Trzeba to gniazdo wywrócić ze szczętem...

Masław mruczał coś niewyraźnie; poselstwu od czerni piwo niesiono i częstować je zaczęto. Wzięli się tedy do kubków wszyscy, kłaniając panu, co ich przyjmował, a pan był twarzy posępnej czegoś. Zbyttnia poufałość ludu prostego w smak to nie szła. Oni też spoglądając na tego swojego knezia, nie zdawali się w nim lubować zbyt. Nadto się im wydawał butnym i do dawnych panów podobnym.

Wszebór, który miał już odchodzić, zasłyszawszy, jak się nad napadem na Olszowe Horodyszcze naradzano, został umyślnie, aby wiedzieć, co będzie postanowione.

W gwarze, który się wszczął przy piwie, trudno co było usłyszeć. Z przybyłej gromady, głuszając mówcę, wyrwały się głosy różne i jedne drugim przerywały opowiadanie. To tylko mógł pochwycić Wszebór, iż chęć Masława opisami skarbów i łupów podżegano, a kneź więcej niż o zdobycz, o położenie gródka i siły jego się dowiadywał.

Te siły jedni podnosili bez miary, bo przed nie-

mi ustąpić musieli, drudzy starali się okazać nie tak znacznymi; zgody nie było na nic. Jednomyslnie tylko bili w to wszyscy, iż rycerstwa wiele się pochroniło na Horodyszczu i dla tego samego wziąć je trzeba było koniecznie, aby niebezpieczni ludzie przebojem się nie ocalili.

Dla Masława też więcej znaczyło pozbyć się tych, których za najstraszniejszych swych wrogów uważał, niż obłowić zdobyczą.

Gromada pokłoniwszy się, nahałasawawszy, odeszła wreszcie, odprawiona łaskawie. Masław znużony upadł, a Wszebór, gdy już wieczór się zbliżał, pod pozorem koni, wysunął się Sobka szukać ku szopom.

Jak niegdyś u Bolesława, rycerstwa zamek i podwórce we dnie i w nocy pełne były, dziś u Masława gmin je zalewał mnogi, który karmić i poić musiano. Około chramu kupy ślepców i śpiewaków, na okopach żołnierz, pośrodku gromady, które tu zewsząd przyciągały z pokłonami, obozowiska rozkładały. Przecisnąć się było trudno wśród szałasów, bud, klatek i porozkładanych ognisk. Śmiechy i śpiewy rozlegały się wszędzie. Gdzieniedzie pokrwawioną jeszcze odzieżą i kosztownymi oponami, po dworach złupionemi, kupczono i mieniano.

Wszebór, mijając te kupy, dostał się do szopy, przed którą dostrzegł zdalą Sobka, ale i tu związała się czeladź i parobcy od stad i koni; rozmówić się trudno było.

Skinawszy więc na bartnika, uprowadził go Doliwa za sobą, ku tej stronie, gdzie wał prawie był pusty i z ludu ogołocony.

— Wasza prawda, mój stary — rzekł do Sobka, odwiódłszy go na miejsce bezpieczne — wasza prawda. Śpieszyć nam potrzeba z powrotem. Tylko co przybyła gromada żąda od Masława posiłków na Olszowe Horodyszcze; trzeba nam i o niebezpieczeństwie oznajmić i samym stanąć w pomoc. Być może, iż przebojem lepiej wyjść będzie zawczasu.

Sobek uderzył w dłonie.

— Jak się ztąd wydobyć? — spytał Doliwa. — Wpaść było nie łatwo, uciec trudniej jeszcze.

Poruszył się stary bartnik trochę niespokojnie.

— Mnie się ztąd wykraść łatwo — rzekł — kiedy zechcę, wyjdę, nikt nie spyta; gorzej wam.

Pokreślił głową.

— Dlatego was pytam o radę — dodał Wszebór.

— Myślcie tylko, jak się dostać za Wisłę do lasu — rzekł Sobek — dalej już moja rzecz cało was poprowadzić. Noc mamy przed sobą.

Doliwa podumał trochę.

— Tej nocy? — spytał.

— A pocóż czekać mamy, aż powezmą jakie podejrzenie?

Naradzali się tak jeszcze, aż mrok zapadł i Wszebór musiał na zamek powrócić, aby się Masławowi ukazał. Uradzono po cichu nocną tegoż dnia ucieczkę.

Wpuszczony do knezia po rozkazy Doliwa, zastał go wpółuspionym po miodzie i piwie, niechętnym do rozmowy, dał mu tylko znak, aby spoczynku nie przerywał. Wyszedł więc natychmiast, zamiast do izby swej, nazad puszczając się w podwórce. Nikt tego wieczora ani go nie potrzebował szukać, ani zaglądał do jego komory.

Nazajutrz rano kneź ruszył się do swoich ludzi przeglądać rynsztunek i konie, a wróciwszy, ochmi-strza wołać kazał. Czekano też nań, aby wczorajszą drużynę opatrzył, ale go nigdzie nie znaleziono. Izba z wygasłym dawno ogniskiem stała otworem; nikt wchodzącego nie widział.

Rozbiegli się szukać dworacy, a naprzód do szopy i koni zajrzeli; Sobka i ich nie było.

Na wieść, iż Wszebór zniknął, Masław porwał się wściekły; wnet najsprawniejsi ludzie i konie naj-ręczsze w pogon za zbiegiem puszczono. Kneź kłął się, iż nikogo z rycerstwa, choćby mu u nóg leżał,

życiem nie daruje. Dziwny jakiś strach go ogarnął. Dzień cały spędził na okopach, czatując, ażali ci, których wysłał, nie przyprowadzą schwytanych. Wystawiona szubienica już na nich od południa czekała...

Pod noc dopiero, na zmęczonych koniach, zwol-na wysłani ściągać się zaczęli, przynosząc wieści, iż nigdzie śladu Wszebora nie natrafili. Przewoźnicy na Wisłę przysięgali, iż wieczorem ani zrana niezna-nego nie przewozili nikogo, w okolicy nikt zbiegów konnych nie widział. Po obu brzegach rzeki tropio-no ich kilka dni napróżno...

Huba chodził po wieszczbiarzy pod chram, aby wróżyli mu i opowiedzieli, gdzie szukać trzeba zdraj-ców. Każdy z nich wskazywał inną stronę.

Nie uspokoiło się w Płocku tak rychło; lecz nowe gromady, posłowie, narady i przygotowania za-tarły pamięć po Wszeborze. Sposobił się oddział na Olszowe Horodyszcze, który z kupą ludu okolicznego połączony, miał napaść na gródek i, osaczywszy go, zdobyć się spodziewał.

VI.

Gdy w Płocku Masław, na samo wspomnienie Wszebora Doliwy, pięściami tłukł w stoły i ławy, od-grażając się, szydząc i bezczeszcząc dawnego towa-rzysza, a łajac ziemian, co nań nasłali zdrajcę, aby jego tajemnicę podpatrzył; Wszebór nocą się z Sob-kiem na upatrzonym brodzie wpław przeprawiwszy za Wisłę, razem z nim manowcami dał w głąb pusz-czy, jak zwierz, który chce psy zbić z tropu, prze-

rzucając się w prawo i w lewo, koniom nie dając odpoczynku, dopóki się od pogoni bezpieczniejszym nie czuł. Stary bartnik wielką mu był pomocą, bo leśnego mieszkańca instynkt miał, który go nigdy nie mylił. Kora drzew, wiatru kierunek, gwiazdy przeświecające na niebie, wszystko mu do wytknięcia sobie drogi posługiwało.

Jednakże, dla zmylenia pogoni, nieustannie zwracając się i wyszukując miejsc niedostępnych, Sobek nawet w końcu znalazł się w jakimś ostępie zupełnie sobie nieznanym. Nie obawiał się zbłądzić, lecz przybycie do Olszowego Horodyszcza zwlec się przez to musiało. Coraz późniejsza jesień, wyżywienie koni trudniejszym czyniła, tak, iż niekiedy młodemi gałazkami karmić się musiały. Tego pierwszego dnia, który za stracony uważać było można, tyle tylko zyskali, że się wpędzili na błota i gęstwiny, w których bezpiecznymi się czuli. Nocleg przyszedł na łące, między drzewy, a szafasu nawet sklecić nie było czasu i ochoty; pokładli się, ściągawszy z koni sukno i czaty pilne sprawując, dotrwali do ranka.

O świcie Sobek konie napoił i począł się krzątać, jakby z tych ostępów się dobyć ku znajomszej okolicy. Inaczej jak za kierunkiem, wskazanym przez korę na drzewach, iść nie było można. Jechał przodem bartnik, wybierając łatwiejsze przesmyki, a rozpatrując się w lesie, w którym najmniejsza poszlaka za wskazówkę służyć mogła.

Już było około południa i gęsta puszcza zdawała się przerzedzać nieco, zwiastując polanę i strumień; zjeżdżali ze wzgórza małego, gdy Sobek konia wstrzymać zaczął, a w końcu znak milczenia dając, stanął. Od strony, w której las się kończy, gwar słychać było niewyraźny, lecz dosyć znaczne zbiorowisko ludzi oznajmujący. Przestрах ogarnął starego, bo nie kto inny mógł kupą chodzić, tylko Czesi, najjeźdźcy jacyś lub czerni, co się po kraju za łupem włóczyła. Wpaść w jej ręce, uniknąwszy Masława,

było zgubą; na twarz bartnika też trupia wystąpiła bladeść; w pierwszej chwili nie wiedział już co począć, wsłuchiwał się przerażony. W miejscu, w którym stali, olbrzymie pnie i gąszcz, las podszywająca, zakrywała ich jeszcze, ale najmniejszy szelest mógł zdradzić. Sobek zsunął się ze szkapę swej, którą do młodej drzewiny przywiązał, za przykładem jego poszedł Wszebór, bo z koniem tu niebezpiecznie było, niż pieszo. Oba razem po cichu skradać się poczęli ku miejscu, z którego gwar coraz wyraźniejszy ich dochodził. Wzgórze, na którym stali w drzewach ukryci, oberwane przez wody rzeczulki płynącej dołem, dozwalało ztąd okiem rzucić w dolinę. Spostrzegli wśród niej obozowisko z dosyć liczego złożone ludu. Kilkanaście wozów stało dokoła otaczając je; konie spętane pasły się na łące. Dwa czy trzy namioty rozbite były w pośrodku, paliły się ogniska w naprędcie rozkopanych dołach, koło nich pół zbrojna czeladź się kręciła. Kilku mężów zbrojnych widać też było z namiotu do namiotu przechodzących, inni na podesłanych suknach leżeli. Byli to ludzie dobrze zbrojni, a w pośrodku ich na żerdzi stał porzec oszarpany, zdarty, z którego trudno poznać było do kogo należał.

Zdala na myśl przyszli Czesi patrzącym i już rozglądawszy się, cofać mieli, gdy Wszebór i Sobek uczuli się nagle pochwycenymi z tyłu i powalonymi na ziemię. Wszebór, miecz mający u boku, wnet oprzytomniawszy, bronić się chciał, i dwu napastników otrząsnął z siebie, gdy, nawzajem sobie w oczy popatrzawszy, poznali w nich służbę znajomych władyków, a ta w nich ludzi nie obcych.

Ci, którzy Doliwę przebranego po wieśniaczemu za chłopą biorąc obalili, byli pacholkami Śreniawów. Sobka wywrócił drab, który miecz naszał za jednym z Jaksów.

— Co wy tu robicie?—krzyknął Wszebór—waszli to obóz?

Czeladź ręką tylko wskazała.

Uradowany Wszebór, gdy się najmniej spodziewał swoich spotkać, znalazł się między nimi. Nie przypuszczał nawet, ażeby z rozbitego rycerstwa jeszcze gdzie tyle razem zebranego być mogło. Szybkim więc krokiem pędził, konie zostawiwszy przy Sobku, do tego obozu, który mu się jakby zesłanym z nieba wydawał. Byli więc jeszcze ludzie, co nadziei nie tracąc, gromadzili się i radzili o sobie.

Im bardziej się do obozu przybliżał, tem więcej radość jego rosła. Nie był to zastęp zbyt liczny, jednak z czeladzią i pacholkami przeszło sto głów liczyć musiał. Rycerstwo też przedniejsze, z którego się składał, całe jeszcze zbroje i oręż miało, a lica nie tak wynędzniałe, jak Lasoty i Toporeczyka, których wprzód na drodze spotkali.

Ład też i spokój panował w obozie, a pochwycenie Wszebora dowodziło, że pilnie przystępu do doliny strzeżono.

Bogu dziękując, poruszony wielce Wszebór, przebywszy rzeczulkę, po rzuconej na niej kłodzie, wpadł do obozu, pędem prawie lecąc ku stojącemu tu rycerstwu. Zdala go już postrzeżono, a że licho odziały był i nie poznał go zrazu nikt, popłoch się niejaki wszczął, ten i ów wstawać począł z ziemi, niektórzy się już do oręża chwyтали, gdy na przodzie stojący młody mężczyzna, przypatrzawszy się Wszeborowi, z krzykiem naprzeciw niego pośpieszył.

Był to też z dawnej drużyny Kaźmierzowskiej towarzysz Doliwów, Samko Dryja, przyjaciel obu braci, którego z oczów stracili, gdy króliewicz poszedł na wygnanie, i wszystko się około niego rozbiło.

— Wszebór!

— Samko! — krzyknęli oba, ręce ku sobie wyciągając.

Na głos ten, co było bliżej, kupić się około nich zaczęło, przybyłego pytaniami zarzucając. Nim na nie odpowiedzieć miał czas, z namiotu większego wy-

szło kilku starszyny. Wzięto Wszebora wnet i wiedziono, gdzie byli dowódcy oddziału.

Pierwszy, którego ujrzał siedzącego na pniu skórą okrytym, był siwy, stary, blisko osiemdziesiątletni Trepka, Mieszka pierwszego jeszcze czasy pamiętający. Siedział przygarbiony, kożuchem okryty, trzęsący się starzec w pośrodku, a przynim stali dwaj synowie, dalej Jaksowie, Kaniowy, Sreniawy i rycerstwo przedniejsze Bolesławowskie stare, Mieszka i Ryksy. Wszystko to były niedobitki świetnych niegdyś pułków, wspaniałego dworu; żupanie, władki, wojewodowie, podkomorzowie pańscy, o których że z życiem pouchodzili, nie wiedział nawet Wszebór; tem mniej, że zebrani mogli być razem, bo wieści chodziły, iż co nie wyginęło po grodach, za granicę pouchodziło i rozbite się tuliło bo kątach, śmierci czekając.

Podniósł więc Wszebór ręce do góry, Bogu na przód za to dziękując, że mu dał oglądać rycerstwa ostatek; zgodnie a gromadnie się trzymającego.

Tamtym też na widok jego usta się nie zamykały, chwytało go, pytano ze wszech stron, radowano się, że jeszcze jeden ze swoich ocalawszy, szczupłą garść ich miał pomnożyć.

Tym, którzy Doliwy nie znali, a dziwili się siermiężnemu przybłędzie, tak serdecznie przyjmowanemu, Dryja i inni opowiadali, kto on był i jak się zwał. Ze wszech stron obijało się o uszy imię Doliwy.

Gwar pod namiotem stał się taki, iż słyszeć już nie nie było można; Trepka więc stary, którego tu niby jako wodza szanowano i słuchano, począł kijem bić w ziemię i w stare dłonie plaskać, by się uciszono. Inaczejby się nie od Wszebora dowiedzieć nie było podobna.

Dopiero go starzec, ogromną swą siwą brodę pogładzając, począł pytać, zkąd szedł, jako się uratował, czyby co o innych nie wiedział?

Doliwa o swoich nieszczęściach rozpowiadał im, od wyrwania się z gródka, spotkania z Lasotą w Gdęcu, aż do przybycia do Olszowego Horodyczka. Nie przywiązując wagi wielkiej do wyratowania niewiast z Ponieca, pominął je w opowiadaniu Wszebór. Dopiero, gdy począł o przyjęciu u Beliny mówić, z liku osób niewiasty się okazały.

Zaczęto pytać jakie były, i Doliwa mianował panią Spytkową, z córką Katarzyną. Nazwisko to wymówił ledwie, gdy z za starego Trepki, z ziemi, na której ktoś kozuchami i oponczami otulony leżał, głos wielki się podniósł.

— O chwała Panu na wysokościach!

Wszystkich oczy w tę stronę się obróciły, gdzie z trudnością jakby z powijaczów się uwalniając, blada twarz i ręka żyłasta się ukazała... Z pod chust zakrwawionych, które głowę całą obwijały, twarzy tej ponurej a smutnej, ledwie okrawek widać było. Jedno oko krwią zasłone, policzek biały i wargę siną, która jak bezwładna wisiała.

— Co zacz jest ten starzec? — spytał Wszebór Dryi.

— A no Spytkowej mąż, co się cudem z pod stosu trupów, z pomocą ludzi uratował — rzekł cicho Dryja.

— Nam przyniesiono wiadomość, iż go w sztuki rozsiekano — zawołał Doliwa.

— A niewiele skłamano — rzekł dosłyszawszy to Spytek — nie mam na ciebie cząstki jednej, którąby posieczoną, pokłótną i porąbaną nie była, a co się ze mnie krwi utoczyło, stało by drugiemu na życie!

Wszebór zdumiony patrzył na porąbanego władkę, który chustę odgarniając, próbował też jego zobaczyć, gdy płotek namiotu się uchylił i Sobek, bartnik wpadł jak szalony, oczyma namiot ogarnął, a potem z krzykiem na ziemi legł przy panu swoim...

Zamilkli wszyscy na ten widok, Spytek też sło-

wa ozwać się nie mógł, mrużąc tylko niewyraźnie: chwała Panu, chwała Panu na wysokościach...

Gdy w kątku bartnik po cichu począł rozpowiadać swoje i pani dzieje, wszyscy wrócili do Wszebora, dowiadując się o Olszowe Horodyszcze, lecz gdy mimochodem wspomniał, iż na zwiady do Płocka chodził, i od Masława, głowę ocaliwszy, wraca, wrzała się znowu wszczęła; ciekawi się tak cisnęli, że Trepka kijem, głosem i płakaniem musiał porządek nakazać.

Nie chciano nawet wierzyć Wszeborowi, ażeby się ważył wilkowi w paszczę leżeć, aż Sobka, towarzysza na świadectwo wezwał.

Posypały się znowu pytania, o człowieka, choć go niemal wszyscy wprzódki znali, o siłę jego i o to, co zamyslał. Z nienawiścią mówili o nim wszyscy, a jeden głos w obronie się nie odezwał. Gdy Wszebór o tłumach przez niego zebranych mówić począł, wierzyć znowu wzdragano się; wreszcie rycerstwo, jak było zwykło, odzywało się z tem, iż jednemu dobrze zbrojnemu łatwo było całą kupę takiej zgrai spędzonej od bydła, rozbić i zniszczyć.

— Dzięki Bogu, że mnie tu Jego ręka opatrzna przyprowadziła — dodał Wszebór — przez miłosierdzie iść potrzeba na odsiecz Horodyszczu, Belinie i zamkniętym w nim władkom, bo inaczej Masław, lada chwila najdzie i gródek zdobędzie...

Gdy Wszebór to rzekł, nagle stało się milczenie, wielkie i długie. Patrzali jedni po drugich, pytając się wzajem oczyma, nikt pierwszy odzywać się nie śmiał. Zdumiał się wielce Doliwa, gdyż na ziemi nawet leżący Spytek, choć słyszano o co szło, choć wiedział, że na grodzie żona jego z córką się schroniła — ust nie otworzył.

Powtórzył tedy raz jeszcze, że z taką siłą, jaką w obozie widział, śmiało na oblegających, niespodzianie uderzywszy, rozbić ich i pokonać można. Na to też, okrom mrużenia, nie było wyraźnej odpowiedzi.

Oczy się zwróciły ku starszyźnie, aż Trepka, głową potrząsłszy, począł:

— Daj Panie Boże, ażebyśmy już mogli w pomoc śpieszyć oblężonym grodziskom... ale na to nie pora. Droższa nam nad wszystkie grody i nad krew braci naszej nawet, ta cała ziemia i królestwo i wiara święta, którąśmy przyjęli, — a oboje to naprzód ratować trzeba.

Wszyscy stojący dokoła wtórowali mu cichym szmerem; starzec powoli mówił dalej:

— Gdyby ta dzicz Masławowa wiedziała, iż nas jeszcze gromada jest, wnetby się ją rozbić i zniszczyć starała. Nas zaś mało jeszcze i do walki stać nie pora, dopóki wodza nie mamy namaszczonego, by nas prowadził. Pierwsza rzecz: potajemnie w siłę się wzbić, pana odzyskać, wodza postawić na czele, dopiero o braciach pogiębionych a uciśniętych myśleć będziemy.

Gdy nikt na to nie odpowiedział, bo zdanie starca wszyscy się podzielać zdawali, Wszebór, któremu na sercu leżał los zamkniętych na Horodyszczu, ozwał się:

— Damyż zginąć tej krwi naszej, która najdroższa nam jest! Toć to tam kwiat rycerstwa, można rzec, się schronił, a gdyby na pastwę miał być dan Masławowi, nigdy nieopłakana byłaby szkoda.

— Ziemię i wiarę ratować naprzód powinniśmy — zawołał starzec — o sobie myśląc, pójdziemy wszyscy, prędzej później, w pęt!

Podniósł ręce obie do góry.

— Bóg widzi, drodzy nam wszyscy swoi! Po winowaci to są i ze krwi i z wiary i z ducha i z oręża, alisci jeszcze nam droższa ziemia ta i wiara, niż krew własna.

Szmer dał się słyszeć dokoła potakujący. Wszebór głowę zwiesił, spojrział ku Spytkowi, który jedno skrwawione oko podniósłszy, słuchał z usty roztwartymi i sina warga mu się trzęsła. Sądził, że on za

swojemi przemówi. Spytkowi z oka tylko potoczyła się nie łza czysta, ale krwi krople pociekły, rozchodząc się po bladym policzku.

Mileżał stary. Wśród ciszy z piersi głębin dobyło się westchnienie ciężkie; zwolna pochylił poranione czoło i skrył je na posłanie. Ci, co nań patrzali, poczułi jak cierpiał i usta im się zamknęły.

— Jak wy postanowicie, tak się stanie — odezwał się Doliwa. — Ja to wiem, iż z Horodyszczu wyprawiony, nazad tam śpieszyć muszę, abym choć dał znać o niebezpieczeństwie i dwoje rąk moich a głowę zaniósł...

Nikt nie odezwał się wstrzymując go. Wtem stojący przy starym Trepce Śreniawa, któremu imię Bolko było, zapytał:

— Ileż tam na gródku ludu jest?

— Tyle, ile go się zmieścić może — odparł Doliwa — nocą między leżącemi pokotem przejść niepodobna, na nogę lub rękę nie nastąpiwszy. Gorsza nadto, że żywności im zbraknie wkrótce.

Smutno słuchali tego opowiadania starzy.

— Cóż począć? — rzekł Trepka — niech się obraniają dopóki mogą, ratunek przyjsć może, gdy nadzieję lepszą o przyszłości poweźmiemy... Gdybyśmy zagrożonym zamkom w pomoc iść chcieli, wkrótce by i nas nie stało.

Znów tedy przerwała się narada i mowa, a pojedynczy tylko między sobą po cichu rozprawiali, gdy stary Trepka dodał, namysliwszy się.

— Rychlejby od nich trzeba wyciągnąć co lepszego jest, niż im co mamy przedniejszego oddawać. Bóg jeden wie, azali w tym naszym obozie małym, nie cała przyszłość tej ziemi i nasienie na nowe królestwo się znajduje.

Gdy to mówił, oczyma powiódł dziwnie po przytomnych i oni popatrzywszy też dokoła, jakby się porozumiewali tajemniczo jakoś — umilkli. Pytano potem Wszebora o imiona zamkniętych na gródku,

o niewiasty, o sposób życia i zasoby, na co Doliwa, widząc, że nic nie zyszcze, ledwie półgębkiem odpowiadał. Tak go ta surowość starszyny przykro dotknęła, iż nie mając ochoty dłużej rozpowiadać, pokłonił się tylko i z namiotu wyszedł, na Sobka skinąwszy.

Rozżalonym był wielce, tak, że postanowił cokolwiek koniowi dawszy wypocząć, natychmiast w dalszą się puścić drogę. Gdy Sobek doń przystąpił, w twarzy jego postrzegł też jakiś wyraz dziwny obawy i zakłopotania.

— Nam w drogę czas! — rzekł Wszebór.

Sobek włosy pogładził.

— Pewnie, pewnie — mruknął.

Stał jednak, nie biorąc się do niczego. Po krótkim namyśle, do kolan mu rękę przyłożył.

— A jakże ja tu starego mojego poranionego porzucę? — zapytał.

— Cóż ja znowu bez was poradzę! — krzyknął Wszebór, któremu się na gniew zbierało. — Odwiedźcie mnie do Horodyszczu, a potem... czyńcie sobie co chcecie. Do tegoście obowiązani, i ja was gotów jestem przymusić.

Sobkowi się gęba jakoś skrzywiła, pochylił się do kolan.

— Jest tu komu mnie obronić i zastawić się za mnie — rzekł bez gniewu — o przymusie nie ma co gadać. Należy się wam odemnie, żebym na drogę doprowadził... to zrobię.

Wszebór gniewny, mówić już dłużej nie chciał, odwrócił się od bartnika. Miał iść konia swojego szukać, gdy się doń Dryja przybliżył.

Położył mu rękę na ramieniu.

— Nie patrz na nas krzywo — rzekł — nie ma za co. Stary Trepka prawdę ma! Choćby serce pękało, choćby tam matka była, żona, siostra, my o czem innem myśleć musimy.

Doliwa mu w oczy spojrzał sierzdisto.

— O czem, u licha? — podchwycił — o sobie chyba?

Dryja zachmurzył się.

— Mówili jasno — rzekł — powinienś być rozumieć!

— Ino to rozumiem — zawołał Wszebór — że wy z waszą garścią kraju nie zbawicie, a to, co moglibyście pocziwego zrobić, ratując ludzi, nie dokonacie.

— Jeśli garść ta tylko początkiem? — rzekł Dryja — jeśli do niej co dzień się garnie więcej i ona jutro w zastęp urośnie? a jeśli tu z tej małej garści wyjdą ci, co nam zbawienie przyniosą?

— Gdzie? zkąd? — spytał Doliwa.

Dryja widocznie chciał, aby się dawny druh jego sam domyślił, ale Wszebór tak bardzo domyslnym nie był, a zajmowało go najwięcej to, co najbliższej stało.

— Chodź do mnie do namiotu? — dodał Samko, biorąc go za rękę, — nim konia ci pokarmią, zjesz i ty czem się podzielić mogę i po staremu pogadamy.

Choć srodze rozżalony, Doliwa dał się pociągnąć do małego namiotu, w którym Samko ze trzema innymi się mieścił. Znać było terażniejsze czasy i w tem schronieniu rycerskiego człeka, co teraz wszystkie swoje mienie musiał wlec ze sobą. Nie zostało i Dryi więcej nie nad to, co pośpiesznie uchodząc przed kupami czeskiemi, mógł unieść, a było tam i czego rycerski człek potrzebował i co mu porzucić na łup żał było, a co się ciężarem stawało.

Obok siodła i na koń rynsztunku, zbroi i broni, tarczy malowanej, oręza lepszego, z wozu wyglądały naczynia pozłociste, na kupie leżały kożuchy, odzież, stała beczułka starego miodu i napoczęta faska solonego mięsa łosiego. Pachole się krzątało około miska, bo czas było się czem posilić. Siedli więc, jeden na kupie odzieży, drugi na beczulce, a drabina z wozu wzięta, pokryta czemś, za stół służyć musiała.

Wszebór patrzył smutnie, bo mu przed oczyma stali wszyscy co na Olszowem Horodyszczu na śmierć czekali, a najbardziej owa biała twarzyczka dziewczęcia. I wzdrygnął się na tę myśl, że ten kwiatek pochwycić może lada napastnik, a krew się w nim burzyła, tak, iż myślał raczej sam paść w obronie, a ją zabić naostatku, lepiej niżby się na niegodne ręce dostać miała.

Gdy tak się gryzł, Dryja obejrzawszy się dookoła, mówić począł:

— Bądź dobrej myśli—rzekł cicho—stary Trepka inaczej mówić nie może, aliści co godzina się wybawienia spodziewać trzeba.

— Jakiegoż? jakiegoż? — podchwycił zżymając się Wszebór.

— Niepotrzebnie ci z tego tajemnicę czynią — ciągnął samko spokojnie.—Co dnia się spodziewamy królewicza, a jużesmy o nim i wieść mieli.

Wszebór zdziwione oczy wlepił w Dryję, który mówił pochyliwszy się doń:

— Jeszcze się u nas tyle rycerstwa znalazło, że było kogo posłać do jejmości królowej wdowy, z błaganiem ażeby syna nam dała...

— Nie przeczę ja—odezwał się Doliwa—że królewicza osoba i odgłos jego imienia wiele waży. Cóż potem? raz go Masław wysłał, potrafi go się pozbyć postrachem powtóre, albo go zgubi. Mamyż my siłę, ażeby stanąć przeciw niemu?

— Znajdziemy—mówił Dryja, któremu oczy się świeciły nadzieją jakąś.—Cesarz niemiecki da mu pomoc, a kto wie czy i z drugiej strony nie nadciągnie co jeszcze...

Uśmiechnął się.

— Obiecuje się królewicz?—zapytał Wszebór—z kąd o tem wiecie?

— Widzisz, mała nas kupka jest, a coś się tu warzy i praży—odparł Dryja pochyliwszy się ku nie-

mu. — Do królowej pojechali posłowie, część ich tu wczoraj wróciła.

— Cóż? przynieśli co?

— Nie dotąd—mówił Samko.—Byli u królowej nadaremnie. Ryksa, którą sromotnie wygnano, ani chce słyszeć więcej o królestwie, które pogańskiem zowie. Znaleźli ją w klasztorze, potem przy kościele, który budować każe... Ledwie mówić do nich chciała: „Na inne ja królestwo a lepsze pracuję—rzekła—te które mi Chrystus Pan miłosierny dać przyobiecał. Nie kuście mnie, ani wodźcie na pokuszenie dziecię moje. Niech w spokoju Boga lepiej chwali, niżeliby na nieszczesny żywot z nami miał być skazany.“

— Toć jasno!—zawołał Wszebór—że się tam niczego spodziewać nie mamy.

— Żle sądzisz, bo nie wszystko wiesz — rzekł Dryja.—Rozumni są posłowie nasi, bo niżeli po królewicza poszli, u cesarza wyrobili przyrzeczenie, iż pomoc mu swą i łaskę oświadczy, koronę odda, a przeciw Czechowi miecza dobędzie. Wkrótce by też Brzetysław cesarstwu stał się straszny, gdyby mu cugle puszczone. Ukróci mu ich papież rzymski i cesarz... Znaie wy, znam ja i znają Kaźmierza ci co poszli po niego. Pan jest pobożny, ale w mniszej sukni on nie wytrwa, gdy mu miecz pokażą a panowanie. Krew w nim Bolkowa płynie. Ani go macierz nie wstrzyma, ni strach, ni gnuśność, bo pan wielkiego serca jest, a gdyby nie matka, nie powołanie jej, nie ustąpiłby Masławowi kroku.

— Wszystko to, Samku mój—westchnął Wszebór—dalekie nadzieje a bajeczne. Ja wracam od Masława tego i widziałem co się dzieje u niego, a jako rozwielał pastuszy syn i urósł. Choćby cesarz garść ludzi dał, choćbyśmy wszyscy ku niemu się zbiegli, nie starczy cesarskich i nas na te kupy, na czerń, na tysiące.

— Na tem nie dosyć — przerwał Samko.—Ruś nam w pomoc przyjdzie... Pomyśleli nasi starzy

o wszystkim, ślali też posły do Kijowa do Jarosława, którzy dwa dni temu wrócili... Przyjdą nam Polanie od Kijowa w pomoc, z Pieczyngami.

— Tak jako Czechy? — rozśmiał się Wszebor pośepnie.

— Zaprawdę nie — zawołał Dryja. — Tobie w oczach czarnem wszystko.

— Wam wszystko jasnem. Kury piałły pierwsze, zda ci się, że dzień przyjdzie, a to łuna od pożaru! — mówił Doliwa ręką rzucając.

Dryja wychylił kubek, potraćiwszy o stojący na stole owym drabinowym, przeznaczony dla Wszebora.

— Wypij, a bądź i ty lepszej myśli.

— Gdybyś ty z Płocka powracał — rzekł Doliwa — w uszach miał wrzawę tej zgrai, a widział to mrowie co się tam złało, a posłyszał jako Masław nosi się z mocą swą, pruską i pomorców, odeszłaby i tobie otucha!

— Ma ci on Prusaków z Pomorcami, my cesarskich mieć będziemy i Jarosławowych, co też może waży — odparł Samko. — Ma on butę, a nasz pan koronę mieć będzie namaszczonej i pobłogosławionej i Pana Boga za sobą!

Mówiąc to wstał Dryja i smutnego Doliwę ścisnąć pocałował.

— Bracie — rzekł — gdybym tę siłę miał żebym cię powstrzymać mógł, do nóg bym ci się pochylił... zostań z nami!

— Ani mów — odparł niecierpliwie Wszebor — bratam zostawił tam, wysłali mnie zawierzywszy, wrócić muszę choćbym gardło dał.

Spojrzał mu w oczy Samko przenikliwie, a Wszebor spotkawszy wzrok ten, mimowolnie się zarumienił.

— Wszeborze, bracie, kogoś ty tam, okrom Mszczuja zostawił mów?

Trochę gniewny, zawstydzony nieco odwrócił twarz Doliwa.

— A ja powiadam, jakom żyw, że więcej tam

musiałeś zostawić niż brata, i zgadnę kogo — mówił Dryja. — Po drodzeście ratowali Spytkowę, baba niczego i dziewczka jej bardzo śliczna. Albo ci jedna czarnemi lub druga niebieskiemi oczyma zawróciła oczy! Mów a nie kłam...

Wszebor się odwrócił ku niemu.

— Jakże ci to do głowy przyszło?

— Bo obie niewiasty znam, albo raczej widywałem je u ojca — mówił Dryja. — Spytkowa do mężczyzn zalecać się rada, choć dla zabawy, a Kasia gdyby nie chciała to za sobą ciągnie, bo utrapienie piękną jest.

— Al! piękną, piękną! — krzyknął zapominając się Wszebor, i wnet się po ustach uderzył.

Śmiać się począł, ściskając go Dryja...

— Wiedziałem ja co cię tam ciągnie! — zawołał. — Że ja znam obie, radę ci dobrą dam. Marta Spytkowa choć zęby szczerzy, nie to tam z tego, sądziła się może wdową, dowie się że jej stary żyje, a z tym żartów stroić nie można. Twardy człek z ran się wyliże, choć inny z nich miałby na cztery śmiercie... O Kasię też, choć krew wasza ich krwi warta, sięgnąć nie łatwo. Spytkę starego trzeba znać!

— Przecie nie kto, tylko ja jemu żonę i dziecko ratowałem! — zawołał Wszebor.

— To ci rychlej zapłaci, gdy będzie miał czem a córki nie da.

Oburzył się Doliwa i najeżył, wziął się w bok, plunął od siebie.

— Słuchaj Dryja, a cóż to my za jedni? a cóż to oni za tacy?

— Taki dobry Doliwa jak Śreniawa, a no staremu we łbie świeci, co poradysz na to — ciągnął Dryja. — Zasuszy ją prędzej w komorze, a będzie sobie knezia szukał dla córki, bo oni sami do krwi kneziowskiej się liczą.

Ruszył ramionami Wszebor.

— Jeszcze do tego daleko — rzekł — bodajemy z życiem a cało ztamtąd wyszli. Jak nas Bóg wyrwie

z tego osaczenia, ty mnie znasz Dryja, niby ja się starego będę pytał a do nóg mu się kłaniał? Dziewkę wezmę, to mi jej nie odbierze.

— Tak ci ona już do serca przystała? — zapytał Samko...

Wszebor zapatrzywszy się przez otwarty namiot na bory, sumował się spiesząc z odpowiedzią, i namyśliwszy się, zamiast niej, dłoń wyciągnął do Samka.

— Nie ma tu co u was popasać! — rzekł — mnie na Olszowe Horodyszcze pilno... Jadę.

— Chodźcież się wprzód starym pokłonić, bo tak i należy i przystało — odezwał się Samko, ciągnąc go do drugiego namiotu. — O tem, com wam o Kaźmirzu mówił, nie wspominajcie.

Poszli tedy oba, gdzie siedział stary Trepka. Starszyzny reszta przed namiotem gwarząc stała, rozstąpili się im milcząc. Wewnątrz Trepka drzemał pochylony, a w kącie Spytek otwartem okiem krwawem zdawał się na spotkanie Wszebora oczekiwać.

Zbudził się zaraz pierwszy, kłaniającemu się tylko skinieniem głowy i ręką odpowiadając.

Wszebor przystąpił do Spytki.

— Jadę na Olszowe Horodyszcze — odezwał się — gdzie miłościwa pani wasza z córką znalazła schronienie, bom jej tam towarzyszył, gdyśmy ją w lesie samą znaleźli... Mam co rzec od was, miłościwy panie?

Gdy mówił, pilno mu się Spytek czerwonym przypatrywał okiem.

— Doliwa? — spytał.

— Tak jest.

— Ojciec wasz pulki wodził na Ruś! — odezwał się stary chrapliwym głosem.

— Tak ci było i z łupem wracał — dodał Wszebor.

— Bóg da wywdzięczę za posługę — odezwał się leżący. — Pozdrówcie matkę i Kaśkę moją.

Popatrzył chmurno.

— A niech mi się tam nikt do moich nie zaleca — dodał. — Wara!

— Byleśmy z żywotem uszli ztamtąd, nie na zalecanki to czas! — rzekł Doliwa.

— Na to nigdy nie czas! — mruknął stary. — Pozdrówcie odemnie... pozdrówcie.

Poczuł Wszebor, że owo wspomnienie zalecanek Sobkowi mógł być winien, zburzył się nieco, a strzymał i nie rzekł nic. Tu go już kijem trącając stary Trepka przyzywał ku sobie.

— Belinie rzeczcie od nas, niech jako może się trzyma, do ostatniej maki pruszynki, do ostatniej pięści w której będzie siła! Przyjdziemy mu w pomoc, na odsiecz, jak skoro się poczujemy mocni, Niech się nie trwożą a nie poddają. Trzymajcie się, Bóg miłosierny.

To były słowa ostatnie Treпки, który ledwie ich domówiwszy, głowę pochylił i znowu drzemać począł...

Dryja stał u wnijscia do namiotu, dalej starszyzna, a na uboczu Sobek z parą koni w ręku. Wszeborowi już pilno było, żegnał więc prędko, aby na koń siąść i biedz dalej. Całe prawie rycerstwo wyszło nań patrzeć jak odjeżdżał, bo mu niektórzy zazdrościli może, iż na miejscu spoczywać a czekać nie musiał jak oni, co się do ruchu nawykłym przykrzyło.

Choć Doliwie jasno wytłumaczono, dla czego się garść ta w pomoc do oblężonego gródka ruszyć nie mogła, choć zrozumiał może, iż tak być musiało,jechał gniewny, z bólem w sercu, z żalem w duszy, że musiał miasto pociechy nieść groźbę tylko. Sobek zwykle małowówny, teraz milczał uparcie, głowy nawet nie odwracając i drogę tylko wskazując przodem. Wszebor też, że nań posądzenie mając, odzywać się doń nie chciał. Ledwie w nocy, gdy stanęli dla koni i wypoczynku, spytał go, kiedy do Olszowego Horodyszcza dojadą i gdzie go ma porzucić Bartnik.

— Ja bo was nie porzucę, miłościwy panie — odparł stary.

— Namysłiliście się?

— Nie, przekazanie dostałem od władzy; pan mój, wola jego, słuchać trzeba. Jutro pod wieczór, Bóg da, pod Horodyszcze się dostaniemy, byle jeszcze w porę!

— Jużci tam Masław się nie wybierze tak rychło — rzekł Wszebor.

— Pewnie, ale go czern poprzędzy, bo osaczyć mieli niebawem, aby gródek z lasu żywności sobie łowami nie ciągnął. Nuż między gródkiem a nami staną gromady?

— Jedźmy na noc całą! — zawołał Wszebor — niech konie popadają, bylebyśmy się nie opóźnili.

Sobek ręką ukazał przed siebie... Dosyć tego było, aby o niemożności podróży nocnej przekonać.

Jesienna ciemność chmurnego nieba o krok nie nie dozwalała rozeznąć. Na szarem tle wyschłe drzew obnażonych gałęzie sterczały dziwnie poplątane, rosnące niby z mroku i ginące we mrokach. Oprócz tej siatki nad głowami i gąszczy przed sobą, którą rękami trzeba było rozpoznawać, nie widać było tylko noc jedną, czarną, nie zgłębioną, jak nicość i śmierć straszną. Najmężniejsze serce wśród tego zamętu musiało uczuć boleść jaką sprawia zgon, gdy oczy widzieć, uszy słyszeć przestają. Po nad puszcza tą ciższa śmierci leżała, tak straszna jak ciemność, pokrewna im siostrzyca... Chwilami nawet wycie dzikiego zwierza byłoby się wydało miłym, zwiastowałoby życie, niebezpieczeństwo, walkę... W tej głuchej ciszy i mrokach ginęła nawet nadzieja dnia i życia nadzieja. Zdało się, jakby ciemności tych umarłych na wieki nie nie mogło rozjaśnić, ani tej ciszy przeniknąć.

Sobek przyłożył ucho do wilgotnej ziemi, aby wiedzieć, czy zapalenie ognia nie groziło zdradą. Nie słysząc było nie, nawet szelestu gałęzi, bo najmniej-

szy wietrzyk ich nie poruszał. Noc zamknęła wichry w swym łonie i nie dawała im bujać po świetle. Bartnik dobył z wolna dwóch suchych drzewa kawałków, które zawsze z sobą nosił i począł trzeć je, aby ogień nanieść.

VI.

Na Olszowem Horodyszczu wlokło się życie pod ciągłym postrachem, nieustanną groźbą, żółwym krokiem, ślimaczym chodem, złożone z dni bez końca i nocy bezsennych. Zdawało się wszystkim, że teraz świat inaczej się obracał, a dnie i noce były dwoiste, nieprzeżyte i nieprzespane.

Lasy dokoła szumiały jednostajnie jak do snu kołysząc, wiatry świstały jakby szydząc z niedoli i śmiejąc się z jęków. Ludzie leżąc mruczeli, przeklinali, srożąc się na tego, co im dawał przytułek, narzekając na głód, odgrazając się pięściami. Z litości srogim być musiał stary Belina, przez miłosierdzie okrutnym. Lud w pierwszym podwórcu tylko grozą utrzymywać się dawał. Po nocy szeptali i zmawiali się ludzie. Na straży zapasów i spiżarni nieustannie czuwać musiano. Gdy się ludzie pospali, ginęły owce, znikały konie, bydło popadało, a nazajutrz śladu nie zostawało po nich i w przestraszonych wejrzeniach tylko można się było winowajców domysleć.

Od wyjazdu Wszebora codziennie prawie chodził ktoś na pomostach za ostrokołami i powrotu wyglądał. A w dolinie pusto było straszliwie. Czasem z lasu wychylił się wilk, zawył i uchodził, wymknęła się sarna, popatrzyła i spłoszona własnym trachtem, biegła co tchu w gąszcza się schronić; niekiedy jakby

cień człowieka wysunął się z borów, podszedł ku gródkowi, pomierzył go oczyma, zdając urągać zamkniętym i, gdy na okopy wysypała się gromada, pięść jej pokazawszy, zniknął.

Dzień od dnia mało się różnił, liczono je po smutkach i klęskach, mówiono: Stało się to tego dnia, gdy zmarło dziecko, gdy się z rozpacz obwiesił kto na belce. A było co przypominać, bo niemal co dnia rano, gdy dozorca obchodzili podwórce, znajdowali coś w nim niedobrego; matkę płaczącą nad ciałem niemowlęcia, rodzinę skupioną przy zwłokach starca zmarłego w nocy, ślady jakiegoś gwałtu lub spełnione przez niewiomego sprawcę zabójstwo. W tej liczbie zrozpaczonej, gdy ją pokryły ciemności, budziły się najdziksze chucie i szły nią owładały. Ludzie nawykli do czynnego życia, nie mogąc przespać bezczynności, rzucali się bydlęcą dogadzając fantazji rozpasanej. We dnie z bladych tych twarzy czytać tylko było można zniechęcenie i znużenie, nocą owładawało nimi pół rozmarzone szaleństwo.

Niekiedy korzystając z ciemności znękany człowiek zrywał się z barłogu, wdzierał na jaki pomost z ostrokołu i na postronku spuszczał na dół z wałów, uciekając w las i woląc umierać tam z głodu niż tu ginąć z odrętwienia...

Kilku już ludzi tak uciekło, powiększono więc pilność i straż, gdyż obawiać się było można, aby pochwytani nie naprowadzili czerni i nie wskazali jej którejdy najłatwiej na gródek dostać się było.

Z dwóch stron opasywała go wodami swemi i trzęsawiskiem, przez które płynęła Olszanka; ztąd, dopóki mróz błot i wody nie ściał, przystęp był utrudniony. Z trzeciej i czwartej tylko wały broniły Horodyszcza, na które łatwo wdrzeć się było. Stojący na pomostach wysokich nad ostrokołami lud, ciskał belki, kamienie, lał zapaloną smołę na napastników, ale i tych zapasów ilość się zmniejszyła. Po odejściu czerni nazad, często ich ściągnięto do gródka; jednak

przewidzieć było można, że ich na dłuższe obleżenie zabraknie i budowlę przyjdzie rozbierać. Olszowe Horodyszcze przed dawnymi czasy opasane wałem, wewnątrz miało obszerne szopy i odryny, kleci i stajnie, które pierwsze podwórze od drugiego dzieliły. Na drugim w czworoscian obudowaniu znajdował się dworzec pański, komory i składy zapasów, część stajen, które teraz wspólnie ludziom i zwierzętom za schronienie służyły. Wielka izba, w której teraz pokotem leżeli dawni władcy, żupanowie i ziemianie, znajdowała się w zabudowaniu, dzielącym dwa podwórza. Drugie całe dokoła obejść było można idąc pod krytem podsieniem, które słupy drewniane podpierały.

Około tej wielkiej izby życie się teraz skupiało. Pospolity lud w pierwszym podwórzu pod gołem niebem i daszkami się tulił, co było przedniejszego zbierało się na dzień w podsieniach na ławach, lub w wielkiej komorze u komina. Tu ścisk był zaw sze i gwar niepomierne, bo się teraz spierano o to, co przeszło, rozpatrując, jakby się tego wszystkiego zła uniknąć było mogło, które nastało. A że do roboty nikt nie miał, tylko mówić lub słuchać, cały dzień boży schodził na sprzeczkach, które czasem aż do zwady dochodziły. Dopiero, gdy już powstawszy, brali się zwaśnieni do pięści lub pałek, starszyna ich rozwodziła, gromiąc i nakazując milczenie.

Beliny żona, której imię Hanna było, córka jej Zdana, rej wodziły między niewiastami, które wszystkie, krom służebnych, mieściły się w izbie wielkiej na wyżkach, mającej dwie ciemne komory przy sobie.

Atu i ład utrzymać nie było łatwo, bo się i o wrzeciono, i o kądziel, i o wyraz w piosence, i o spojrzenie czasem wadziły starsze niewiasty, a młodsze zajaśniały potajemnie. Musiała jej miłość pani Hanna, jak mąż na dole powagi swej używać dla uczynienia pokoju, czasem nawet starego Belinę wzy-

wając w pomoc, na widok którego wszystko w karby wchodziło.

Największy ciężar na barkach starego gospodarza spoczywał, a był to człek, jakieśmy go widzieli przy pierwszym wystąpieniu, nie skory do słowa, w potrzebie surowy, a w sercu dobry. Dobroć ta jednak nie przechodziła w miękkość, gdyż wiedział, że gdyby go ludzie miękkim uczuli, nieładby się wkraść łatwo, a z nim przyjść musiała zguba na wszystkich. On tu był panem życia i śmierci, a choć się radził ludzi i nasłuchiwał ich mowy, nie dawał się powodować nikomu.

Chrześcijanin gorliwy i pobożny, stary Belina, co lepsze czasy pamiętał, przybity był terażniejszemu kraju nieszczęściami, tak, że gdyby nie wiara w Opatrzność i ojca Gedeona duchowna pociecha, zwątpiłby już o wybawieniu. Z małą nadzieją, ażeby się uratować udało, pełnił swój obowiązek, nocy nie dosypiając, czuwając nieustannie, prawie nie zmruszając oka. Wstawał jak świt, na pierwszy znak gotów, bo się nigdy nie rozdziewał, a sen jeśli go zmorzył, to na wpół siedzącego; obchodził gródek, opatrywał wszystkie kąty, rozsądzał sprawy, pilnował rozdawania żywności, rzadko przysiąść mógł we dnie. Nocą też najmniejszy szelest go budził, a jeśli się w pierwszym podwórcu wrzawa słyszeć dała, wnet chłopak zapalał luczywo i z niem Belina szedł patrzeć co się działo. Nie obeszło się nigdy prawie, żeby kogo niespokojnego, buntującego się, do jamy i kłody wrzucić nie było trzeba. Mnożyło to niebezpiecznych i niechętnych, ale bez tych się nigdy nie obchodzi.

Belina wymagał tak samo posłuszeństwa od rycerstwa i ziemian, jak od ludu pospolitego, i przeciwieć się sobie nie dawał; gospodarzem był, panem i wodzem.

Jak przy Hannie córka Zdana, tak przy ojcu syn Tomko stał na pierwszych posługach, rozkazy nosił, porządek lubił i na równi z nim czuwać musiał.

Młodemu chłopcu służba ta przypadała do smaku, gdyż z nią na wyżki do matki i do niewieścich izb często zaglądał...

Tu stara jejmość w białej namitce na głowie, w fartuchu, musiała się też cały dzień krzątać pilnując czeladzi co jedzenie przysposabiała, chorych, dzieci i domowego zwierza, którego jeszcze trochę zostało.

W wielkiej izbie na wyżkach, jak na dole w dawnej jadalni, skupiało się co żyło, aby razem się zebrawszy, otuchy sobie dodawać. Jak dzień ogień zapalono, warzono co było jeszcze, a wnet kądzieli postawiane na ławach, i wrzecziono każda chwylała, aby czem zająć ręce i myśli.

Z wrzeczionem w rękę, gdy się nic ciągnąć począła, skręcać, nawijać, jakoś i myśli szło raźniej i sercu było spokojniej. Zdawało się nie jednej, że siedziała tam jeszcze u domowego ogniska, w ciszy własnego dworu, za lepszego czasu. Hanna Belinowa na nic się tak nie uskarżała nieboga, jak że ją ciągle od kądzieli odrywano i nie dawano się nacieszyć wrzeczionem. Ze strachem teraz wchodziły niewiasty, do komory, w której były złożone złotego lnu pasemka, aby ich nie zabrakło. Cóżby one naówczas poczęły.

U kądzieli, gdy się mowy przebrało o tem kto zmarł tej nocy, kto się pobił, kogo do jamy wsadzono za karę, kto zachorzał i wyzdrowiał, najprędzej się brała cicha piosenka stara, odwieczna, tęskna, czasem na pół pogańska, że się ją śpiewać obawiano, chyba gdy O. Gedeon był daleko. Ksiądz bowiem zakazywał pieśni, wiedząc, że w nich stara wiara się chowała, i na jej skrzydłach niewinnych nazad do sere nawróconych wlatywała.

Nucono półgłosem po cichu, ale pieśń rzecz żaźliwa, więc gdy jedne poczęły ją usta, we wszystkich się piersiach odbiła, i wiele nie wytrzymało, aby jej nie zawtórować, choć dla siebie.

Na tę izbę spojrzeć, choć przez drzwi szczelinę, serce się młodzieży radowało... Ogień się palił pośrodku, przy którym to strawa, to napój, to lek jaki i ziele się gotowało prawie zawsze. Dokoła na ławach, na ziemi podesłanej kożuchami wieńcem siedziały niewiasty; pierwsze z kądzielami w ręku, drugie szyjąc albo dziećmi się zabawiając, a były między nimi i piękne a młode i średniego wieku i podstarzałe i zgrzybiałe, jedne z kosami długimi, drugie w białych namitkach i chustach, inne ręcznikami pozawijane jak się udało... Młodsze byłyby cały dzień prześpiewały jak ptaszęta, bo pieśń była ich mową, starszym się chciało mówić o dawnych czasach.

A że słuchać było potrzeba, więc gdy znużone drzemać poczyniły, i cisza w izbie nastała, dopiero się która śmielsza zebrała na piosnkę. Zrazu szmerem wylatywały słówka, ledwie dosłyszane, potem coraz głośniejsze, śmielej, żywiej, weselej, a gdy im zaawtorowano, czasem się zapomniwały i starsze... a podśpiewały... I tak ledwie jedna się skończyła piosenka, druga podobna poczyniała.

Z pieśni tych może tylko rosła tęsknota, a z gaudania bab często przyszło do tego, że sobie i wrzecionami groziły i kądziele z pod siebie wyrwawszy, do wojny się z nimi wybierały. Działo się to jednak tylko gdy starej Hanny nie było, bo ta wnet pokój czyniła, często oburącz za barki wzięwszy najzapaleńszą i gwałtem ją sadząc na ławie. Było tam wszystkiego bo i na śmiechu nie zbywało, choć czas był nie do wesela, ale w długiej trwodze wytrwać na równi trudno.

Tutaj swoje miejsce na ławie poczesne znalazła i Spytkowa, sadząc córkę przy sobie. Do kądzieli wielkiej ochoty nie miała ruszając, utrzymując, że od młodu jedwabiem szyła chusty i więcej się niczem nie zajmowała... Kasia za to przędła za dwoje. Marcie rzadko się usta zamykały, córka prawie mówić nie śmiała, ale oczy niebieskie biegały tem żywiej i wi-

działy wszystko, to nawet, czego się drugie nie domyslały.

Już wszystkie przygody Spytkowej znały jej towarzyszeki, przecież powtarzaniem końca nie było. Ciekawa niewiasta, gdy jej tu nie dawano ucha, wychodziła czasem na pomost, który z wyżek ku podwórcowi był otwarty, tu sparszy się przy słupie, gdy było kogo na dole stojącego do rozmowy i śmiechu wciągnąć, chętnie to czyniła. A że czarne oczy pani Marty pięknie jeszcze świeciły, znalazł się ktoś zawsze, co w nie się zapatrzył i w szczebiotaniu zaśluchał.

Za to Kasi wynieść nie było nigdzie wolno, a sama też ona, trwożliwa bardzo, ochoty ku temu nie miała. Obawiała się szczególniej Mszczuja Doliwy, który nic do czynienia nie mając, a w sercu nosząc obrazek dziewczęcia, czatował na nią ciągle. Jeśli ją przypadkiem matka gdzie posłała, pewną była, że zawsze Mszczuj się jej z pokłonem i uśmiechem nastęrczy. Rumieniło się dziewczę, odwróciło oczy, nie odpowiadało na jedno ni na drugie i uciekało co prędzej.

Od Doliwy tak ująć było łatwo, od Tomka Beliny prawie niepodobna. Któż wie zresztą, czy Kasia i od tegoby uciekać chciała? Innemi jakoś oczyma patrzała nań ukradkiem, a raz czy dwa, choć jej spojrział w same oczy, nie rychło spuściła powieki.

Synowi gospodarza raz wraz też wypadła jakaś potrzeba do pani matki od ojca, lub też do siostry od siebie. On jeden z mężczyzn miał wstęp swobodny na te wyżki zakłète, na które innym dostać się nie było wolno. Korzystał też z tego teraz częściej niż kiedy.

Zdana, siostra czy tajemnicę braterską odgadła, czy ją powierzoną miała, dopomagała mu serdecznie. Ledwie się Tomek pokazał na progu, wnet Zdana, której szukał, stawiała przy Kasi, tak że idąc do siostry, do Spytkówny pójść musiał. I tak obok wi-

zała się rozmowa jej z bratem, a choć dziewczę nie uczone było, jakimś instynktem wiedziało co mówić i jak by się słówkami Tomka, i Kasia podzielić mogła.

Pierwszych dni, gdy się to poczynano, Kasia tylko zapłoneła, oczy spuściła na kądziolkę i przedła a rączka się jej trzęsły. Potem strach ten pierwszy przechodzić począł, ośmieliły się żrenice spojrzeć ukradkiem, usta na pół uśmiechnąć. Naprzód spoglądała na macierz czy nie podpatruje, a gdy ta czem innem była zajęta, zerknęła na Tomka. Jemu to mowę przerywało jak uciał, nie prędko wracał do słowa.

Zdana była nad wiek rozumna, choć mało co od Kasi starsza, a była też piękna i rozkwitła pod macierzyńskim oddechem na podziw świeżo i wesoło... Od Kasi była słusniejszą smukłą jak brzoźka, a ruchy miała sarenki młodej, a uśmiech kukulki na wiosnę, a trzpiotowatość wróbelka... W ciemnych jej oczach siedział uśmieszek figlarny, nawet gdy się różowe usta gniewać chciały. Było to matki kochanie, ojca pieczęta, domowników cacko lube, a teraz wszystkich gości pociecha.

Starej Belinowej, choć się krzątała, prędko ruszać się ciężko było, Zdani za to nie kosztowały skoki i bieganie, i wieczna krętanina, a na miejscu gdy siedziała z kądzielą, przęślnica z nią skakała, wrzecziono warczało, len się uśmiechał i trząsł brodą.

Takie to było jeszcze młode, że samo pewnie nie próbowało nie doświadczyć niczego, ale od czegoś piosenka, która przynosi tęsknotę, serce rozkołysać umie i w szerokie pola myśl goni. Zdanie serce aż biło z radości gdy myślała że bratu do kochania pomoże, a sama się też żywemu przypatrzy kochaniu. Pomagała szczerze... Wkrótce z Kasią jak siostry były, a jeśli szły razem to nie inaczej tylko rękami się opasawszy, główka przy główce, usta przy ustach... Często w wielkiej izbie wyszeptać się nie mogąc, aby

ich nie podsłuchano, wysuwały się razem do ciemnej komory, a jak tam stały w kątku i mówić poczęły, śmiać i ścisnąć, końca temu nie było.

Dopiero się obejrzała Spytkowa, że córki nie było, a była o nią w ciągłym strachu, nuż wołać, gdzie się Kasia podziała... Kasia czerwona bieży z komory do matki, a Zdania z nią, żeby matce łajać jej nie dać. I oto już obie siedzą, kądziolki pobrały, oczy pospuszczały jak trusie, tylko co jedna spojrzy na drugą, to się im usta do śmiechu biorą i Zdania je ręką zatula, a Kasia końcem fartuszka.

Choć i tu się dnie dłużyły nieraz, starsze pospały, młodsze popłakały—na górze jeszcze znośnie było... Z dołu jak ku niebu ku tym wyżkom patrzano, radby się każdy był wkraść, ale zakaz był srogi, aby żaden z mężczyzn się nie ważył na górę. Starego Beliny słuchać musiano, bo z nim żartu nie było, a i syna władzyki nie poszanował. Zdala tylko z podwórza młodzieź chodząc czatowała, nuż się która wymknie pod wodę, nuż wyjrzy, nuż po moście przebieży—aby choć spojrzeć, choć spojrzenie otrzymać...

Mszczujowi się nie wiodło. Wychodziła doń Spytkowa, bo tej trzeba było kogoś, coby jej świeżemi słuchał uszami. Kasi się doczekać nie mógł. Zobaczył ją czasem na mszy, ale tak zasłoniętą białym ręcznikiem, że i poznać jej było trudno. Nigdy nie spojrziała nań nawet. Gryzł się Doliwa, a naturę mając braterską, mówił sobie, jak to w owe czasy wszyscy: — gwałtem porwę dziewczynę, a moja być musi...

Gdzie i jak miał ją porwać, gdy tu dla niego samego i dla wszystkich niebezpieczeństwo wisiało nad głową? — młodzieź się nie pyta.

Dojrzał tylko Mszczuj na zgryzotę swą większą, że tam na wyżki Tomko chodził często, siadywał długo i powziął ku niemu nienawiść okrutną. Zazdrość go paliła... Raz nawet nie strzymał, i gdy Spytkowa na dół zeszła dla rozmowy, bo dnia tego

była bardzo na Mszczuja łaskawą — szepnął jej do ucha:

— Niechno miłość wasza, dobrze córki strzeże! Dla nas góra zamknięta, a Tomkowi cały dzień otwarta do wieczora. I co pójdzie to siedzi... Rozśmiała się pani Marta.

— Jako żywo, rzekła — Tomko do matki i siostry przychodzi, aniby mi śmiał przystąpić do Kasi, bo, choć syn gospodarza — dałabym mu, dała! ażby popamiętał. Toż dziecko, ani jej co w głowie, ani jeszcze...

A tak tego pewną być musiała Spytkowa, że się ani obejrzała dnia tego, gdy Tomko przybył do Zdany; Zdana się przysunęła do Kasi i rozmowa wszczęła między siostrą a bratem, w której Tomko umiał powiedzieć tej, co go niby nie słuchała — że ją kochał nad życie i dałby żywot za nią. Kasia tego nie brała widać do siebie, bo spojrzała nań oczyma jasnymi, pottrzymała je nad nim długo, potem furknęło wrzeczono, zakręciła się nie, wrzeczono na ziemię upadło, Tomko schylił się po nie, gdy je podawał ręce się może ścisnęły, a pani matka nie a nie nie widziała...

Nieraz tak Mszczuj w rozpaczę dzień cały na czatach spędziwszy w podwórzu, szedł do wielkiej izby, kędy siedziała starszyzna i w kąt się zaszywszy, w rękach twarz skrył, a nie nie słysząc, o swoim tylko utrapieniu przemysliwał.

Do tej izby czasem zaszedł i stary Belina, na ławie przysiadł i do rozmowy się wniósł — krótkim słowem. Siedział tu całe dnie, nie wychodząc prawie Lasota, któremu się powoli przygajały rany, leżał, mało co się ruszając, młody Toporeczyk, było i innych wielu.

Tęsknili tak razem za łowami, domami, za swobodą, a choćby za wojną, byle ich z tych oków i więzów wydobyła, bo tu się wszyscy niewolnikami czuli... Nikt nie wiedział, jak długo ma się pociągnąć ta niewola i na czym skończyć się może, to wszyscy czuli,

że gdy przyjdzie ostatnia godzina, posiekać się dadzą i wszyscy padną raczej niż czerni, lub Masławowi w niewolę oddadzą.

Masław był ich najczęstszym rozmówcą przedmiotem. Mało kto z nich nie znał, nie widział, starsi pamiętali, gdy go targali za uszy, młodszy, że go z przedsieni wypychali i nieraz potłukli... Nikt naówczas w chłopaku co się każdemu podlizać umiał i nazajutrz po guzie, rękę co go nabiła całował, nie domyślał się zuchwalca, który kraj miał zawiechrzyć i pana wygonić! Rosło to złe ziele jak pokrzywa pod płotem, która gdy się z ziemi wytyka ani jej widać, nie wiadomo kiedy do góry się bierze, aż i płot sam zakrywa.

Wzdychali starsi, że naówczas przecucia nie mieli, aby go kto był w kącie przydusił i precz cisnął zawczasu. Słowaby mu wówczas nie rzekł nikt, bo Masław za sobą nikogo nie miał. Potem dopiero, gdy Mieszko zasłabł, zmysły się mu pomieszały, szaleć począł, a rozumu zabrakło, chytry dworak wziął górę nad panem... I stało się co się stać miało, jeden syn pastuszy, dwu wielkich królów dzieło obalił, dając je czerni tratować nogami.

Do tej izby czasu wolnego schodził i ojciec Gedeon na rozmowę.

Naówczas około świątobliwego starca kręgiem się skupiali wszyscy, bo z sobą pociechę i słowo przynosił, które serce ostygłe zagrzewało... Powiadał im staruszek, jak niejedno królestwo, nie jeden raz zawiechrzonym było i zdało się upadłem a zginionem, aż ci skinał Bóg, natchnął męża lub pacholę słabe i wybawił je cudem, tak jak cudem runęło...

Naówczas rozjaśniały się powoli lica, i wracała otucha, mówiono sobie, nie może być, ażeby nas Bóg miał opuścić. Ukarze tych co wywrócili kościoły i obalili krzyże, — pocieszy niewinnych.

— Z ojcem Gedeonem zawsze wchodziła nadzieja, nawet gdy najsmutniejsze przecucia, sny i wie-

ści groziły. — Po odjeździe Wszebora — nie wiadano na Horodyszczu nic co się na świecie działo. Głuche milczenie je otaczało. Tylko z pomostów patrząc coraz częściej się trafiało widzieć ludzi jakichś wychodzących z lasu, którzy się gródkowi przypatrywali. Zjawili się oni to z jednej strony, to z drugiej w różnych dnia porach, a raz na koniach kilku podjechało tak blisko, że z za ostrokołów do nich strzały puszczano, a jedna w czapce utkwiała temu co najbliższej stał. Ruszył krzycząc i klnąc i znikł w lesie.

Byli to widocznie na zwiady wysłani od czerni ludzie, aby się wywiedzieć, czy z ogródka nie uszli zamknięci w nim. Pilnowano go więc pewnie do koła, czekano, aby osłabli z głodu, znużyli się siedzeniem, wyjedli zapasy, by ich potem łatwiej zagarnąć było.

Chociaż czuli się tak otoczeni, młodzież wstrzymać było trudno od tego, aby się czasem nie wyrwała do lasu. Belina się zrazu temu przeciwiał, potem, zważając, że mięsa dla przeżywienia się potrzeba, a w lesie go łatwo dostać, zwłaszcza gdy z pierwszych łowów dwa łosie przyciągnięto i sarn kilka — puszczał ochotników na niebezpieczną wyprawę. Każdego dnia, gdy przyszło do wycieczki cisnęli się i prosili wszyscy niemal, oprócz starców i chorych — silniejszych tylko i tych co dobre konie mieli puszczał Belina... A kto sam nie mógł iść, bo liczbie wielkiej oddalać się nie dozwalał — ten stawał przynajmniej na pomostach, aby się przypatrzeć i oczyma za szczęśliwymi pogonić... W te dni było o czem mówić i czem się podwójnie niepokoić. Wróć, nie wróć! co ich tam spotka? Nuż czern napadnie!

Do późnego wieczora wyglądano, upatrywano, a gdy się orszak z lasu wytknął, dopiero wołanie — Jada! zwierza wloką! Jada!

Otwierały się jako na przyjęcie zwycięzców powracających wrota, radość na chwilę i ciekawość ożywiła wszystkich, kupili się ku wnijściu na powi-

tanie.. A potem u ogniska w wielkiej izbie było co do późnej opowiadać nocy, kto lepiej oszczepem ciśnął, kto prędzej zabiegł drogę, kto dobił upadłe zwierzę, kto ranione dogonił. Gdy się takich wycieczek kilka powiodło, a w żadnej z nich nie spotkali nikogo, stary Belina też nie był przeciwny łowom, które zasilają obłączonych. Mięso łosie solono i w beczki zamykano, aby się na późniejszy czas zaopatrzyć. Poszło we zwyczaj niemal codziennych z kolei kilku lub kilkunastu młodszych wypuszczać ze psy, aby szczęścia próbowali. Rzadko się trafiło, by wrócili z niewielką zdobyczą. Lasy były zwierza pełne, a że w dalszych odstępach płoszyły je przechodzące zbrojne kupy, chroniło się to bliżej Horodyszcza, gdzie ciszej było i spokojniej. Jednego dnia Mszczuj też zmęczony próżnemi czaty na piękną Kasię, która się nie pokazywała, zapragnął pójść z innemi. Sprzykrzyło mu się czekać na brata, którego powrotu codziennie się spodziewał, chcąc z nim razem spiknąć się na młodego Belinę, aby go od Spytkównej odsadzić. Wszebór powinien był już przyjść nazad, jeżeli nie zginął. Mówiono o tem co dnia, a Spytkowa za jedno ręczyła tylko, że jej wierny sługa Sobek nie zaginie i z największego potrafi się wysłiznąć niebezpieczeństwa.

Ranek tego dnia, gdy Mszczuj się wybierał, mglisty był i chłodny, dla psów, co po wilgoci łatwiej zwierza tropiły, dobry, dla myśliwych nie powabny. Wszelako naparli się ruszyć, bo im miejscowi ludzie dobrą knięję ukazać obiecywali i zawczasu dziesięciu młodzieży, dobrze zbrojnych, tak, aby się i z ludźmi zmierzyć nie lękali, za wrota się wydobywali. Mszczuj, który po raz pierwszy od zamknięcia na Horodyszczu dostał się na swobodę, poweselał, gdy z tej ciasnoty dobywszy się, szerokie ujrzał pole i lasy. Dusza mu rozradowała, a że i inni z tąż ochotą jechali, żwawo się w puszcę za przewodnikiem posunęli.

Kto nie siedział zamknięty, ten tylko nie wie,

z jakim uczuciem odzyskuje człowiek tę ruchy swobodę, która mu do życia jest potrzebna. W pierwszej chwili wszelka pamięć się zaciera tego, co nastąpić może, choćby jutro wróciły zapory, ale dziś tchnąć jest czem i głową o ścianę człek się nie rozbija. Mszczuj zanucił piosnkę, sam nie wiedząc jak, a gdy własny głos postyszał, uląkł się go. Zamilkł.

Zaledwie wjechałszy w puszcę, szczęśliwie trafili na sarni stado, dwie padły, radość była wielka. Z tą lepszą otuchą szli dalej, gdzie im łosie przyobiecivano. W istocie udało się im je ostąpić na łące, lecz czujne stado ruszyło wnet, na drodze stojący Janek Kaniowa, który im zaprzec chciał drogę, obalony z koniem został i stratowany. Mimo to dwa łosie były ranne, za nimi puścili się w pogoń myśliwi, bo zwalniały kroku i krwią broczyły. Ciskano i strzelano, usiłując je dostać. Zwierz silny mimo ran uchodził, zapędzili się za nim głębiej w puszcę, niż chcieli, i było dobrze z południu, gdy jednego z łosów dostawszy nareszcie, do powrotu się brać zaczęli. Nim za chrapy uwiązano do koni, co za sobą wlec miały, nim się obwołali wszyscy łowcy, a Kaniowie zbitego na nosze między konie włożono, zmierzchać po troszę zaczęło. Pośpieszyć było nie sposób, tak, że przewodnik dopiero ku nocy powrót na Horodyszcze obiecywał. Już byli na wpół drogi ku niemu, gdy Mszczuj na parę staj i przed sobą ujrzał dwukonnych, a po jednym z koni zdało mu się, że poznał brata. Serce w nim było pocziwe, choć krew gorąca, żal, jaki oba do siebie mieli, wnet ustąpił, puścił się za koniem nawołując Wszeborą.

On to w istocie był wracający z wyprawy swej. Z równą radością oba rzucili się na szyć i ścisnąć poczęli; drudzy też nadjeżdżający jeli witać przybywającego, zarzucając pytaniami. Wszebór dowiadywał się gorąco, co się na Horodyszczu działo, a cieszył tem, iż ich na łowach spotkał, bo to samo dowodziło, iż Gródek nie był obsaczony. Radując się tak

wszyscy, wcale już zapomnieli, iż na ostrożności mieć się było potrzeba. Noc nadchodziła ciemna, gdy na skraju lasu stanęli.

Sobek, który przodem i teraz jechał, nagle syknął, nakazując się strzymać... Teraz się dopiero opamiętali i oczy zwrócili na dolinę...

Zostawili ją zrana wyjeżdżając, pustą, teraz w mroku nocy ujrzeli nad rzeczką porożpalane ogniska... Było ich kilka tylko, ale około nich dostrzedz było można ruszające się ludu gromady. Nie mogła to być załoga, wypuszczona z Horodyszcza, bo nigdy Belina jej nie dawał ruszać, zwłaszcza pod noc, nawet gdyby umarłego grzebać przyszło, do rana odkładano.

Nie ulegało wątpliwości, iż czerń, co na Horodyszcze czatowała, przyszła je osaczać.

Ci, co przed chwilą wesoło jechali jeszcze, spodziewając się dostać na nocleg do swoich, skamienieli na ten widok, który im zgubę wróżył.

Słowa nikt wyrzec nie śmiał. Oglądano się, co czynić z sobą. Niecierpliwi chcieli, zwierza rzuciwszy, sami wnet uchodzić w lasy. Sobek stary jeden głowy nie stracił. Zbliżył się do Wszebora i Mszczuja, zalecając im, ażeby cicho stanąwszy pod drzewami powrotu jego czekali.

Nadzieja nie była stracona, jak mówił, kupa ludzi nie zdawała się zbyt liczną. Sama liczba ognisk dowodziła, iż przybyła gromada na zwiady i na czaty tylko była wysłana.

Oddawszy konia Sobek znikł w ciemnościach. Czekało. Nikt od tych złowrogich ognisk oczów nie mógł odwrócić. Roilo się około nich ludem, którego cieniem na jasnym tle płomieni i dymów się poruszały. Zdawał gwar tylko czasem wiatr ku nim donosił. Na Horodyszczu też widać było ruch około okopów i po za ostrokołami kilka razy się zapalone żagwie przesunęły, czuwano...

— Dziesięciu dobrze zbrojnych i śmiałych ludzi, gdy się po nocy niespodzianie rzuci, choćby na stu,

takich, zaledwie w pałki opatrzonych, rozbić ich mógł! — mówił Wszebór po cichu.

Mszczuj mu potakiwał, inni głowami potrzásali nie na sto, ale na kilka setek licząc gromadę. Pobity Kaniowa, jęcząc, z noszów głowę podnosił, aby dojrzeć, co się tam w dali ukazywało. Sobka długo z powrotem nie było. Przywłókł się wkrótce zdyszany stary, zwiastując, że ludzi było kilkuset może, a między nimi niektórzy lepiej uzbrojeni dowódcy. Leżało to nad rzeczką tak, iż lasem okrążając dolinę dokoła, z przeciwnej strony cichaczem do wrót się było można dostać, nie ocierając się o nich. Trzeba było tylko jechać w milczeniu, bodaj koniom obwiązawszy nogi, żeby tentent ich nie zdradził.

Za radą Sobka poszli wszyscy... Nie rychło wszakże tą drogą na Horodyszcze dostać się było można, i dwa razy przychodziło krętą Olszankę przebywać w bród, a grzęskie trzęsawisko po kępinach. W milczeniu ruszył pochód ów, ciągle mając na oczach ogniska, którym z różnych stron się mogli przypatrzyć i siłę oblegających mniej więcej obliczyć...

Widać było od kraju lasu jednych piekących nad ogniem mięso, drugich warzących strawę, dokładających ognia. Czuwali wszyscy obawiając się może, aby ich z ogródka nocą wycieczka nie napadła. Na Horodyszczu trzecie już kury piejące słyhać było, gdy mała gromadka stanęła w tem miejscu, z którego doliną już bez osłony ku Horodyszczu puścić się miała.

Wzięto w pośrodek раннего Kaniowę, który oponeczą się osłoniwszy, na śmierć się w milczeniu gotował, ścisnęli się jeźdźcy, oszczepy i topory nągotowano i wystąpili z lasu.

Sobek i tu przodował pieszo, konia za uzdę wiodąc za sobą, gotów w razie niebezpieczeństwa skoczyć na niego... Gromady stały dosyć daleko, nie zważając bardzo na to, co się w pustej działo dolinie... Niebezpieczeństwo dopiero mogli przyjsć, gdy się ku oko-

pom zbliżą, na które ku wnijsciu zamkowemu blask od ognisk padał. Wyszedszy z cienia na oświecone pole, musieli się puścić szybko ku wrotom, tak, aby je miano czas im otworzyć, nimby owa gromada zerwała się i rzuciła za nimi. Wszystko to było umówionem i dotąd wiodło się szczęśliwie. Doliwom co zdala na gromady patrzeli serce się ścisnęło, że dla раннего Kaniowy nie mogli wpaść na te kupy, bo się im zdało, iżby im łatwo na karki spadłszy, potłukli.

Sobek też to odradzał.

Jechali w milczeniu ściśnięci, patrząc ku okopom, azali ich tam zobaczą, aby wrota dla nich trzymali w gotowości do otwarcia. Gdy na światło wjechali, puścili konie klusem ku górze. Sobek, który miał oko na wszystko, ujrzał w tej chwili, jak około ognisk zaczęli powstawać ludzie, podnosić się i nagle gwar głuchy zmienił się w krzyk straszliwy. Poruszyło się co żyło. Zdażali tymczasem kupką ku wrotom, a Sobek chustą ku ostrokołom znaki dawał. Lecz tuż i gromady się sunęły za nimi, biegły tłumem w nieładzie z podniesionymi pałkami. Doganiały bliżej coraz naciskając z wrzaskiem. Doliwowie, jadący ostatni do toporów się wzięli, bo tuż, tuż czuć było następujących. Kilka strzał świsnęło w powietrzu, pierwsze konie dobiły się do wrót, ale tych nie otwierano jeszcze. Odwrócił się Mszczuj i Wszebór ku obronie, a zaledwie czas mieli łbami się końskimi zastawić, gdy już sieć było potrzeba, bo ich ręce napastników ściągały z koni.

Chwila to była straszna, nim nareszcie opadły drągi i wrota się otwarły tak, aby pierwsi za nie skryć się mogli. Doliwowie toporami cieli bezprzytomni cofając się ku bramie. Mszczuj miał oszczepem rękę zranioną. Wszebór strzałę w twarz, gdy z wrzawy i tłoku znaleźli się bezpieczni za wrotami, gdzie oba z koni spadli. Wnet zatrzaśnięto je znowu i na kupę napastników posypały się pociski z za ostrokołu, z pomostu puszczone kłode, która stoczyła się na

karki, obaliła najbliższych, zgniotła kilku, a resztę do ustąpienia zmusiła.

Gdy oba ranni podnieśli się z ziemi okrwawieni, ujrzeni nad sobą starego Belinę, który stał blady i milczący. Po za nim cisnęła się niemal cała ludność Horodyszcza, okrzykując cudownie ocalonych.

Zdziwili się wszyscy ujrzawszy tu Wszebora, który z policzka dobywał uwięzłą strzałę, a krwawą dłoń podawał do uścisku.

Tymczasem na pomostach i okopach, gdzie młody Belina ludźmi zebranymi dowodził, trwała wrzawa, rzucono kamienie i kupa, co się była nacisnęła ku wrotom wnet ustępować zaczęła. Szli myśliwi do izby na dole, gdzie im rany trzeba było obmyć i obwiązać.

Popłoszone niewiasty z drugiego podwórza pozbiegały patrzeć choć zdala, co się dzieje, wyszła też i spytkowa, która Wszebora witała właśnie, gdy Sobek jej do nóg przypadł.

— Miłościwa pani! — zawołał, składając ręce — radujecie się, miłościwa pani, niosę wam nowinę do brą i pozdrowienie. Nasz pan miłościwy żyje!

Słyszając to, krzyknęła Marta, rzuciła się i padła zemdlona, ale niewiasty ją wnet ocuciły. Była li to radość wielka, czy inne uczucie, trudno odgadnąć; to pewna, że się jej łzy puściły obficie i że całą noc, rozpytawszy wprzód Sobka, jęczała i płakała.

Nikt też tej nocy, oprócz dzieci, nie zasnął na Horodyszczu; czuwano na wałach, w izbie, na podwórcach palono ognie i czekano dnia, ażeby gromadzie, która na dolinie obozowała, lepiej się przypatrzyć a obliczyć ją. Wszebór choć ranny i obwiązany, był tej myśli, aby, jeśli się napastnicy niezbyt licznymi okażą, wypaść na nich z okopów nagle i szczęścia w otwartem polu próbować.

Belina nie mówił na to nic, lecz się namarszczył tylko, a głową potrząsł znacząco.

Przedewszystkiem musiał opowiadać Doliwa, co w drodze sprawił, widział i z czem powracał.

Było tu dla wszystkich nowin poddostatkiem, jakie komu mogły przypaść do smaku. Potęga Masława dla jednych, nadzieje starego Trepka dla drugich. Umysły się rozgrzały, duch nowy wstąpił. Masław, którego siłę obliczał groźną Wszebór, nie wydawał się strasznym. Ochotniej wierzyli w powrót Kazimierza i pomoc niemiecką, niż w pogan przewagę.

Z Beliny jednego poznać było trudno, co o obojgu trzymał, twarz starca ani większej radości, ani trwogi nie zdradzała. Słuchał pilnie, ważył i... milczał.

Wszebór, jakśmy widzieli, mniej miał ufności w posiłkach Kazimierzowi obiecanych, a więcej się lękał ściągniętych przez Masława tłumów, to i z jego mowy czuć było. Na jednych ona podziała strach budząc, drugich oburzyła tylko. Nadzieja powrotu Kazimierza i powrotu lepszych czasów brała górę mimo Wszebora, obłączeni chcieli się trzymać do ostatka, choćby o wodzie i polewce, odejmując od ust sobie, by dłużej wytrwać mogli. Wśród gwaru zdań sprzecznych, zwracali się ku stojącemu zawsze w milczeniu starcowi, jakby zdania jego pytali. Gdy ucichło nieco, Belina głowę podniósł.

— Opatrzeć wrota! stróże na miejsca. Czujność na wałach!

I więcej nie rzekłszy, powoli się oddalił.

VIII.

Nazajutrz na grodzisku od świtu ruch był ogromny, wszystko się wysypało ku ostrokołom, aby się gromadom, które nadszły, przypatrywać. Bojaźliwe nawet niewiasty z dachów i wietrzników wyglądały.

Gdy dobrze rozedniało, postrzeżono w dolinie obozowisko wczorajsze rozpierzehle, nie zdające się przygotowywać jeszcze do napaści. Jedni przy ogniach gotowali strawę, drudzy około koni chodzili, inni zdali się odpoczywać, kilku tylko na koniach objeżdżali dokoła Horodyszcze, przyglądali mu się ze wszech stron, próbowali brodu na rzeczce i trzęsawicy na moczarach. Z tej strony bowiem, z której Horodyszcze wodą i niemi było okolone, okopy były niższe, zaniedbane, ostrokoły gorsze, a w niektórych miejscach, gdzie poopadały, pozatykano dziury płotami staremi i darnem.

Belina, który się rozglądał ciągle, dostrzegł łatwo, że na tę stronę rachować musiano, zwłaszcza, gdyby mrozy, których lada dzień można się było spodziewać, nadeszły.

Sam on teraz dopiero widział, iż gródek od rzeczki łatwiejszym był do zdobycia i, nie tracąc czasu, wnet ludzi spędzić kazał, aby okopy poprawić, a ostrokoły umocnić. Drzewa na nie inaczej dostać nie było można, jak rozbierając szopy, pod którymi się ludzie w słotny czas tulili, a nie było co rozmyślać schronienia tego musiano poświęcić.

Wzięto się wnet do roboty.

Popłoch, jaki przybycie gromad sprawiło na zamku, odbijał się w całym życiu jego trybie. Na mszę świętą ojca Gedeona zeszli się wszyscy, a niewiasty słuchając jej, płakały i zawodziły. Ranni i bezsilni, co pod dachem musieli pozostać, rozprawiali bez miary. Tym, co nie robili nic, to co robiono, wydawało się niedostatecznem i niedobrem. Wszebór, co w nic lepszego nie wierzył, pomimo to miał ochotę do wycieczki.

— Nie mamy nic do stracenia — mówił — tak czy inac, ginąć nam potrzeba; przynajmniej się człek krwi paskudnej napije i gniew spędzi na karkach tej dzicz...

Wszedł na to ciągle się krzątający i obchodzący

wszystkie kąty Belina, sprawa się wytoczyła do niego, wąż pokręcił.

— Ani się ważcie! — rzekł. — Tu nikt bezemnie kroku nie stąpi, a ja mówię wam — nie pozwalam.

— Dlaczego? — spytał Wszebór.

Belina głowę podniósł.

— Dlaczego? — powtórzył — a no się o to pytać mnie nikt tu prawa nie ma. Jam tu pan i wódz. Powiem wam jednak dlaczego. Dlatego, że ja w wybawienie wierzę i będę się trzymał do ostatka, a bezpotrzebnie kropki krwi wylać nie dam.

To rzekłszy, Belina się obejrzał tylko i poszedł wolnym krokiem nie czekając odpowiedzi.

Wszebór się namarszczył, a słuchać musiał. — I on i brat od dnia wczorajszego chodzili chmurni na Belinów wszystkich. — Przyczyną tego było, że im Tomko dziewczkę bałamucił. Choć śmierć, głód, nędzą była za pasem, na kochanie jeszcze czasu stało. Gorzej, bo im ta miłość nie w porę, do tego co na tę porę czynić było trzeba, ochotę odbierała. — Dziewczę im więcej było w sercu i głowie, niż przyszłe Horodyszcza losy. Poswarzyli się byli o nie między sobą, a teraz oba jej dostać nie mogąc, pojednali się, byle jej trzeciemu nie dać.

Bałamuctwo to było młodzieńcze, a no w tym wieku dzieje się tak, że gdy się zawróci w głowie, na nie się nie pamięta.

Do Tomka Beliny żaden z nich gadać nie chciał, zobaczywszy go zdala, odwracali się, choćby do ściany, aby go nie widzieć i w oczy mu nie patrzeć.

Wszebór szczególnie, którego i Spytkowa przyjechała nie po dawnemu, chodził zły, a wszystko mu się na Horodyszczu wydawało nie do rzeczy, i złe a nieopatrzne. Miał on tego ducha w sobie, że i przeciwie się drugim lubił i samby był rad jej wodził. Z Beliną starym, ni jedno ni drugie nie szło. Krótkim słowem odprawiał, nie dopuszczając sprzeczek, a nad sobą

przewodzieć nikomu nie dał. I Mszczuj, który podobną miał naturę do brata, już to był wypróbował.

Teraz oba pokwaszeni zbliżyli się ku sobie, aby razem narzekać. Po wyjściu starego z izby, został w niej tylko u komina Lasota, w kącie Toporezyk, na ziemi potłuczony Kaniowa i kilku innych niedobitków... Czas jakiś panowało milczenie, Wszebor chodząc, mruczał tylko coś sam do siebie gadając. Drudzy go oczyma mierzyli.

Wreszcie tyle się w nim uzbierało przekory i niesmaku, że coraz głośniejsze, wpół do siebie, wpół do drugich, u ogniska stanawszy, mówić zaczął.

— To się wszystko na nic nie zdało!—mówił.— Na Masława tu czekać, jedno co na śmierć.—Przyjdzie on z taką gromadą, że nam wały jak mrowie okryje i bronić się nie starczy czem. Jeść codziennie jest mniej, w końcu nasz głód zmoże. Człek po polawce siły nie ma...

Słyszając to niektórzy, ku niemu pozwracali głowy.

— A cóż czynić?—spytał Lasota—kiedys taki mądry? co lepszego.

— Niewiasty i chorych w środek zabrać, zbrojnym się ludem otoczyć—i przebojem uchodzić w lasy—zawołał Wszebor. Trafiemy na Trepkę, albo na innych, złączym się z nimi, a choćby ginąć przyszło—toć razem!!

— A ludziska te co się schronili tak jak bez broni—coż z nimi?—spytał Toporezyk.

— Im czerń nie zrobi nic, ich i Horodyszcze można porzucić, żałować nie ma czego—mruczał Wszebor. — Co my dla nich ginąć mamy? Tym się nic nie stanie!

Nie odpowiedziano Wszeborowi.

— Kto wie co lepsze?—mruknął Kaniowa.

— Belina stary uparty, mówić z nim o tem nawet nie można—dodał Lasota.

— W łasce Bożej ufa—rzekł Toporezyk.—Słyszeliście co O. Gedeon codziennie powtarza.

— Dobra łaska Boża, a no człek się i sam ratować powinien—dodał Wszebor. — Belinie swojego dostatku i ojcowizny żal, dla tego nas tu gotów wszystkich zamorzyć, by przy swych śmieciach pozostał.

Syknał stary Lasota.

— Nie mów tego...

— Co nie mam mówić gdy myślę—odrzekł Wszebor.

Zamilkli inni, gdy z kąta jakiś drab wychudły do Doliwy przystąpił.

— Hm!—rzekł—albo to my jego niewolnicy, czy co, byśmy koniecznie słuchali? Mamy rozum swój i wolę swą, zbierzmy się do kupy i idźmy w las, kto nam zabroni? Ci co chcą tutaj gnąć—wola ich.

Wszebor tak pochwycony za słowo zmięszał się nieco. Widział po twarzach innych, że z nim trzymać nie chcieli, dał temu co tak wystąpił jawnie znak, by zamilkł.

Stary ów, chudy, obwinięty opończą na gołe ciało ziemianin zamruczawszy znów, w kąt poszedł. Mszczuj brata za rękę pociągnął.

— Chodźmy ztąd. I poszli na wały we dwu się naradzać.

Tym co pozostali, oprócz siedzącego w kącie, wystąpienie Wszebora się niepodobalo, milczeli długo. Lasota się marszczył i wzdychał.

— Jak się weźmie waśń o to co czynić—przebaknął w końcu— a na dwoje się tu rozdzielimy—pewna zguba.

— El—rzekł Toporezyk z kąta.—Ja Doliwów obu znam, na przekorę zawsze gotowi, ale u nich w gębie wszystko, wygadają się, wyswarzą—przyjdzie do roboty, pójda z drugimi.

— Dajże Boże—zakończył Lasota—ja ich też z dzieci znam, warchołowate plemię, choć serca poczciwe...

Doliwowie wyszedłszy we dwu, poczęli wnet narzekać, a jeden drugiemu oleju do ognia dolewać. Wszebor na Beliny starość i niedołęztwo walił wszystko, Mszczuj mu pomagał.

— Oni nas tu wszech zgubią!—wołał.

— Doczekawszy Masława na Horodyszczu, tylko się spodziewać na śmierć, więcej nic—mówił Wszebor.—Nie obronimy się im. Zabraknie wszystkiego.

— Kiedy tak—dodał Mszczuj—zbierajmy tych co z nami na równi myślą i, choćby bramę łamać przyszło, idźmy ztąd precz...

— Zbierzemyż my ich dużo?—spytał Wszebor.

Mszczuj o tem nie wątpił.—Naradzać się poczęli w cichości, pochyliwszy jeden drugiemu do uszu.— Wszebor tylko żałował, że się wygadał zawczasu a nieostroźnie, aby Lasota z drugiemu nie donieśli Belinom i nie miano ich na oku. Mszczuj, który gorętszy jeszcze był od brata, lekce to sobie ważył.

— Trzeba swoje robić po cichu—musi się udać. Ale—dodał głos zniżając—coż my Spytkową tu im z córką mamy zostawić? he!

— Niedoczekanie—zawołał Wszebor.

— A jak z nami nie zechce?

Spojrzeni sobie w oczy i poszeptali po cichu.

— Czemu nie można?—głośniejsze rzekł Mszczuj.— Usta choćby zawiązać przyszło i na rękę je wynosić, toć to dla ich ocalenia.

— Porwiemy! no dobrze, byleśmy moc mieli—odparł Wszebor—a potem co?

Z tej wielkiej zgody przed chwilą, nagle w oczach ogień zapłonął. Wahał się jeden i drugi powiedzieć co myśli, ani ten ani ów ustąpić nie chciał. Zrozumiawszy to, bo się znali dobrze—umilkli...

Wszystko się o zwierzyne rozbiło, dalej nie szło. Jeden się za ostrokół zapatrzył, drugi w podwórze i stali tak, nie mówiąc już do siebie. Wszystkie ich gorące myśli ochłodziły. Nierychło dopiero Wszebor rzekł.

Swoje robić trzeba... a co potem... to nasza sprawa, rozsądzim się między sobą.

Mszczuj nie nie rzekł, ramionami tylko ruszywszy.

— Każdy w swoją stronę—zakończył Wszebor—trzeba z ludźmi gadać i do rozumu ich przyprowadzić...

Poszli tedy jeden w lewo drugi w prawo po za ostrokołami, gdzie ziemian ciągle stało mnóstwo, gromadkami, przypatrując się obozowisku. Wszebor do jednych się przyłączył, Mszczuj do drugich.

Belinowie tymczasem we dwu, przybrawszy sobie do pomocy kilku zaufanych, nad ludem stali, co przy okopach od rzeczki pracował. Tu ziemię noszono, koły wbijano, a nieopodal szope walono, aby z niej drzewo obrobić na pale. Nie szło to rażno, ludzie byli i leżeniem i złą strawą i długim rozleniwieniem osłabli. Dano tego dnia po kawałku mięsa, po kubku kwaśnego piwa, i to nie pomogło wiele.

W dolinie do południa jak stali ci co przyciągnęli, tak się nie ruszyli. Miano ich na oku. Najadłszy się i napiwszy dopiero, kilku się ich na koniach ku wrotom poczęło przysuwać. Dano znać Belinie, który co najlepszych z łukami postawił u wrót i kazał, gdy na strzał przyjdą, puścić na nich strzały. Lecz że widzieli gotowość na okopach, stanęli w takiej odległości, iż ich dosięść nie było można. A że cisza była wielka, bo i wiatru najmniejszego, słowa zdaleka dolatywały.

Pijana gromada krzyczała ku grodzisku, potrząsając powrozami, które u pasów miała.

— Gotujcie ręce na pęta. Niedługo was wykurzym z tej jamy!

A tu z wałów nawzajem jak huknęli:

— Psie syny! pogany! zbój! Niedoczekanie wasze! Wszyscy tu padniecie!

Z jednej i drugiej strony pięści powystawiano, i co kto miał na sercu i w gębie, wyplunął.

Na kilka pacierzy trwało to nawoływanie z je-

dnej i drugiej strony, aż w sobie żółć poruszali, tak, że owa dziec poczęła się rwać ku wrotom, zapomniawszy niebezpieczeństwa, a ci, co za ostrokołami stali, na wpół się przez nie powychylali. Z tyłu kilku łuki napięło i strzały świsnęły od Horodyszcza. Jedna z nich oko napastnikowi wybiła! chwycił się za nie i z konia stoczył. Drudzy dopiero opamiętawszy się, porwali go i przeklinając a łajając, do swego obozu wrócili.

Tak zszedł prawie cały dzień w nieustannym ruchu i zajęciu, a na Doliwów chodzących tu i owdzie, nie wiele zważano. Wszebórowi się chciało dostać koniecznie do Spytkowej, albo ją ku sobie wyprosić, ale Sobek powiadał, że cały niemal dzień przeleżała płacząc i nie mogąc się utulić, tak ją wiadomość o mężu poruszyła.

Ku wieczorowi przecie się to jakoś uśmierzyło, bo choć z oczyma zapłakanemi ujrano wychodzącą na zwyżki panią Martę, a Wszebór jak tylko to dojrzał, zaraz ku niej pośpieszył. Chociaż zakaz był dla mężczyzn, iż się do niewiast na pomost dobywać nie było im wolno, nie zważał na to Doliwa.

Pani mu była dosyć rada, że tak żwawo się do niej garnał, choć to już teraz na nie przydać się nie mogło. Wszebórowi szło o to, aby ją tu pobuntować i do dobrowolnego ujścia z Horodyszcza namówić, bo już się tej myśli zbyć nie mógł. Przystąpił więc, dowiadując się naprzód o nią i o córkę, a wnet nad nieszczęśliwym stanem Horodyszcza poczynając rozwódzić żale.

— My tu nie dobrego nie wysiedzim—odezwał się półgłosem. — Jam ci przecie nie darmo jeździł i zdrowie narażał, na swem oczy widział, jaką ma potęgę Masław. Jak on tu przyjdzie, do nogi nas wybije.

Spytkowa aż krzyknęła:

— Niemaż na to ratunku?

— Byłby, gdyby ludzie rozum mieć chcieli tylko—

odezwał się Wszebór—a toć nam się wybić ztąd łatwo, i ze swemi gdzieś połączyć. Nie wszyscy wyginęli. Lepiej w polu się bronić kupce, niż tu tyśiącom w tej dziurze. A no, Belina stary uparty.

Na Belinów nie Spetkowa złego słuchać nie była rada. Spojrzała ostro; obawiała się ich, choć nie lubiła...

— Nie mówcie na niego nie, on musi wiedzieć, co czynił

— A mnie się zda, że już nie wie — odparł Wszebór. Jemu o swoje mienie chodzi, którego dosyć jest, a teby nie rad rzucił.

Głową potrząsa Marta, nie mówiąc nic.

— Mnie waszej miłości i córki wielce żał—dodał Doliwa, abyście się przez ten upór na ręce chłopskie nie dostały.

Aż krzyknęła zasłaniając sobie oczy Spytkowa.

— Bóg tego niedopuscił!—zawołała płacząc.

A po chwili rzekła cicho:

— Cóż począć? co począć! Żadnejże nie ma rady?

— Jest ino ta jedna, aby ztąd przebojem uchodzić póki czas.

— Dokąd?

— Swoich znajdziemy gdzieś, tak jakeśmy teraz ich znaleźli—mówił Doliwa—albo to obozowisko, gdzie waszej miłości mąż się znajduje, lub inne. Nie wszystko wyginęło rycerstwo.

— To i na nie Masław następuje, nie da mu spoczynku?

— Ale uchodzić od niego szerokie mamy pole, choćby na Ruś, choć do Niemiec, wszędzie bezpieczniej niż tutaj.

Wszebór pochyliwszy się, począł wystraszonej niewieście w ucho kłaść, iż on z drugiemu, kto wie, może się ważyć będzie, choćby porzuciwszy upartych, ujść z tego zamknięcia.

— Jedźcie wasza miłość z nami!

Ułękła się tych wyrazów Spytkowa tak, że się

schronić chciała, aby więcej nie słyszeć. Wszebór ją zatrzymał gwałtem, zaklinając, aby jeśli sama nie zechce z niemi, przynajmniej ich nie wydawała Belinom.

Musiała mu tedy na krzyżyku poprzysiądz, iż milczeć będzie, a namyśli się sama co ma czynić. Tak zaś była poruszoną, że już więcej mówić i słuchać nie mogąc, wnet się do izby zabrała, rozmyślać nad tem, co jej Wszebór powierzył.

Po twarzy Spytkowej, gdy wchodziła, poznać mogły niewiasty, które tam siedziały, jak zwykle u ognia i kądzieli, że coś ciężkiego na sercu niosła, tak miała zafrasowane oblicze i zadumane oczy. Nie słyszała pytań, nie widziała dawanych jej znaków, poszła na swe miejsce i padła na nie, córki nawet, co przeciw niej wybiegła, nie poznawszy. Nie rychło warczenie wrzecion, śmieszki i mrużenia, wywiodły ją z tej zadumy, Kasia jej wody przyniosła, lzy otarła i nieco się uspokoiła.

W niewieściej izbie dnia tego także niepokój panował. Jedna to druga z kobiet wyrывała się na poddasze chcąc coś zobaczyć, i przyniosła potem jakies wieści. Straszły się wzajem i pocieszały.

Stara Hanna chodziła powoli jak zwykle, na mnogie pytania odpowiadając tylko:

— Tyleż już oni razy tu przychodzili, a z niczem odchodzić musieli. Będzie i tym razem toż samo.

Z drugiej strony te co od mężów i braci zasłyszały, jak Wszebór opowiadał o Masławie, trwożyły się i popłakiwały; inne o Kaźmirzu i prędkiem wyprawieniu marzyły. Niepokój ani prąść dobrze, ani odpocząć nie dawał.

Ile razy Tomko wszedł, padały nań wszystkich wejrzenia badając go, a na jego, jak i na ojca twarzy, nie poznać nie było można, obie spokojne i poważne równie były, czy przychodziło niebezpieczeństwo, czy otucha. Tylko ilekroć się mógł Tomko ze Zdaną

zbliżyć do Kasi, wyjaśniały mu się oczy, śmiały usta i zdawał mieć najlepszą nadzieję.

Kasia, po powrocie matki przełękłej, napróżno starała się ją wybadać, niepowiedziała córce nic, popłakiwała cicho i wzdychała. Gdy Tomko się potem zjawił, tak córce na sercu leżała ta boleść matczy, że się pocichu Beliny przez Zdanę spytała, czy co nowego nie zaszło, o czemby się jej matka mogła dowiedzieć.

Belina się namyślił i odpowiedział Zdanie tak, że Kasia słyszeć to mogła, boć się jej przytem wciąż w oczy patrzył, że Spytkowa długo na pomoście z Wszeborem mówiła, pewnie ten jej jakiego napędził strachu. Przyczem Tomko dodał:

— Obydwa Doliwowie duchy niespokojne. im by się chciało, aby ich jeno słuchano, a dwóch wodzów w jednym grodzie nie może być. Na nich się też oko i ucho będzie miało jak należy.

Tomko nie długo tu zabawiwszy, bo od dołu już na niego hukano i wołano, aby do ojca przybywał, w oczy jeszcze spojrzawszy Kasi, która mu rumieńcem odpowiedziała, odszedł.

Bartnik Sobek, choć wczorajszą drogą zbity, choć na spytkach przed swą panią długo stać musiał, ledwie jaką godzinę wyleżawszy koło koni na słomie, bo innego miejsca nie miał i nie chciał, wstał zaraz, nie mogąc z bezczynności wytrzymać. Człek był już tak z natury swej ruchawy i ciekawy, któremu, gdy nie czynił, ręce świerbiały. Innego czasu albo koszyki, lub wici kręcił i sznury, a gdy i tego nie było, łuczywo drobne szczepał. A gdy ręce pracowały okiem też i uszami na wszystkie strony czuwał. Nie uszedł mu szmer żaden, nie przesłiznęło się czego by nie zobaczył. I nie darmo tak czuwał, bo zawszeć ze szmeru i z cienia coś umiał wyciągnąć; tego też dnia powłókł się Sobek naprzód z drugimi pod ostrokół na wały, a choć drudzy tu od rana do nocy przebywali, zapatrzwszy się na gromadę, on długo

nie wytrwał. Obrócił się do robotników na drugą stronę i tu znowu przystanąć dłużej nie było wygodnie, bo się ludzie ruszali i mijali, a w ciasnocie potracali i jeden drugiemu zawadzał.

Obszedłszy grodzisko, Sobek powrócił do szopy i koni. Ściana tylko z płotu przegradzała go od tej kleci, pod którą się tuliło zbiegowisko prostego ludu w pierwszym podwórzu. Choć ztąd dużo wypędzono na robotę przy wałach, zostali starsi, żony i dzieci.

Szmer i płacz i stękania słychać było. Sobek sparsłszy się o ścianę pół drzemał, pół myślał, jakaby ręką dać robotę. Nie było się do czego wziąć... Gdy tak dumał, głosy z za chróścianej ściany poczęły go dochodzić, których, choć słuchać by był nie chciał, to musiał. Narzekania to były.

— Oni o sobie myślą—mówił głos stary—co im tam, gdy z nas który zdechnie, aby sami byli cali...

— Z głodu mrzemy—rzekł drugi.

— Jeszcze do roboty pędzą, choć jeść nie dają—wtrącił głos kobiecy.

— Dobrze tym co pomarli—mówił inny—ot poszli do swoich i biedy nie znają.

— To się dopiero zacznie, jak nas zewsząd osaczają—rzekł stary głos. — Oni będą z luków strzelali, a my musimy ciężkie belki dźwigać i kamienie; a kogo strzała popadnie, jeśli nie nas! Oni mają broje i kaftany i tarcze, a my co? Sukmanę strzała przebijie.

— Pewnie, pewnie—żywiej począł inny—a no, niech nadejdzie więcej, trzeba sobie rady dawać... Nie myślą o nas, pomyślemy o sobie. Co nam zrobią, gorszego ot tamci? Toż to nasi... Jak się z nami zwąchamy, niech ziemianie idą w pęta... my choć na pogorzeliska wróciemy.

— A jakże z nimi się dogadać?—odparł stary—albo to łatwo? Myślisz, oni na nas oka nie mają, albo nam wierzą? Widzą oni co u nas pod skórą.

— Dogadać się—podechwycił pierwszy—albo to sposobu niema?

— A jakiż? jakiż?

— Nocką się spuścić z wałów łatwo—rzekł śmiejąc się zapytany.

Była chwila milczenia długa i szepty.

— Tak i zrobić—rzekł stary—a nie to, wyzdychamy wszyscy.

— Pogadajcie z Rzepcem, pogadajcie z Wiechanem...

— Czemu nie.

— Trzeba myśleć o sobie.

Szeptano tak, że Sobek szmer tylko słyszał, potem złe śmiechy tłumione, prędkie i żywe mruczenie. Ale tego co pochwycił dosyć mu było.

Ostrożnie wstał ze słomy aby nie posłyszano go, chwilę postął, zwrócił z szopy na pierwsze podwórze, chcąc na oczy widzieć tych, co się tak naradzali. Gdy okrążywszy budowlę przed wrotą przybył, gdzie się ci ludzie na rozmowę zebrali, nie znalazł już nikogo, tylko dwie kobiety, z których młodsza dziecię karmiła, a stara, okryta płachtą ogromną, drzemała przy niej. Reszta czy spłoszona czem, czy z innej jakiej przyczyny się rozeszła... Imiona tylko Rzepca i Wiechana mógł Sobek zapamiętać.

Przypadek mu dozwolił wpaść na trop niebezpieczeństwa, którego się nikt nie domyślał może. Staroego dreszcze przebiegły. Co miał czynić nie wiedział sam. Śledzić dalej, czy dać znać komu było potrzeba? A nuż gadanie próżnemby się okazało, a popłoch daremny? Sobek co życie spędził przy dworze ze swojemi panami i przywiązanym był do nich i jej sprawy, strwożył się i zaszepił.

Wysunął się już o zmroku z szopy i z podwórca i poszedł ku drugiemu obejściu czatować na staroego Belinę. Zobaczył go zdala wydającego spokojnie rozkazy, popatrzał nań, żal mu się zrobiło straszyc go lada paplaniną.

Cofnął się więc rachując, że mu jego siermięga i stan dozwolą podsłuchać więcej i lepiej, nimby miał rzucić trwogę. Żał mu też było może ludzi, na którychby spadła groza i kara, gdy w istocie głód przez nich mógł mówić tylko i znękanie.

Stał jeszcze Sobek rozglądając się po podwórcach obu, na których wśród mroku świeciły porożpalane łuczywa, gdy z za domostwa krzyk i wrzawa słyszeć się dały...

Ludzie biegli w tamtą stronę...

— Strzelaj! bij!—wołano.

Belina stary rzucił się także, pośpieszył Sobek, wrzawa rosła coraz i krzyki.

Nikt nie wiedział co się stało... Dopiero zbliżywszy się ku wałom dopytał stary, że o mroku ktoś z załogi spuścił się z ostrokołów i ku gromadzie oblegających uszedł, choć strzał kilka za nim puszczono.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

Muzeum
JIK
ROMANOWS
262

